galeria

lipiec – wrzesień 2019

51

ISSN 2449-5328

częstochowski magazyn literacki

Towarzystwa Galeria Literacka

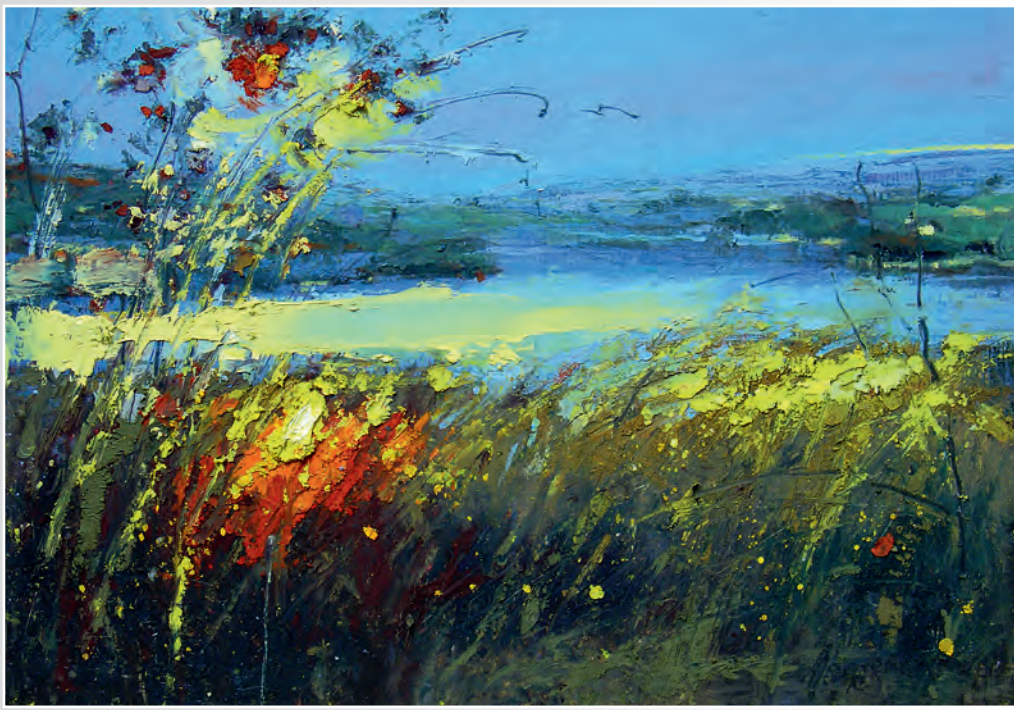

TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

poezja ▪ proza ▪ szkice ▪ recenzje ▪ eseje ▪ felietony ▪ humoreski ▪ fraszki ▪ satyra

Wacław Jagielski, ,,Jesienna melancholia'', 70 cm x 50 cm, olej, tech. własna, 2019

galeria
częstochowski magazyn literacki

lipiec – wrzesień 2019

51

SŁOWO OD REDAKCJI
Bogdan Knop, *Wspomnienie* 3
POŻEGNANIA 4
WYDARZENIA
Kalendarium: *lipiec–wrzesień 2019 r.* 5
LAURÓW WIENIEC
Barbara Strzelbicka, *Bogdan Knop uhonorowany Nagrodą Miasta Częstochowy* 7
ROZMYŚLANIA ZBISŁAWA JANIKOWSKIEGO
Zbisław Janikowski, *Wizyta*, *Niedziela* 9
ELŻBIETA CICHLA-CZARNIAWSKA
Elżbieta Cichla-Czarniawska, *Z tomu* Zanurzeni w mroku 11
Arkadiusz Frania, *Może to tylko pomruk mroku* 23
Elżbieta Cichla-Czarniawska, *Józef Mikołajtis. Wspomnienie* 29
Ewelina Dziewońska-Chudy, *Elżbieta Cichla-Czarniawska i Częstochowa – kilka podstawowych faktów* 34
POEZJA
Tadeusz Luterek, *Inna bajka* 37
Alicja Nowak, *Linia życia* 40
Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, *Trzydziestoparoletnie w lustrach* 41
Anna Jędryka, *Z tomu* Ogrody 45
Zdzisław Opałko, *Równoległość* 49
PROZA
Grzegorz Pełczyński, *Opowiastki (wybór)* 53
Ida Jadwiga Łubińska, *Ucieczka z pociągu* 59
Sabina Chróstowska, *Wrzesień 1939 we wspomnieniach mojego Ojca* 67
Wiesława Owczarek, *Plastik* 71
CONVERSATIO
Rozmowy o polskiej mowie. Z Antonim Rotem rozmawia Barbara Strzelbicka 77
NA SZTALUGACH
Wacław Jagielski, *Kilka słów o sobie* 83
Wacław Jagielski, *Wiersze* 85
SZKICE, ESEJE, RECENZJE
Andrzej Kalinin, *Koncerty domowe* 89
Maciej Rudlicki, *Szczęście: mit czy rzeczywistość?* 92
Roman Wyborski, *Zanussi hagiozof* 96

Na okładce: Wacław Jagielski, „Tajemnica narodzin”, 29 cm x 41 cm, olej, tech. własna, 2019

CZĘSTOCHOWA Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2019 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

galeria częstochowski magazyn literacki

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K
Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Podróże* 99
HISTORIA W GALERII
Jarosław Kapsa, *Historia krótka: o owocach, winach i wódkach* 106
Tomasz „Aztzenty" Barański, *Kazimierz Pułaski – częstochowski bohater* . 117
WIDZIANE Z GALERII
Subiektywna kronika wypadków kulturalnych 121
Barbara Strzelbicka, *Wspominamy* 121
Anna Jędryka, *Olsztyn Jurajski. Balonowa Jura* 121
Tomasz „Aztzenty" Barański, *Feeria barw* 122
Barbara Strzelbicka, *Książka osobista* 123
Barbara Strzelbicka, *Poetycki kalejdoskop* 124
Barbara Strzelbicka, *Świętujemy „pięćdziesiątkę"* 125
Barbara Strzelbicka, *Odczytywanie Śląska* 126
Elżbieta Jolanta Gola, *Literacki Piątek w OPK „Gaude Mater"* 127
***CZENSTOCHOVIANA* Z KSIĘGARSKIEJ PÓŁKI**
Tymoteusz Werner, *Czenstochoviana z księgarskiej półki* 128
Ludmiła Pilecka, Beata Roszak, Stanisław Wrzesiński, *Truskolasy dawniej i dziś* 128
127 aukcja antykwaryczna „Książki – druki ulotne z księgozbioru J. Dolińskiego" 129
Jerzy Zygmunt, Cezary Gębicki, Stanisław Cabała, *Wśród miejskiej zieleni. Przyroda Częstochowy* 130
NOTY O KSIĄŻKACH
Noty o książkach 133
Arkadiusz Frania, *Osobowości i osobliwości. Z życia literackiego współczesnej Częstochowy* 133
Ida Jadwiga Łubińska, *Z tęczowego kuferka Klary* 133
Anna Jędryka, *Ogrody* 133
ZAPISKI GALERJANA
Jan Ciesielski, *Ja się zmienię* 134
NOTY O AUTORACH
Ewelina Dziewońska-Chudy 35
Grzegorz Pełczyński 58
Sabina Chróstowska 70
Antoni Rot 82
Wacław Jagielski 83

WSPOMNIENIA

Niekiedy może się zdawać, że cały trud ludzkiego myślenia jest tylko wspominaniem, powracaniem myślą do zdarzeń, postaci, miejsc, owym proustowskim poszukiwaniem czasu. W 51. numerze „Galerii" prezentowana jest twórczość i osoba Elżbiety Cichli-Czarniawskiej, a w mojej głowie otwarło się okienko ze wspomnieniem z roku 2005. W tym to roku Elżbieta Cichla–Czarniawska została (po raz drugi) laureatką nagrody Józefa Czechowicza fundowanej przez lubelski oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Uroczystość odbywała się w Muzeum im. Józefa Czechowicza w Lublinie, a ja miałem okazję porozmawiać chwilę z poetką i jej mężem Henrykiem Czarniawskim, zmarłym w 2016 r. Byłem na uroczystości z innego powodu niż nagroda dla pani Elżbiety, ale właśnie wtedy dowiedziałem się, że poetka jest rodowitą częstochowianką, a nawet pewien czas należała do kierownictwa Oddziału Częstochowskiego Towarzystwa im. Adama Mickiewicza. Również Henryk Czarniawski był jakiś czas związany z Częstochową. Z kolei, nie tak dawno mieliśmy promocję tomu esejów Arkadiusza Frani *Osobowości i osobliwości*, w którym jeden z tekstów poświęcony jest twórczości i osobie wybitnej lublinianki z wyboru (choć częstochowianki z urodzenia). Przy tej okazji otrzymałem od niej, na kartce pocztowej, kilka ciepłych słów – życzeń dla mnie i Towarzystwa. Tak oto bieżący numer „Galerii" jest zamknięciem pewnego wspomnienia; magdalenką, która przywołuje znany skądś smak. Pani Elżbiecie życzymy wszystkiego, co najlepsze oraz deklarujemy się z literacką przyjaźnią i żywym podziwem dla jej twórczości.

Prezentujemy wiersze Elżbiety Cichli-Czarniawskiej z najnowszego tomu, jej wspomnienie o Józefie Mikołajtisie oraz refleksję Eweliny Dziewońskiej-Chudy o związkach poetki z Częstochową. Za pomoc w uzyskaniu tego materiału dziękujemy dr Elżbiecie Wróbel. Wiersze są opatrzone wnikliwą recenzją Arkadiusza Frani.

W prozie pojawia się wątek wspomnień wojennych w tekstach Sabiny Chróstowskiej i Idy Jadwigi Łubińskiej, Wiesława Owczarek proroczo wybiega w przyszłość, a Grzegorz Pełczyński serwuje humor purnonsensowy.

Dział poezji wypełniają wiersze Elżbiety Jeziorowskiej-Wróbel, Alicji Nowak, Tadeusza Luterka, Zdzisława Opałki oraz Anny Jędryki, która przedstawia swój najnowszy tom *Ogrody*. Warstwy słowna i ikonograficzna ściśle się ze sobą łączą, bowiem prezentujemy malarstwo i rysunki Wacława Jagielskiego, jego sylwetkę oraz wiersze, zaś autorem fotografii zamieszczonej w FotoGalerii jest poeta Maciej Skalik.

Relacje z wydarzeń kulturalnych pozwalają stwierdzić, że mamy za sobą gorący czas. Urlopowy nastrój podtrzymują Małgorzata Nowakowska-Karczewska i Jarosław Kapsa, Maciej Rudlicki filozofuje o szczęściu, Roman Wyborski oddaje cześć reżyserowi, Andrzej Kalinin tęskni do koncertów domowych, Zbisław Janikowski ciągle rozmyśla, Jan Ciesielski obiecuje, że się zmieni, Tomasz „Aztzenty" Barański zanurza się w historię, Tymoteusz Werner uparcie zachęca do czytania, a Barbara Strzelbicka wyciąga na zwierzenia Antoniego Rota, którego pięknie sfotografował Piotr Dłubak. Mam nadzieję, że powyższy skrót wygląda wystarczająco tajemniczo, by zaostrzyć ciekawość.

Zachęcając do lektury „Galerii", dziękuję tym, którzy obdarzają nas zaufaniem.

Bogdan Knop

Panu Tadeuszowi Wronie
wieloletniemu Prezydentowi Częstochowy,
Posłowi na Sejm RP

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony Elżbiety

składają
członkowie Towarzystwa Galeria Literacka

Naszemu Koledze
Zbisławowi Janikowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony Joanny

składają
Koleżanki i Koledzy
z Towarzystwa Galeria Literacka

KALENDARIUM lipiec – wrzesień 2019 r.

LIPIEC

1.07. – zmarł Bogusław Shaeffer, polski muzykolog, kompozytor, krytyk muzyczny, dramaturg, grafik i pedagog;
3.07. – wernisaż wystawy „Dom Księcia – historia i konteksty" – Archiwum Państwowe;
4.07. – spotkanie dedykowane pamięci Władysława E. Piekarskiego w 1. rocznicę śmierci – Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej;
6.07. – zmarła Wanda Warska, wokalistka jazzowa i kompozytorka;
6.07. – Festiwal Retro – Plac Biegańskiego;
9.07. – zmarła Natalia Rolleczek, pisarka;
12.07. – wernisaże wystaw: „Transfiguracje – konstruowanie twarzy" i „Ryby" Amelii Augustyn – Miejska Galeria Sztuki;
13.07. – otwarcie wystawy „Porozmawiajmy o śmieciach" – Miejska Galeria Sztuki;
18-21.07. – Międzynarodowe Zawody o Puchar Polski w Lotach na Ogrzane Powietrze w Janowie i Olsztynie;
19.07. – zmarł Adam Słodowy, popularyzator majsterkowania;
19.07. – wernisaż wystawy malarstwa Aleksandra Czanka – Cafè Belg;
26-27.07. – Festiwal Hip Hop Elements;
31.07. – zmarł Tadeusz Komendant, krytyk literacki, pisarz i tłumacz.

SIERPIEŃ

3.08. – zmarła Ludmiła Łączyńska, aktorka;
4-25.08. – Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej – Kościół Ewangelicko-Augsburski;
5.08. – zmarł ks. Kazimierz Orzechowski, kapłan i aktor;
7-30.08. – II Święto Muzyki im. Krzysztofa Pośpiecha, koncert inauguracyjny Kameralnej Orkiestry Akordeonowej Arti Sentemo z Radzynia Podlaskiego pod dyrekcją Zbigniewa Czuryły – Jasna Góra
17.08. – finisaż wystawy malarstwa Krzysztofa Domańskiego – OPK „Gaude Mater";
20.08. – zmarł Jan Purzycki, scenarzysta;
21.08. – otwarcie wystawy „»Balbina« w krainie czarów", dedykowanej pamięci Małgorzaty Sętowskiej – Miejska Galeria Sztuki;
23-26.08. – 27. Dni Częstochowy;
25.08. – wręczenie Nagród Miasta Częstochowy w Dziedzinie Kultury i wyróżnienia Mecenas Kultury – Filharmonia Częstochowska;
30.08. – zmarł Aleksander Jaśkiewicz, historyk sztuki;
30.08-1.09. – Dni Europejskiej Kultury Ludowej – Plac Biegańskiego.

WRZESIEŃ

1.09. – otwarcie wystawy „Stefan Burdzyński, Częstochowski Nikifor – Muzeum Częstochowskie, Zagroda Włościańska;

4.09. – Wieczór z Galerią: spotkanie autorskie Arkadiusza Frani i promocja książki *Osobowości i osobliwości. Z życia literackiego współczesnej Częstochowy* – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;

7.09. – Czytanie Narodowe – aula Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza;

7.09. – 16. Noc Kulturalna;

8.09. – Premiera spektaklu „Zaczarowany koń. Piosenki lat 50." – Teatr im. A. Mickiewicza;

12.09. – wernisaż wystawy Bogusława Lustyka „Rytm życia" – Miejska Galeria Sztuki;

11.09. – Promocja książki Cezarego Jana Lisa *Likwidatorzy zdrajców z wyroków Polski Podziemnej* – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;

14.09. – otwarcie wystawy „Powroty – malarstwo Danuty Niklewicz" – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;

16-22.09. – Festiwal Dekonstrukcji Słowa Czytaj!

18-20.09. – Festiwal Bajki – Biblioteka Publiczna;

18.09. – promocja książki Ryszarda „Sidora" Sidorkiewicza *Ruchome obrazki (wiara, nadzieja, miłość)* – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;

19.09. – Wieczór z Galerią: premiera 50. numeru Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria" – Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej;

19.09. – wernisaż wystawy „Ewolucje" Marka Mszycy – Filharmonia Częstochowska;

21.09. – X Forum Kobiet Ziemi Częstochowskiej „Czas Kobiet" – Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza;

24.09. – Promocja książki Małgorzaty Kaczyńskiej *Wojna na falach eteru. Ze wspomnień Wacława Musiała – łącznościowca generała Maczka* – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;

25.09. – spotkanie autorskie i promocja książki Stanisława Chęcińskiego *Ścieżki mojego życia* – OPK „Gaude Mater";

27.09. – Literacki piątek: Słowo i obraz. Spotkanie autorskie z Januszem Mielczarkiem – OPK „Gaude Mater";

27.09. – otwarcie wystawy „Raków. Dzieje częstochowskiej dzielnicy" – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;

27-29.09. – VIII Festiwal Muzyczny Rodziny Bachów – Filharmonia Częstochowska;

28.09. – „Haśka Tu i Teraz" – wieczór poświęcony Halinie Poświatowskiej – Galeria Pod Arkadami;

28.09. – zmarł Jan Kobuszewski, aktor;

30.09. – spektakl „RakoTWÓRCZOŚĆ" – Reaktywacja podopiecznych Hospicjum Dar Serca w Częstochowie – Teatr im. A. Mickiewicza;

30.09. – zmarł Kornel Morawiecki, polityk, działacz opozycji antykomunistycznej.

Barbara Strzelbicka

Barbara Strzelbicka

BOGDAN KNOP UHONOROWANY NAGRODĄ MIASTA CZĘSTOCHOWY

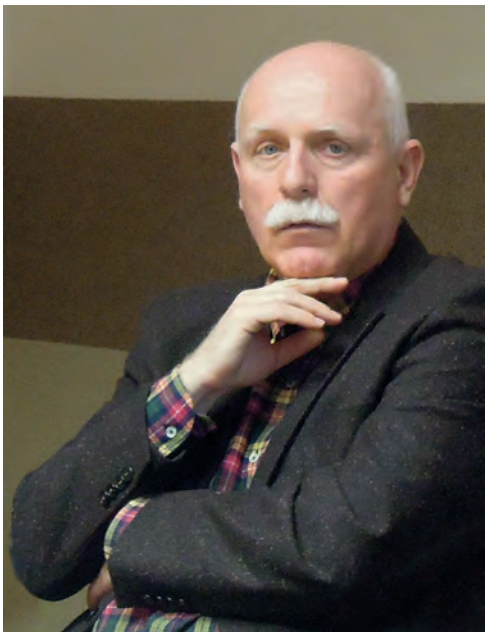

Tegoroczne 27. Dni Częstochowy były dla Towarzystwa Galeria Literacka i jego sympatyków szczególnie radosne i satysfakcjonujące. Otóż laureatem Nagrody Miasta Częstochowa w Dziedzinie Kultury za jej promocję i ochronę został Bogdan Knop. Oto oficjalne uzasadnienie przyznania nagrody:

> „Bogdan Knop – publicysta, pisarz, eseista i tłumacz, organizator i popularyzator życia literackiego Częstochowy. Jest twórcą i prezesem Towarzystwa Galeria Literacka oraz redaktorem naczelnym magazynu „Galeria" prezentującego twórczość zarówno osób skupionych wokół Towarzystwa, jak i debiutantów. To organizator spotkań autorskich i warsztatów, a także popularyzator literatury ukraińskiej, za co został uhonorowany Nagrodą Literacką i Artystyczną im. Pantelejmona Kulisza przyznawaną przez Międzynarodową Akademię Literacko-Artystyczną Ukrainy".

Gala wręczenia nagród miała miejsce 25 sierpnia b.r. w Filharmonii Częstochowskiej, uroczystość posiadała wszelkie walory uroczystości oficjalnej: poczet sztandarowy, hymn miasta, obecność licznego grona oficjalnych gości – przy wypełnionej po brzegi sali wraz z balkonem. Głównymi celebransami byli prezydent Krzysztof Matyjaszczyk i przewodniczący Rady Miasta Zdzisław Wolski.

Wśród nagrodzonych znalazła się także doktor nauk humanistycznych Elżbieta Wróbel, literaturoznawczyni i nauczycielka akademicka, prezes Oddziału Częstochowskiego Towarzystwa im. Adama Mickiewicza, z którą mamy zaszczyt współpracować. Prowadzi spotkania autorskie, współpracując z częstochowskimi instytucjami kultury. Współpracowała z miesięcznikiem „Śląsk". Współredaktorka trzech tomów zbiorowych *Czytanie Dwudziestolecia*. Autorka książki *Dwudziestolecie znane i nieznane. Szkice o prozie międzywojennej.*

W kategorii teatr i film uhonorowano Teresę Dzielską, aktorkę od siedemnastu lat związaną z Teatrem im. A. Mickiewicza w Częstochowie, absolwentkę krakowskiej Szkoły Teatralnej. Zadebiutowała w „Czarnej komedii" Petera Schaffera w reżyserii Marcina Sławińskiego. W jej dorobku znajdują się m.in. takie role jak Natasza z „Trzech sióstr",

Magda z „Pierwszego razu”, Siostra Radość z „Nagle zeszłego lata” czy Lucy z „Czyż nie dobija się koni”. Otrzymała dwie nominacje do Złotej Maski za wybitne kreacje portretujące kobiety naszych czasów. Jest założycielką Teatru sPokoLeń.

W dziedzinie sztuk plastycznych nagrodę otrzymał artysta malarz, rysownik i nauczyciel akademicki Dariusz Słota, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Plastyki Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza. Brał udział w ponad 270 różnego typu wystawach i konkursach zarówno w kraju, jak i za granicą.

Wojciech „Broda” Turbiarz, muzyk, autor tekstów, kompozytor, producent muzyczny, DJ, promotor kultury, muzykoterapeuta, lider zespołu Habakuk, założyciel, wokalista i gitarzysta zespołu Makabunda, promującego muzykę i twórców okresu dwudziestolecia międzywojennego, który jest także inicjatorem Festiwalu Retro Częstochowa, otrzymał nagrodę w kategorii muzyka i taniec.

Za duże zaangażowanie organizacyjne i finansowe, systematyczną współpracę z organizatorami wydarzeń kulturalnych w mieście oraz wysoką wartość artystyczną dotowanych projektów i wydarzeń tytułem Mecenasa Kultury 2019 uhonorowano firmę Press Glass.

W imieniu nagrodzonych głos zabrał Bogdan Knop, który w swoim wystąpieniu, oprócz stosownych podziękowań przypomniał, że nagroda jest nie tylko wyróżnieniem, ale także zobowiązaniem. Przestrzegał również przed arogancją i nadmierną dumą, posiłkując się fragmentem *Przesłania Pana Cogito* Zbigniewa Herberta: „powtarzaj: zostałem powołany – czyż nie było lepszych”. Prezes naszego Towarzystwa zaznaczył, że nagrodę traktuje jako wyróżnienie dla całego gremium Galerii, które zobowiązuje nas do podejmowania kolejnych wyzwań.

Dumni z naszego Prezesa serdecznie gratulujemy wszystkim nagrodzonym!

Laureaci Nagrody Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury. Foto UM Częstochowy

Zbisław Janikowski

WIZYTA

(ciąg dalszy rozważań zamieszczonych w numerze 50. „Galerii")

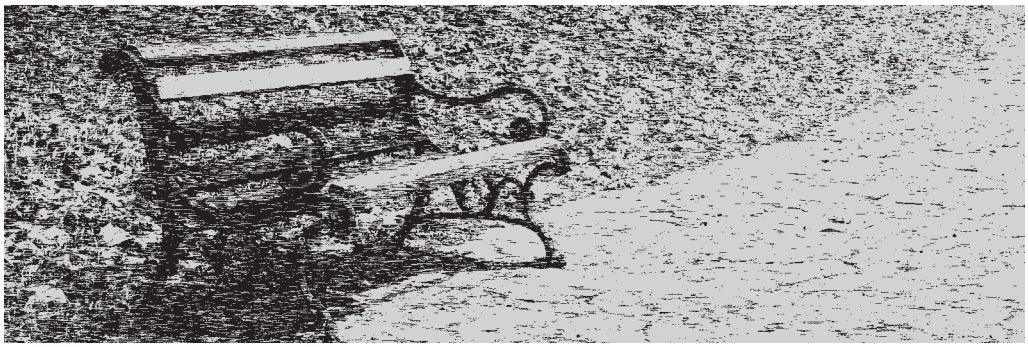

Muszę przyznać, że dosyć szybko przywykłem do Jej obecności. Nie narzucała się specjalnie, nie wtrącała w moje sprawy, była, bo była i tyle, aż tyle. Z czasem zupełnie zapomniałem o Jej obecności, traktowałem Ją tak, jak pieprzyk pod okiem, który jest, nie dokucza, nie szpeci, a nawet czasami dodaje uroku – to ostatnie odnosi się raczej do kobiet. W tym momencie zastanowiłem się, czy moja nowa towarzyszka ma jakieś wyróżniki, jakieś wabiki lub szpetotki. Nic takiego nie przychodziło mi do głowy, postanowiłem zatem przyjrzeć się Jej starannie, a może nawet wypytać, tylko o co, tak po prostu nie wypadało, niezręcznie, nie w moim stylu – wiem, że są tacy, co zapytaliby wprost. Ja nie, ja kluczyłem, podpatrywałem, wreszcie swoim postępowaniem zwróciłem Jej uwagę. Ona, w przeciwieństwie do mnie, zapytała wprost, co jest powodem mojego dziwnego zachowania. Odpowiedzi oczywiście nie udzieliłem, coś tam kręciłem, bąkałem, tym samym spowodowałem, że zaczęła traktować mnie nieufnie. Wreszcie wypaliła (skąd Ona znała moje myśli?):

– Szukasz u mnie znaków szczególnych? Nie znajdziesz! Moim znakiem szczególnym jesteś ty sam, twoje postępowanie, twój wygląd. Uważaj, łatwo się zapomnieć, a wtedy, wtedy klapa, zakwalifikowują cię na pozycję starego dziadygi, a z tego nie ma już odwrotu, zostaniesz, strzeż się.

Przyznaję, że uwaga ta zrobiła na mnie wrażenie, toteż postanowiłem, że nie zdziadzieję, że nie dam się! Pewnie, nie zacznę biegać, fejsować, ćpać ani innych z tych modnych substytutów na życie nie zastosuję, ale codzienne staranne golenie, starannie zaczesane ostanie cztery włoski na łysiejącej głowie, czyste (ale nie do przesady) buciki, prosta postawa (jak trudno ją utrzymać, ten tylko się dowie, kto ją stracił), koszula co najwyżej z zeszłego sezonu – według starego angielskiego kanonu mody, że gentleman jest w stosunku do panującej mody leciutko opóźniony – a nie z jakiegoś demobilu, podobnie i marynarka, i spodnie, i co tam jeszcze trzeba tego dnia na siebie włożyć, wreszcie uśmiech i dobre słowo dla każdego spotkanego znajomka lub sąsiada, o przyjaciołach nie mówiąc.

– Stosuj to na co dzień – dodała, czytając w moich myślach – skończyłam!

Tak zakończyła, kończąc tym ten wstępny kurs przygotowawczy do... Właśnie, do czego?

– OK, postaram się – tylko taka odpowiedź zagościła w mojej głowie. Na ile to będzie wykonalne, przekonam się – pomyślałem.

NIEDZIELA

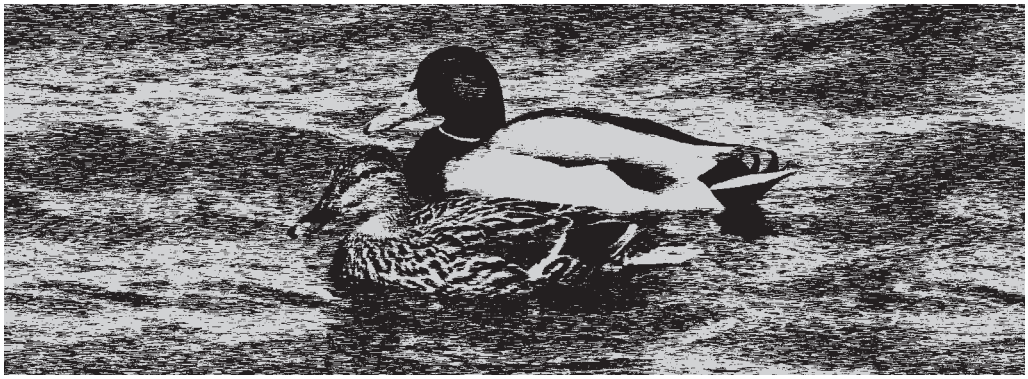

Pierwsza październikowa niedziela, jesień i jesienny poranek, codzienny „psi" spacer, ale jak w każdą niedzielę dłuższy, mamy czas, idziemy do parku, to niemal nasza codzienna trasa, tylko troszeczkę wydłużona, świąteczna. Po drodze mijamy sklepik, w którym codziennie kupujemy świeże pieczywo, sunia przystaje zdziwiona, że mijam obojętnie drzwi sklepiku, wyrobiony w niej odruch Pawłowa działa bezbłędnie… Aleja Sienkiewicza, lekko pod górkę, w połowie furtka do parku, znajome alejki prowadzą nad stawy, wszędzie szarość październikowego poranku. Gładka, bez jednej zmarszczki tafla wody, a niemal na środku, z łebkiem wtulonym pod skrzydło, samotny kaczor – śpi? Gdzie reszta kaczego towarzystwa? Wchodzimy na mostek i wtedy na staw wraca życie, z brzegów zsuwają się do wody dziesiątki kaczuszek, wiedzą, po co przyszliśmy, wyciągam z kieszeni torebkę z resztkami niezjedzonych bułek, wrzucamy je do wody, a tam rwetes, niemal bój o te smakowite kąski. Spokojną toń mąci, nadpływając pospiesznie, cała flotylla, a z końca stawu startuje eskadra skrzydlatych żarłoków, które krótki, koszący lot kończą wodowaniem w miejscu zrzutu kawałków bułeczki. Są wszystkie oprócz drzemiącego na środku stawu kaczora, jemu jest obojętne, nie będzie zawracał sobie głowy małym kąskiem, wie, że później przyjdą dzieci i wtedy będzie prawdziwa wyżerka…

***

Wróciliśmy, znowu stoimy przed lustrem – już mu wybaczyłem i uwierzyłem w jego prawdziwy przekaz – rozmyślam na stojąco… te kaczki mają „bycze" życie (bycze – powiedzonko z moich szczenięcych lat na określenie czegoś wspaniałego), a może: „życie jak w Madrycie" (to powiedzonko z lat młodości)… Taka kaczka nie sieje, nie zbiera, a dostatnio żyje, nie chodziła też do szkół, a swój rozum ma i gdzie za darmochę jeść dają, też wie, głosować i wybierać też nie musi, my to zrobimy… Jej nawet nie będzie obchodziło, czy wybierzemy dobrze, czy źle – „wsio ryba" – kolejne powiedzonko…

***

Kaczuszki, do zobaczenia za tydzień, zaraz po oddaniu głosu przyjdziemy...

niedziela 6.10.2019 r.

Elżbieta Cichla-Czarniawska

Z TOMU *ZANURZENI W MROKU*

idąc wolnym krokiem

trudno uwierzyć
że twoje istnienie
jest już poza czasem
którym zwyczajnie wciąż jeszcze się
karmię
ja –
zabłąkany podmuch wiatru
na strychu opuszczonego domostwa

myślę naiwnie
że odszedłeś na wieczność
a ona kiedyś się skończy
po niesłychanie długim trwaniu
i znowu będziemy razem
szczęśliwi

maluję sobą
nie dorysowane widoki

ale przecież wieczność
to właśnie znaczy istnieć
poza czasem
z innego tu wymiaru ludzkie bytowanie
drugi świat
nie jest ani trochę podobny do tego
jaki pragnę zachłannie zatrzymać
oddechem

na nic kalendarze i zegary
na nic nasza miłość

może więcej tam wiesz
i więcej rozumiesz niż ja
zamknięta jak małż w skorupie ciała
tak bardzo doczesnego
niebieskie regiony to dla mnie
przezroczysta kropla deszczu

co znaczy
być poza wszystkim
co znaczy być nie będąc?

trudno
naprawdę trudno uwierzyć
że doszedłeś wolnym krokiem
aż poza czas
i poza oczywistość

jak wymyślone w cudzym mózgu

to już zupełnie inna rzeczywistość

ma prawo pierwszeństwa
ma nieograniczoną władzę nade mną

bez rąk
bez oczu
pozbawiona owadzich ruchów
pogrążona w lepkiej mazi

nie nocna nawałnica – raczej powolne
stąpanie metafizycznego lęku
zimno rodzące się w trzewiach

nie jest zła
jest nieludzka

to już zupełnie obca codzienność
udręka wieku starości
granica cierpienia
kiedy lodowacieje powietrze
a każde czułe słowo odbija się echem
jak groch o ścianę

pękła nić scalająca
przeszłość z teraźniejszością

to już zupełnie zniekształcona ja
omotana przez coś
w co muszę kiedyś wejść jak wchodzą inni
jak wszedłeś ty i nie zachwiało się drzewo
wyraźniej niż się chwiać powinno
nie drgnął grunt pod nogami
nie zakołował horyzont

powiem
jestem
a ty wcale się nie zdziwisz
popatrzysz nieruchomym wzrokiem
na naszą strzelistą topolę za oknem
i wrócisz do ziemi

tyle potrafię choćby nie wiem jak mocno
trzymały mnie ramiona świata

to już zupełnie nowy układ rzeczy
i zdarzeń
wszystko pracowicie wymyślone
w cudzym mózgu
rozstrzygnięte beze mnie:

tułaczka wydaje się zbyt mozolna
a prawda nieznana

III

przywołuję tamten ociemniały czas
choć niebo wisiało czyste
jak szmaragd
i podejrzliwie spoglądały pierwsze gwiazdy

najpierw sanie sunęły cicho
między chałupami
potem okolica porośnięta świerkowym lasem
dalej już szliśmy sami
czuby zarośli wystawały ze śniegu
rzeka pod nami zastygła do dna

ojcze nie umieraj na tym pustkowiu
matka podawała mu drżącymi rękami jakieś krople
które zamarzały na wargach
porzuciła wszystko co miała
gdy wreszcie powiedział głucho: trzeba iść

koc szurgotał pode mną bałam się
że mnie zgubią że zostawią
płakałam w sobie nie wolno było płakać głośno
gubiliśmy i odnajdywali drogę na bezdrożu
tymczasem szmaragd zmienił się w czerń
gdzie jesteśmy? jak zdyszane zwierzę
wyczuwał ojciec ślady żołnierskim węchem

nareszcie znajome gorączkowe głosy
szybciej szybciej ślizgały się po lodowatej koleinie
skaczcie przez płot płaszcz na ciele matki
pęka czterdzieści stopni mrozu
styczeń rok czterdziesty nie zasypiaj
bo zaśniesz na wieki

obcy człowiek bierze mnie w ramiona
dobrze żeby spadł teraz śnieg mówi
ale dlaczego? niemal go nie słyszę
zasypiam na progu obcej chaty
spadam bez czucia w sobie
spadam w czeluść
duszno

---

po dziesiątkach lat
ciągle lecę w tę otchłań
obezwładniona parzącym zimnem nie jestem pewna
fikcji czy rzeczywistości
mrok rozlewa się jak obraz
namalowany w pustej czaszce
i nie schnący

nie zasypiaj bo zaśniesz na wieki

IV

obciągnięty wysuszoną skórą
stoi u wrót wieczności ale jeszcze raz
stara się zrekonstruować w sobie
miasto i dom gdzie kwitły na balkonie
gorzkie aksamitki latem wiosną bratki
gdzie pod oknami zawzięcie zgrzytały tramwaje
jest tam całą duszą na zawsze zraniony

zegar na wieży wskazuje dwunastą
mówiła: trzeba gotować obiad ma ją w wyobraźni
tylko w wyobraźni nawet nie w pamięci
srebrzy się przez chwilę jej twarz pomnożona
odbita w lustrze kuchennych sprzętów słońce pada z boku
i podkreśla owal podbródka

gdzie tamto miasto? słowa po nim kłamią
choć nazywają tak samo
prawdę mówi jedynie poszarpana cegła w murze
szczątki trotuaru

ona głosy dzieci i szczekanie psa
fortepian na którym czasem grywał mozarta i griega
ustawione równo książki –
tak było nim nadeszła nawałnica
później wszystko zasypane gruzem
przesłonięte zaćmą lat i wydarzeń
(miał szczęście spóźnił się o kilka minut o brzęk
trzaskającego szkła o słup pyłu i płomień
o jazgot odlatującego fatum)

nagle nie ma nic
zupełnie nic

od tygodnia padały deszcze
obce jak ziemia na której się znalazł
dzięki litości krewnych
(deszcz po raz niezliczony zmywa grzechy świata)
dziś słońce wyjrzało zza chmur i tak samo
na tarasie gorzko pachną aksamitki

można powiedzieć: śmieszny jest ten starzec

co widzi wypatrując niepodległą przestrzeń
co słyszy gdy nasłuchuje pszczoły lecące na łąki
dlaczego schyla się daremnie
niżej
coraz niżej
jak uderzone wichurą drzewo
jak strącony z wysokości głaz

czy chce wydobyć na powierzchnię życia
coś czego wskrzesić się nie da?

zagadnięty
odpowiada tylko głosem pełnym pogardy:
teraz znaczy nigdy

i żadnego już gestu rozpaczy

VI

po raz nie wiadomo który wyznaję okaleczoną miłość
do czasów nędzy i pogardy
słyszę pieśni jeńców śpiewane w obcych językach
bezbronne wobec śmierci
jutro zamilkną
a we mnie otworzy się przerażenie: jak to jest
że tęsknota umiera w upodleniu wśród wrogów

po raz nie wiadomo który rodzi się czułość
gdy wspominam ciepły miłosierny wiatr
osuszający krew matki zranionej przez żołdaka
niosła dla nas margarynę czarny gliniasty chleb
i marmoladę z buraków
dotarła do domu skopana sponiewierana
jej płacz przywołuję nocami cichy i żałosny
jak skomlenie szczenięcia

daremny płacz ciotki marii czekającej
na powrót męża z wojny
od dawna leżał przywalony
niegościnną ziemią w piatichatkach

ale przypominam też żar zachodów słońca
zapach rozprażonych ziół lot trzmieli i ptaków
ścieżki ciągnące za sobą głód niespełnień
(wyobraźnia przewyższała realność)

może po raz ostatni powtarzam słowa wracające
jak kręgi wody w kałuży gdy rzucałam do niej kamyk
wracają a ja czuję że muszą wymierzyć sprawiedliwość
dniom dobrym i złym zanurzonym w tajemnicy trwania

jestem jak człowiek który utracił wzrok lecz pamięta
pierzchające błyski

niewiadoma

zajrzyj do spłowiałych kartek kalendarza
albo do historii dziejów świata
w której przeglądają się
chybione pomysły
błędne obliczenia
zajrzyj do atlasu gdzie imperia
zmieniają nazwy bezszelestnie
jak westchnienie końca

potem
spójrz prosto w twarz człowieka

co z tego
że zarzucają ci brak odwagi?

czy dla zachowania prawdy
każdą rzecz i zjawisko
trzeba nazwać po imieniu?

są bezdroża
gdy na ciemniejącym firmamencie
noce prószą przygaszonym światłem
wiodą tam
gdzie nie ma reguł trwania

jeżeli nie wierzysz
zacznij od początku tę opowieść
w której tętni twoje pragnienie
określenia wszystkiego
imieniem jasnego obłoku
ale w ten sposób
nie dobrniesz dalej ani głębiej niż drobina pyłu
rzucona w otchłań liścia

twarz człowieka
czy może twarz Boga?

spojrzyj w nią a odczujesz
gniew nieba
lub łaskę matki-ziemi

i nie czyń sobie wyrzutów
że narodziłeś się pośrodku burzy
bo nie wszystko wiemy
dociekając głosu z wiecznych mroków

wszystko

czuje na skórze
lęk przed życiem
nerwowe stukanie pamięci

mózg otwiera się w pogoni
za szczęśliwym losem
ale tuż obok
zdefraudowane dzieciństwo
niezaspokojona młodość
dziki kwiat zabłąkany
na wysypisku śmieci

ostatni samolot czeka
na nic wypatrywanie
turbulencje niespodziewanych zdarzeń
piana obłoków

wciąga przepaść głębiny
góra wciąga przepaść
jest jak przewrotny uśmiech starca
który poznał na wylot
zatrute niespodzianki świata

góra łączy się z przepaścią

właśnie tak:
oślepiająca jasność światła
w pomarańczowym wnętrzu
dojrzałego owocu dyni
płomień skupionych ziaren
zapach nieba i ziemi

w piersiach drżenie
ostatnich sekund
błysk noża na pomarszczonej skórze

lęk śmierci który
suchym szorstkim językiem
wszystko zlizuje

równania

Płoną ogniska koczujących plemion, wiatr chwieje gwiazdami. Kto z kogo urodzony? Do czego ma prawo? Przybyli z wyjałowionych obszarów myśli pełni pogardy dla ciszy i ładu. Ściskają w garściach proch okrutnych zdarzeń i kościane berło otwierającej się nadziei. Brodaci heroldowie z zapałem dmą w rogi. Nad starym lądem rozlana łuna podpalonych kultur. Pytasz: „Może prawdę mówi chwila?" Ale uporczywy głos nomadów późnego wieku budzi senne ziemie, wsiąka w zapadliny, przeczy tobie, któryś inne przesłanie wrzucił kiedyś w ugór, a teraz ocierasz spocone czoło i, bezradny, chcesz spłoszyć magicznym słowem „bracie" pulsujący cień lęku. Zdobywcza pieśń obłaskawianych plemion brzmi na terytoriach karczowanych dawno temu twoją ręką żylastą a czułą, ocembrowaną świętymi kręgami twojej miłości.

Rankiem przygasają czujne ogniska, wiatr zmiata gwiazdy, blednie oblicze nieba. Co przyniesie czas? Nad sytym kontynentem grzechotliwy pomruk wzbierającej burzy. Sygnały świetlne emituje w przestrzeń spętana energia szukająca ujścia. Nieprzewidywalna matematyka dziejów? Kolejna niewiadoma szaleńczych równań cywilizacji?

echa

wrzenie dymiącej nocy
tryskają spalone piaski
wyłonione z gęstej ciemności

ujadanie fal
wściekłe rozbryzgi piany

na zboczach jaru ostre noże traw
odmawiają pacierz strachu
po wydmach błądzą zdziczałe pioruny
ryby wynurzone z topieli
składają śmiertelne łuski
na obnażonych kamieniach

ląd szaleje i morze szaleje
za czyje winy
za jakie?

wreszcie ma się ku świtaniu
cichną plaże
jeszcze tylko dalekie echa
dudniących chmur
chrome drzewko
opłukane słonymi wodami
liczy ocalałe liście

głębia patrzy w niebo
oczyma tych
którzy dawno opadli na dno

Panie
czekaliśmy na wyniesienie
czemu zatraciłeś nas na wieki?

studnia

zajrzeli do studni
ślad twarzy odbił się
w wodzie

nie starczyło miejsca
na słowo pokuty

tylko wiatr gwizdał
i spadło milczenie
jak msza za umarłych

w oślepłej studni
świecą oczodoły

błyszczy topór zemsty

umowa

coraz silniejsza woń stęchlizny
kurz osiadł na kartkach książek
biskupa josepha ratzingera
wydanych w języku niemieckim
słychać żałobne hukanie białej sowy
na przewróconym dzbanie
przywiezionym z kraju
gdzie jasność dnia trwa krótko

o znikomości

przetrwają tylko zmierzchające chmury
zakrzepłe w szparach ostatnich pożegnań
przetrwają skaliste brzegi omszałe korzenie
dziedzina bezpowrotna
bo jak określić zamiecie wędrówek
po światach między niebem a ziemią
zaistniałych prawdziwie a przecież na niby

wszystko pokrywa lepka sieć pajęczyn
i chyłkiem rdza się wkrada
wiązania domu świecą jak piszczele
pohukiwanie sowy dochodzi z zaświatów
dzban w gęstym półmroku szlocha połyskliwie

już ani marzeń
ani choćby imitacji miłości
ani zasępionej ironii

spory i dyskusje poszły na wygnanie
co było najważniejsze stało się nieważne
reszta to tylko kosooka śmierć

nawet stare tapety z motywem roślinnym
zdarto niech nie straszą
nowych właścicieli gdy stopniał ślad po dawnych

umowa zawarta pieczęci podpisy

teraz pozostaje lepić od początku
niewiadome wieloznaczne życie
nie bacząc na to
co uszło z oddechem

nawałnica

Wojna, zwłaszcza przeżyta w dzieciństwie, nigdy już
cię nie opuszcza.
Mirosław Ikonowicz, *Pohulanka*

ciemność spowija świat
wirują opiłki trwogi
krąży pokraczna wieść
charczy i pruje przestrzeń
gna

biją gdzieś dzwony

chronos nad ramionami historii
śmiertelność wpisana w dzieje

nieuległy oddech pokoleń
czuwa
lecz krok człowieka
kolebie się w pustce i chwieje

granice
cóż granice
wyszczerbione
otwarte na przestrzał

skrzypi opaczne słowo
skostniałym zawołaniem
zostawia krwawy ślad
na ciele Ziemi struchlałej

złowrogi los
w zbełtane kręgi wieków
i we mnie
wplątał się zatrzepotał
chciwym skrzydłem jastrzębim

to było dawno
blisko?

już tylko sen pamięta
lub snu pęknięte lustro

Arkadiusz Frania

MOŻE TO TYLKO POMRUK MROKU

Wybitna polska autorka Elżbieta Cichla-Czarniawska pozostaje wierna poezji, czego dowodem jest jej najnowszy zbiór *zanurzeni w mroku* (Norbertinum, Lublin 2019). Pisarka przyzwyczaiła czytelników, że wiersze tka bardziej ze smutku, niż z radości, dlatego zarówno tytuł książki, jak i jej zawartość, barwią się na czarno, choć, moim zdaniem, nie jest to czerń bez odwrotu:

sny tragiczne

ale i wtedy
przemykało przez zastały mrok
pasemko oddechu
odczuwalny znak istnienia
(ZM17)[1].

Poetka twierdziła przecież przed laty: „Chcę wierzyć, że sztuka, a więc i poezja, jest dla wielu ludzi pomocą w znalezieniu miejsca na ziemi, często ratunkiem, zawsze jasnością; nawet wtedy, gdy w mroczniejącym, rozdygotanym świecie współczesnym tak niełatwo o nadzieję"[2].

Tom składa się z 39 utworów (wierszy, choć jeden tekst – *równania* przybiera formę prozy poetyckiej) zgrupowanych w czterech częściach (*poza wszystkim*, *siedem opisów z pamięci*, *szepty i podszepty*, *chłód*), okolonych dwoma lirykami-latarniami zwątpień: *sprawy utracone* i *nawałnica*. Otwierające prezentację *sprawy utracone* sieją nastrój minorowy, przynosząc zwątpienie w pewność ontologiczną podmiotu lirycznego:

czy to ja byłam nie będąc prawdziwie
w świecie pełnym niewiadomego

mój cień wczorajszy nie jest już wczorajszy
odszedł ode mnie

na próżno szukać
co jest utracone
(ZM5-6).

W przedostatnim utworze tomu czytamy z kolei: „»ja« liryczne tak złudne / jakby go wcale nie było" (ZM86). Ten fatalizm wyrósł z przeświadczeń egzystencjalnych autorki wzmożonych osobistą tragedią, która wypaliła piętno w wielu wierszach pomieszczonych w *zanurzonych w mroku*. Większość tekstów powstała bowiem po śmierci męża poetki, Henryka Czarniawskiego (25 sierpnia 2016 roku). Przymnijmy, że był on psychologiem pracy i organizacji, felietonistą, satyrykiem, recenzentem muzycznym. Pierwsza część tomu *poza wszystkim* jest właśnie dedykowana „Pamięci Henryka (1929-2016)" i można ją określić mianem trenów, w których poetka-wdowa stara się wyrazić ból, zracjonalizować śmierć i nieuchronność losu, ale przede wszystkim podnieść po rozpaczy. Choć

„trudno uwierzyć / że twoje istnienie / jest już poza czasem" (ZM10), należy pielęgnować nadzieję, iż wieczność też ma swój kres: „i znowu będziemy razem / szczęśliwi" (ZM10). Odchodzenie bliskiego mężczyzny ukazuje jego wzrok: „w gasnących oczach / przeszywające zdziwienie" (ZM9). W innym miejscu odnajdziemy frazę: „odszedłeś jakbyśmy / mieli spotkać się jutro / rozdzierająco zwyczajnie" (ZM19). W zwrocie „rozdzierająco zwyczajnie" tkwi świadomość, że śmierć realizuje swoje prawo, nie bacząc na wyobrażenia i pragnienia człowieka: „lęk śmierci który / suchym szorstkim językiem / wszystko zlizuje" (ZM66). Przyroda potęguje dreszcz istnienia i bez-istnienia: „za oknami gałęzie dygocą i spływa / ciemność wyrąbana bezgłośnie / w szkliwie nocy" (ZM9). Zwróćmy uwagę na antropomorfizację drzewa („gałęzie dygocą") oraz szorstkość („wyrąbana", „szkliwo") „podwojonego" mroku (ciemność, noc). Opis jest tak sugestywny, że niemal słyszy się (odczuwa), mimo „bezgłośności", gwałtowność zdarzenia. Symbol lęku to wskazane dygotanie, drżenie, pojawiające się w wielu lirykach: „febryczny dygot odchodzącego ciała" (ZM18), „ciszo drżąca / skamieniałość powietrza" (ZM19), „za oknami / dygoce z chłodu wiosna" (ZM21), „patrzę przerażona / za oknami znowu drży / spóźniona wiosna" (ZM22). Podkreślmy też motyw okna jako wyraz zamknięcia, osamotnienia. Kobieta w wierszach Elżbiety Cichli-Czarniawskiej uświadamia sobie swoją znikomość, małość: „ja – / zabłąkany podmuch wiatru / na strychu opuszczonego domostwa" (ZM10); cofa się w siebie, chcąc odciąć od świata zewnętrznego: „ja / zamknięta jak małż w skorupie ciała" (ZM11).

Cykl *poza wszystkim* Elżbiety Cichli-Czarniawskiej można zestawić z tomem Ludmiły Marjańskiej *Żywica*, będącym poetyckim diariuszem autorki żegnającej męża, którego choroba uparcie zabierała na drugą stronę: „Zagubiona tożsamość Nieobecna bliskość / Najbliższy jeszcze choć nie ten sam człowiek" (ŻW10[3]). Dedykowana „Pamięci J." (Janusza Marjańskiego) książka również zawiera wiele przygaszonych barw, żałobnych kolorów: „czarne krople bólu" (ŻW7), „jedna mroczna gwiazda" (ŻW24), „czarne wnętrze tulipanu" (ŻW25). Autorka *Zmrożonego światła*, nie mogąc pogodzić się ze śmiercią ukochanej osoby, przyznaje, iż jej serce było miejscem walki skrajnych emocji:

Między litością a rozpaczą
między słabością a przymusem
po kamiennej podłodze nienawiści
schodzę na dno współczucia
krok po kroku
kamieniejąc
(ŻW15).

Henryk Czarniawski był człowiekiem muzyki („musiałeś narodzić się / z muzyki", ZM12), pisał na jej temat szkice i recenzje oraz grał na pianinie, dlatego zupełnie innego znaczenia nabiera liryk ****(skąd snuje się)*, utworzony z tematów muzycznych wyrażających przeczucia i przestrach: „nieokreślona nuta" (ZM12), „ślepa melodia znikąd" (ZM12), „nic / prócz akordu ciszy / stamtąd" (ZM13). Gdy czytam: „jak czarny klawisz / fortepianu / wieczność przechadza się / tuż obok" (ZM12), przypomina mi się fotografia przedstawiająca Henryka Czarniawskiego przy pianinie, znajdująca się na czwartej stronicy okładki jego pośmiertnego dzieła *Lekko uchyl drzwi. Wybór sentencji*[4]. Do innego zdjęcia męża nawiązuje Elżbieta Cichla-Czarniawska w *fotografii na obwolucie książki*: „patrzy mi prosto w oczy / i lekko się uśmiecha" (ZM14).

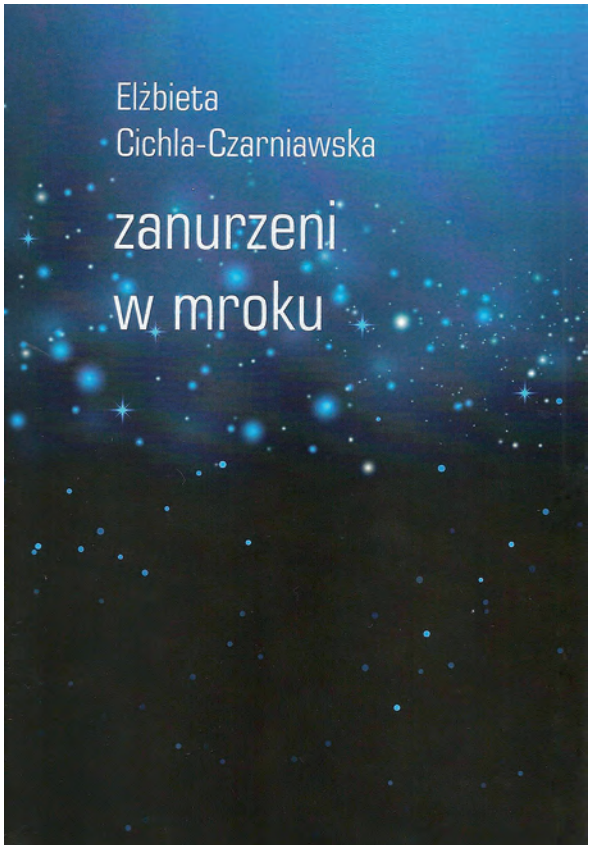

Poetka zadaje pytania o sens życia, zastanawia się, czy warto podejmować wędrówkę i walkę o siebie („tułaczka wydaje się zbyt mozolna / a prawda nieznana", ZM28; „czekaj na błysk przeznaczenia / wreszcie przyjdzie i szalonym ostrzem / wbije się w naskórek życia" ZM57), skoro tak niewiele zależy od nas i naszych starań („i przeminąłeś w błysku ognia / nie tak powinno się stać", ZM24), a piękne plany często obracają się wniwecz, pozostawiając udrękę, bezradność i milczenie: „tylko milczenie jest wieczne" (ZM14). Wszystko inne rozsypuje się, znika, niknie, ginie: „dokąd uleciały pocałunki / dokąd wydarzenia westchnienia wspomnienia" (ZM15). Ukochany nie odpowiada na wołanie oblubienicy, która zdaje się wątpić w istnienie lub dobrą wolę Boga: „próżne czekanie na słowo / i Wiekuisty / milczy" (ZM20), „jesteś ale nie wiem czy jesteś / kierujesz moje kroki / ale nie wiem dokąd" (ZM59), by skonstatować surowość Absolutu. To cichy bunt i wyrażenie samotności: „czy to nie okrutne że na resztę dni / podarowanych mi przez kogoś / łaskawie / jesteś już tylko złudzeniem?" (ZM22). A może bohaterka chce sprowokować Stwórcę do reakcji, do gestu, by dał znak, że nie pozostawi jej na pastwę niewiadomego, nieznanego? – „nieogarniony lecz ogarniający / bliski a odległy / wołam cię przez ścianę nieskończoności" (ZM60). Po śmierci męża dręczy poetkę „pozbawione kształtu życie" (ZM22), dlatego bohaterka mówi: „to już zupełnie zniekształcona ja / omotana przez coś / w co muszę kiedyś wejść jak wchodzą inni" (ZM28). Jak się uporać z życiem, przecież „to już zupełnie inna rzeczywistość // […] // to już zupełnie obca codzienność" (ZM27)? Autorkę cechuje gorzki namysł nad upływającym czasem: „udręka wieku starości" (ZM27) i dojściem do ściany niewiedzy:

jestem spóźniona o życie
żeby dać wiarę pogłoskom
musiałabym nauczyć się
ciemności mojego serca
na pamięć

za trudno
podróż dobiega końca
(ZM86).

Warto zatrzymać się przy tekstach z części *siedem opisów z pamięci*, przynoszących obrazy, które mocno wryły się w podświadomość i żądają ujawnienia. W rozmowie ze mną poetka podkreśliła, że wraca do niej wstrząsające doświadczenie II wojny światowej, z każdym rokiem coraz silniejsze:

po przeciwległej stronie pamięci
ja nie ja
nieważka
jakbym walczyła z infantylną przeszłością
która wgryzła się w gardło
i ssie
(ZM35).

Wyznaje też: „przywołuję tamten ociemniały czas" (ZM38), „po dziesiątkach lat / ciągle lecę w tę otchłań" (ZM39), „po raz nie wiadomo który wyznaję okaleczoną miłość / do czasów nędzy i pogardy" (ZM44). W tych wierszach zdarzenia minione istnieją niezwykle realnie, jeszcze bardziej odczuwalnie, niż w czasie rzeczywistym, a może akt przywołania przeszłości powoduje, że traumatyczne przeżycia tężeją i wszystko widzi się wyraźniej, silniej, boleśniej: „koścista ręka pisze już znak zguby" (ZM36), „początek stał się końcem / podmuch śmierci przez ciało i krew" (ZM37), „zaczynała się groza epoki" (ZM34), „potem zawiesili brunatną zasłonę / sprawdzili strzępy dokumentów" (ZM34), „słuchać zbłąkanych szeptów rozwleczonych krwawo / po wrześniowym polu" (ZM37). W wierszu *III* (****(przywołuję tamten ociemniały czas)*) autorka nawiązuje do zdarzenia ze stycznia 1940 roku, gdy wraz z rodzicami rozpoczęła powrót z Kamienia Koszyrskiego do Częstochowy. Wiersz jest lirycznym wariantem zapisu pochodzącego z eseju *Miejsca (nie)stałego pobytu* Elżbiety Cichli-Czarniawskiej. Porównajmy odpowiednie fragmenty:

> Potem był jeszcze Kamień Koszyrski, wkroczenie wojsk sowieckich i… dobrzy ludzie: Białorusin Arsenij i jego żona Ukrainka na pewno narażali życie dla obcych, ukrywali nas (i nie tylko nas) do stycznia 1940 r. Dopiero wtedy mogliśmy dokonać nocnej przeprawy przez skuty lodem Bug, gdzieś w okolicy Siemiatycz. Dramatyczne przejście przez „zieloną granicę", która tamtej nocy nie była zielona, lecz przeraźliwie, nawet w ciemnościach, biała pod czarnym, wygwieżdżonym niebem. Czterdzieści stopni mrozu, śnieg sięgał dorosłym po pachy. Rodzice próbowali ciągnąć mnie po tym śniegu na kocu, brakowało im sił, ojciec zasłabł. Pamiętam do dziś: panicznie się bałam, że zsunę się z koca, że mnie zgubią. A trzeba było zachować milczenie[5].

Liryk zawiera natomiast *passusy*, stanowiące rozwinięcie powyższych wspomnień:

ojcze nie umieraj na tym pustkowiu
matka podawała mu drżącymi rękami jakieś krople
które zamarzały na wargach
porzuciła wszystko co miała
gdy wreszcie powiedział głucho: trzeba iść

koc szurgotał pode mną bałam się
że mnie zgubią że zostawią
płakałam w sobie nie wolno było płakać głośno
gubiliśmy i odnajdywali drogę na bezdrożu
tymczasem szmaragd zmienił się w czerń
gdzie jesteśmy? jak zdyszane zwierzę
wyczuwał ojciec ślady żołnierskim węchem

nareszcie znajome gorączkowe głosy
szybciej szybciej ślizgały się po lodowatej koleinie
skaczcie przez płot płaszcz na ciele matki
pęka czterdzieści stopni mrozu
styczeń rok czterdziesty nie zasypiaj
bo zaśniesz na wieki
(ZM38-39).

Wołanie „ojcze nie umieraj" nadaje scenie dramatyzmu, a całość przesycona jest autentycznym bólem przeszywającym również czytelnika.

Poetka dotyka tematu konfliktów zbrojnych, w których ludzie tracą domy, dobytek: „tak było nim nadeszła nawałnica / później wszystko zasypane gruzem" (ZM40). Zauważmy, że mottem zamykającego zbiór utworu *nawałnica* są słowa Mirosława Ikonowicza z *Pohulanki*: „Wojna, zwłaszcza przeżyta w dzieciństwie, nigdy już cię nie opuszcza" (ZM89).

Tom zdaje się być również wyrazem kryzysu wiary w świat, dlatego niepewność: „dokąd toczy się / zamglony widnokrąg / i gdzie moja wolność?" (ZM51), „nie wszystko wiemy / dociekając głosu z wiecznych mroków" (ZM54). Stajemy się bezwolnymi marionetkami, zdanymi na przywidzenia. Śni się nam rzeczywistość czy urzeczywistnia sen? Lecz odpowiedź niczego nie wyjaśnia, nie poprawia kondycji człowieka: „co było najważniejsze stało się nieważne / reszta to tylko kosooka śmierć" (ZM84), „nieważne dokąd zajdziesz / bo to co widzialne przemija" (ZM58), „na próżno szukać / co jest utracone" (ZM6). Ostatecznie pozostaje tylko samotność i śmierć jako najwierniejsze przymioty bytu: „przez krótki czas istnienia / byłam świadkiem / jutro już mnie nie będzie" (ZM64), „nie unikniesz kataklizmu / już walą się skłębione chmury" (ZM68). Myśli obezwładnia wszechpotężny lęk skojarzony z barwami mroku: „okruchy rozproszonej ciemności / […] / lęk podskórny" (ZM23), „zmierzch zapowiadał się niepewnie / z nor jeden za drugim wyglądały lęki" (ZM25).

Zdzisław Tadeusz Łączkowski w posłowiu do tomu wierszy poetki *Tyle ile cię jest*, dostrzegł:

> Niezwykłość poezji Elżbiety Cichli-Czarniawskiej polega przede wszystkim na tym, że ta poetka, jak niewielu z nas, potrafi łączyć racjonalność z intuicją, potrafi mówić sercem i jednocześnie rozumem. Odczuwa potrzebę bliskości i umiłowania człowieka, zrozumienia jego okaleczeń i osamotnienia w dzisiejszym świecie; a rozum poetki ciągle pyta i wierzy, choć nie jest to wiara łatwa. Wierzy, że nadejdzie czas zbierania plonów obfitości, że czas łez minie[6].

Z kolei Zbigniew Żmigrodzki skomentował debiut książkowy Elżbiety Cichli-Czarniawskiej *Określając światłocień*[7] opinią, którą można odnieść także do *zanurzonych w mroku*: „[tom] prezentuje […] pewien porządek filozoficzny, który można przyjąć lub odrzucić, ale który warto przeżyć, czytając”[8]. Ten pierwszy zbiór liryczny swoim tytułem mógł sugerować czekający autorkę wybór w zakresie pól artystycznych eksploracji (jasność – ciemność). Dziś, po ponad 50 latach, poetka wydaje się po raz kolejny potwierdzać, że bliższy jest jej mrok, choć zanurzenie w nim nie oznacza jeszcze poddania się (utonięcia), wreszcie – nie oznajmia rezygnacji z pisania wierszy. W liście do mnie Elżbieta Cichla-Czarniawska sugeruje co prawda, iż to tom „naprawdę ostatni”, lecz być *bliżej milczenia*[9] (tytuł zbioru poetki z 2015 roku) to nie to samo, co zamilknąć.

1. W recenzji używam skrótu „ZM” na oznaczenie cytatów z tomu Elżbiety Cichli-Czarniawskiej *zanurzeni w mroku* (Norbertinum, Lublin 2019). Cyfra arabska odsyła do stronicy przywołania.
2. Od wydawcy, [w:] Elżbieta Cichla-Czarniawska, *Tyle ile cię jest. Wybór poezji*, Norbertinum, Lublin 2005, s. 6.
3. W recenzji używam skrótu „ŻW” na oznaczenie cytatów z tomu Ludmiły Marjańskiej *Żywica* („Czytelnik”, Warszawa 2001). Cyfra arabska odsyła do stronicy przywołania.
4. Henryk Czarniawski, *Lekko uchyl drzwi. Wybór sentencji*, Norbertinum, Lublin 2018.
5. Elżbieta Cichla-Czarniawska, *Miejsca (nie)stałego pobytu*, [w:] tejże, *Sumowanie znaków (wspomnienia, małe prozy, szkice)*, POLIHYMNIA, Lublin 2006, s. 18.
6. Zdzisław Tadeusz Łączkowski, *Poszukiwanie sensu człowieczego trwania* (posłowie), [w:] Elżbieta Cichla-Czarniawska, *Tyle ile cię jest*. Wybór poezji, s. 332.
7. Elżbieta Cichla-Czarniawska, *Określając światłocień*, Instytut Wydawniczy „PAX”, Warszawa 1966.
8. Zbigniew Żmigrodzki, *Poezja E. Cichli-Czarniawskiej* [rec.: Elżbieta Cichla-Czarniawska, *Określając światłocień*], „Życie Częstochowy” 1967, nr 55, s. 10.
9. Elżbieta Cichla-Czarniawska, *bliżej milczenia*, Norbertinum, Lublin 2015.

Elżbieta Cichla-Czarniawska

JÓZEF MIKOŁAJTIS. WSPOMNIENIE

W lipcu 1958 r., po ukończeniu studiów polonistycznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i rocznej pracy w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego, wróciłam na stałe do Częstochowy. Chociaż Lublin nie był wówczas metropolią, moje miasto rodzinne wydawało mi się ciche, ospałe, nie budzące nadziei na osobisty rozwój, którego bardzo oczekiwałam. Musiałam jednak w nim pozostać, gdyż w grodzie chlubiącym się herbem kozła sięgającego gałęzi winogradu, nie mogłam znaleźć mieszkania, choćby małego, ale samodzielnego pokoiku. Zresztą ojciec ciężko chorował, a matka borykała się z trudnościami, byłam im więc potrzebna i to jak najszybciej. Zaczęłam pracować w szkole podstawowej, o czym nigdy nie myślałam, jednak na inną pracę nie było wtedy widoków po studiach na KUL-u.

Podczas wcześniejszych pobytów wakacyjnych spędzanych w Częstochowie poznałam Zbigniewa Żmigrodzkiego i Tadeusza Gierymskiego. Obaj panowie często wspominali profesora Józefa Mikołajtisa, niegdyś nauczyciela języka polskiego w Liceum im. R. Traugutta, mówiąc o jego zasługach i niebywałej energii, która w 1956 roku doprowadziła do powstania częstochowskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Jednym z członków-założycieli był właśnie Żmigrodzki. Pozostałych nie znałam, wkrótce jednak (niestety, nie pamiętam w jakich okolicznościach), Zbigniew przedstawił mnie Mikołajtisowi i bardzo szybko zostałam członkiem oddziału, a wraz ze mną mój przyszły mąż, Henryk Czarniawski, który wówczas jeszcze kończył studia i przez rok pojawiał się tylko na krótko w naszym mieście. Stało się... i odtąd na długie lata związani byliśmy z Towarzystwem, jego członkami, a przede wszystkim z Profesorem, niezapomnianym do dziś prezesem.

Pracowałam przez siedemnaście lat w różnych typach szkół: podstawowych i zawodowych. Dzięki podjęciu działalności w TLiAM zniknęła groźba, że zapomnę, czego się nauczyłam na studiach, że poddam się codziennemu schematowi. Nie potrafiłam pozbyć się takich ponurych przewidywań. Nie znaczy to, że nie lubiłam pracy z młodymi (niewiele młodszymi wtedy ode mnie!) lub nie szanowałam wysiłku nauczycieli, wiele im przecież zawdzięczałam. Muszę jednak szczerze wyznać, że do tej pracy zupełnie się nie nadawałam z wielu przyczyn, przede wszystkim dlatego, że ceniłam samodzielność myślenia, poszukiwanie własnych rozwiązań pojawiających się problemów, kochałam literaturę i jej chciałam się poświęcić bez reszty. Jak się okazało, działalność w TLiAM w pewnym stopniu umożliwiała realizację moich potrzeb, zarówno wtedy, gdy udzielałam się jako członek uczestniczący biernie w rozmaitych sesjach, gdy słuchałam ciekawych referatów i spostrzeżeń innych osób, jak i wtedy, gdy sama występowałam jako prelegentka, skarbnik czy sekretarz oddziału, wreszcie, kiedy zaczęłam pisać najpierw poezję, potem prozę. Wtedy pojawiły się nowe potrzeby, ale to stało się już znacznie później.

Nie będę powtarzała szczegółów dotyczących działalności w Towarzystwie, gdyż bardzo wyczerpująco opowiedziały o nich, opierając się na dokumentach, obecna Prezes pani doktor Elżbieta Wróbel i pani Teresa Majak w książkach *Literatura i kultura w Częstochowie. Częstochowa w literaturze i kulturze* (Częstochowa 2009) oraz *Częstochowa nasze miasto. Wydarzenia, wspomnienia, ludzie* (Częstochowa 2018). Ich zasługą są dokładne sprawozdania z działalności oddziału, opracowane na pięćdziesięciolecie i sześćdziesięciolecie jego istnienia. Pragnę jedynie dorzucić kilka wspomnień łączących się z nim i z jego pierwszym prezesem,

panem Józefem Mikołajtisem, a także z innymi członkami. Bo należy mocno podkreślić, że oprócz ważnych inicjatyw statutowych oraz tych wypracowanych zgodnie z potrzebami miasta, organizacja ta miała jeszcze jedną stronę nie do pominięcia: łączyła swoich członków silnymi więzami, które w wielu przypadkach przeradzały się później w serdeczną przyjaźń, nawet gdy opuszczali miasto na zawsze.

Oddział częstochowski powstał, zanim wraz z mężem znalazłam się w jego szeregach – zebranie założycielskie odbyło się w Bibliotece Miejskiej 24 listopada 1956 roku. Mimo naszego młodego wieku, niewielkiego jeszcze doświadczenia, poczucia braku śmiałości i umiejętności formułowania wypowiedzi, Mikołajtis docenił nasze umiejętności. Natychmiast nałożył na nas pewne obowiązki (odczyty, w następnych latach funkcje organizacyjne oraz działalność w powstałym przy oddziale Studium Humanistycznym) i wymagał – tak, wymagał – aby były one solidnie wypełniane. W wypowiedziach o Prezesie rzadko znajduję słowa, które podkreślałyby jego konsekwencję w oczekiwaniu uczciwej pracy, może dlatego, że zawsze robił to z uśmiechem i słowem zachęty. W takiej sytuacji po prostu nie można było dopuścić do tego, żeby czuł się zawiedziony.

Profesor Mikołajtis opanował do perfekcji umiejętność lawirowania między peerelowską rzeczywistością a koniecznością docierania do jak najszerszych grup społeczeństwa w ramach upowszechniania kultury i dobrze pojętego humanizowania. Dzięki jego zapobiegliwości i życzliwości zapraszano na odczyty, sesje i wystawy uczonych z miast uniwersyteckich czy wybitnych przedstawicieli świata literackiego. Z kolei częstochowianie jeździli z odczytami do mniejszych ośrodków, np. do bibliotek w Kłobucku, Piotrkowie czy Radomsku. Zdarzało się, że czasem wyjazdy te przynosiły zaskoczenie. Pamiętam jeden z moich „występów" bodajże w Janowie, gdzie zjawiło się sporo „słuchaczy". Niestety, w ostatniej chwili musiałam zmienić całkowicie temat, gdyż grono niesfornych małolatków nie oczekiwało bynajmniej wykładu o życiu i działalności Marii Konopnickiej, lecz... wysłuchania jej bajki *O krasnoludkach i o sierotce Marysi*. Cóż, wypadek przy pracy... Nie dociekałam, jak pani, która przyprowadziła dzieci na pogadankę, zapowiedziała jej treść.

Bywało, że Mikołajtis umiał być „twardy", a jego posunięcia mogły wydawać się niedocieczone. Czasy były przewrotne i oceniając je dzisiaj, trzeba kierować się swoistą inteligencją. Oto na przykład TLiAM włączyło się w obchody 60-lecia rewolucji październikowej. Nawet nie przypuszczałam, że czeka mnie prelekcja związana z tym tematem, ponieważ mieli zająć się nim specjaliści, jak profesor Florian Nieuważny czy spośród członków Oddziału panowie Ryszard Karpowicz i Tomasz Wójcik. Jednak Mikołajtis miał już dla mnie gotowy temat odczytu: „Majakowski – poeta rewolucji". Zaskoczona powiedziałam, że nie mam nic przeciw Majakowskimu, ale przecież nie studiowałam rusycystyki, a poza tym tak sformułowany problem budzić musi pewne wątpliwości. Mimo moich zastrzeżeń referat włączono do wykładów sesji i pod takim tytułem wydrukowano w „Komunikatach Naukowych".

Kontakt nie tak już częsty, ale serdeczny, utrzymaliśmy z panem Mikołajtisem niemal do jego śmierci w 1991 roku. Przysyłał nam kolejne edycje swojej *Historii literatury ziemi częstochowskiej* z podpisem własnym i członków oddziału oraz egzemplarze dedykowane całej rodzinie. Pisał nieszablonowe listy, w których informował nas, co się dzieje w Oddziale, jakie inicjatywy są podejmowane, ale interesował się również, jak ułożyło się nasze życie osobiste, zapraszał do Częstochowy i na zebrania TLiAM. Na jednym z nich w 1987 roku opowiedzieliśmy o życiu literackim i kulturalnym Lublina.

Zawsze zastanawiałam się, jak Profesorowi udaje się osiągnąć to, że na sesjach organizowanych przez niego, sale są pełne słuchaczy. Tak było np. wtedy, gdy w Teatrze

im. Adama Mickiewicza 10 marca 1969 roku odbywała się Sesja literacka ku czci 25-lecia PRL. Jako jedna z prelegentek miałam wtedy przyjemność mówić „O twórczości poetyckiej Częstochowy w 25-leciu PRL" i doprawdy dziwiłam się, jak to możliwe, że gośćmi (większość stanowili uczniowie szkół średnich, bowiem niektóre sesje miały charakter nie tylko *stricte* naukowy, ale i popularyzatorski, dostosowany do potrzeb i zainteresowań młodzieży) zapełniły się wszystkie miejsca wielkiej sali Teatru – i te na parterze, i na balkonach, czy nawet miejsca stojące. Fotografie zarejestrowały ten fenomen.

Niejednokrotnie mieliśmy okazję słuchać odczytów wybitnych uczonych, którzy brali udział w sesjach lub na zebraniach oddziału. Warto przypomnieć chociażby naukowców z Lublina, którzy niegdyś studiowali lub pracowali na KUL-u: profesorów: Czesława Zgorzelskiego, Jerzego Starnawskiego, Irenę Sławińską, Ireneusza Opackiego, Andrzeja Paluchowskiego, Wiesława Pawła Szymańskiego. Z innych ośrodków przyjeżdżali też Kazimierz Wyka, Julian Krzyżanowski, Bogusław Leśnodorski, a także znane osoby z zagranicy, choćby z Francji. Sesji i cykli wykładów za mojego pobytu w Częstochowie odbyło się kilka, np. trzymiesięczny cykl i wystawa związane z Rokiem Słowackiego (1959); sesja w 250. rocznicę urodzenia Jana Jakuba Rousseau w 1962 r., w której wzięli udział również członkowie oddziału częstochowskiego: Ziemowit Mikołajtis i Henryk Czarniawski; w r. 1966 prelekcja i wystawa poświęcona Władysławowi Sebyle z udziałem małżonki poety Sabiny Sebyłowej.

Profesor uruchomił także przy oddziale Studium Humanistyczne (pomysł należał do jego syna Ziemowita), jako placówkę mającą na celu pogłębianie wiedzy humanistycznej głównie wśród inżynierów kształconych na Politechnice Częstochowskiej, ale także wśród szerokiej rzeszy mieszkańców naszego – w dużym stopniu przemysłowego – miasta, przede wszystkim młodzieży. Jak się okazało, potrzeby były ogromne: Studium (lata 1957-1968) ukończyło prawie sześciuset słuchaczy. Szczegóły podaje pani Elżbieta Wróbel w sprawozdaniach z działalności TLiAM (jw.) a także Barbara Kubicka-Czekaj we wspomnieniu o Józefie Mikołajtisie (tamże, s. 50). Chciałabym przytoczyć tylko fragment artykułu Henryka Czarniawskiego z „Komunikatów Naukowych" (t. 37 s. 114) *Zainteresowania pozazawodowe dyrektorów przedsiębiorstw*, w którym podaje autor wyniki ankiety przeprowadzonej wśród nich i konkluduje: „Wydawałoby się na pierwszy rzut oka, że wiedza humanistyczna nie ma większego związku z działalnością praktyczną w zakładzie pracy. A jednak kształci ona wyobraźnię człowieka, tak potrzebną przy podejmowaniu decyzji perspektywicznych; wzbogaca osobowość, co jest przecież głównym celem wychowawczym czy samowychowawczym". Ma to znaczenie i dzisiaj, gdy humanistyka jest „w odwrocie".

Z działalnością Mikołajtisa i częstochowskiego oddziału TLiAM wiąże się także wydawanie „Komunikatów Naukowych". Nie zawsze ukazywały się one pod takim tytułem i bywały niekonsekwentnie numerowane, jednak stanowiły wiarygodne świadectwo systematycznych badań i twórczego zaangażowania członków oddziału. Periodyk ten pojawiał się nadspodziewanie długo (lata 1961 do 1992), ukazało się ponad czterdzieści numerów. Choć nie wszystkie opublikowane tu prace zasługują na miano „naukowych", są jednak dowodem aktywności środowiska i jego Prezesa; warto przy tym dodać, że ich autorzy nie otrzymywali jakichkolwiek honorariów.

Z „Komunikatami" wiąże się pewna sprawa osobista. Mikołajtis zawsze, nie tylko powierzchownie i z grzeczności, interesował się moją twórczością i jej rozwojem. Czasy były trudne szczególnie dla mnie, nie mogłam znaleźć wydawcy. Fakt, iż byłam absolwentką KUL, był w tym okresie niemile widziany przez czynniki oficjalne. Kiedyś, gdy wracaliśmy pociągiem ze zjazdu TLiAM w Olsztynie, powiedziałam o tym Profesorowi, a on, nie

namyślając się długo, zaproponował, żebym wybrała kilka wierszy do numeru-wkładki „Komunikatów" z nadpisem „poezja". Tak się i stało. Stanisław Andrzej Łukowski, autor *Informatora* poświęconego Lubelskiemu Oddziałowi ZLP (2013), potraktował tę publikację jako mój samodzielny debiut książkowy; podobnie odnotowana jest ona w słowniku bibliograficznym *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury* z roku 1994.

Piszę o tym, aby podkreślić nie tylko zaangażowanie pana Mikołajtisa w sprawy oddziału, jego energię, wszechstronność, dociekliwość, pracowitość i przede wszystkim oczarowanie literaturą polską, ale by zaakcentować konsekwencję w sprawach dotyczących życia bieżącego, czasem nawet w drobiazgach. Wymagający, choć życzliwy i uprzejmy, w nawale zajęć zawsze znajdował okazję i wolną chwilę na podkreślenie własnego stosunku do ludzi. Były to niejednokrotnie momenty wzruszające. Przywołuję siebie i najbliższych „na świadków" podobnych wydarzeń, gdyż najłatwiej je uchwycić w takiej właśnie subiektywnej perspektywie. Nigdy nie zapomnę, że przyszedł na pogrzeb mojego ojca, że pamiętał o zdrowiu mamy i pytał o nią, prosząc, aby towarzyszyła nam podczas spotkań towarzyskich. Pięknie, w imieniu własnym i oddziału, odnotował urodziny naszego syna, a wiele lat później kolejne doktoraty: mój i męża. Gdy wróciliśmy z Wilna, rodzinnego miasta mojego męża, które mogliśmy odwiedzić dopiero w 1967 r., Mikołajtis natychmiast zaproponował, byśmy opowiedzieli o „pamiątkach mickiewiczowskich na Litwie", co też uczyniliśmy, posługując się zdjęciami i przeźroczami. A jeszcze wcześniej, w ramach Roku Słowackiego, urządził wycieczkę do Krakowa (z dyrektorem muzeum Częstochowskiego, Włodzimierzem Błaszczykiem), gdzie pokłoniliśmy się prochom Mickiewicza i Słowackiego na Wawelu. Bo Profesor uczył miłości do ojczyzny nie tylko przekazując wiedzę; zawsze starał się wzbudzić żywy, uczuciowy stosunek do pamiątek narodowych czy miejsc związanych z wielkimi Polakami (ze szczególnym uwzględnieniem wieszczów-romantyków). Jego postawę niejednokrotnie miały za złe władze komunistyczne. Trudny do zaakceptowania dla nich musiał być chociażby fakt, że przez pewien czas prowadził zajęcia w Seminarium Duchownym w Częstochowie. Pewnego dnia, pod koniec naszego pobytu w tym mieście, na prośbę Profesora (zapewne zależało mu na obecności świadka) uczestniczyłam w rozmowie z urzędnikami Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Wezwanie „na dywanik" dotyczyło m.in. kwestii finansowania oddziału, co do których panowie przedstawili szereg zarzutów. Mikołajtis zdecydowanie i konsekwentnie je odpierał. Jego odwaga bardzo mi wówczas zaimponowała.

I jeszcze jedna, nie tak częsta u ludzi cecha: wspaniałe poczucie humoru łączące się z elegancją. Studium Humanistyczne urządziło kiedyś skromne przyjęcie... z tańcami. Profesor pojawił się na nim z Małżonką, wygłosił krótką mowę, zatańczył i towarzyszył nam, umilając czas konwersacją, dowcipami, uśmiechem. Zebrało się sporo członków TLiAM i słuchaczy Studium. Myślę, że czuliśmy się doskonale, skoro parę lat temu odwiedził nas w Lublinie pewien pan – uczestnik tej imprezy, i zażartował: „Ciekawe, komu teraz w zaświatach Profesor opowiada dowcipy o świętym Piotrze?"

Nie tylko ja odnotowałam w pamięci tę niezwykłą postać. Dowodem są słowa osób, które z Mikołajtisem współpracowały: profesora Józefa Wójcickiego, Edmunda Łągiewki, Stanisława Pospieszalskiego, Barbary Kubickiej-Czekaj i innych. A przede wszystkim zgodne opinie byłych uczniów z Liceum R. Traugutta, wdzięcznych za lata nauki, za ukazanie piękna polskiej literatury i za patriotyzm.

Wiceprezesem oddziału był za moich czasów pan Wójcicki, również zasłużony nauczyciel. Po rezygnacji Mikołajtisa trzy lata przewodniczył oddziałowi mimo coraz bardziej dokuczających mu dolegliwości związanych z wiekiem. Bliższego kontaktu już z nim nie miałam. Nie rozpadły się jednak więzy przyjaźni z Barbarą i Edmundem Łągiewkami,

którzy odwiedzili nas w Lublinie; po śmierci Edmunda utrzymuję nadal kontakt z Barbarą. Również z Barbarą Kubicką-Czekaj, która bywała u nas podczas penetrowania zasobów lubelskich bibliotek. A jakże pominąć architekta Stanisława Pospieszalskiego, który mimo trosk domowych, nawet swego brata Antoniego, dziennikarza sekcji polskiej radia BBC, angażował jako lektora i opiniodawcę wierszy członków oddziału. I pani Maria Borysówna, dzięki której w latach posuchy otrzymałam kilka godzin lekcyjnych w Liceum ss. Nazaretanek, mojej szkole, gdzie w 1953 r. zdawałam maturę z dwunastu przedmiotów, a która wkrótce została zlikwidowana. I jeszcze Maria Rolska i jej mąż Władysław, ich częstochowski domek; pełno w nim było pamiątek z Iraku i Ghany, gdyż tam przez pewien czas pracowali. A na cmentarzu na Kulach grób jej ojca, zamordowanego przez hitlerowców.

Wreszcie profesor Zbigniew Żmigrodzki, któremu zawdzięczam wiele miłych i dobrych chwil, i który do dzisiaj, będąc na emeryturze, wraz z żoną, Marią Sołdrowską pracuje w domowym zaciszu. Utrzymujemy kontakt telefoniczny i rozmawiamy z dużą życzliwością, spotkaliśmy się również, gdy był w Lublinie na jakiejś sesji naukowej. Wtedy też po raz ostatni kilka słów zamieniłam z profesorem Jerzym Starnawskim.

Oddział TLiAM w Częstochowie nie był dla mnie tylko „instytucją kulturalną" ubogacającą rodzinne miasto, lecz źródłem wielu doświadczeń i przeżyć osobistych, o których pamięć przetrwała mimo trwającego trzydzieści pięć lat oddalenia.

Wacław Jagielski, „Szkic na Syros" – ołówek, 2015

Ewelina Dziewońska-Chudy

ELŻBIETA CICHLA-CZARNIAWSKA I CZĘSTOCHOWA – KILKA PODSTAWOWYCH FAKTÓW

Elżbieta Cichla-Czarniawska (rocznik 1935) wiele lat spędziła w Częstochowie, która była jej rodzinnym miastem, mimo iż przyszła na świat w Łodzi. Rodzice zdecydowali, że urodzi się w Łodzi, gdyż tam znajdowała się lepsza opieka lekarska zarówno dla matki w połogu, jak i noworodka. Dzieciństwo i młodość spędziła w Częstochowie. Była wychowanką szkół prowadzonych przez ss. Nazaretanki; ukończyła prowadzoną przez siostry zakonne szkołę podstawową, a następnie także liceum. Po maturze – 1953 rok – studiowała polonistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Po studiach i krótkim okresie pracy w Lublinie wróciła do Częstochowy i przez siedemnaście lat pracowała jako nauczycielka języka polskiego między innymi w Zespole Szkół Budowlanych. Była aktywnym członkiem Częstochowskiego Oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, który powstał w mieście w 1956 roku z inicjatywy wybitnego nauczyciela i polonisty Józefa Mikołajtisa. W latach 1958-1983 pisarka pełniła w oddziale wiele ważnych funkcji: skarbnika, sekretarza, członka Komisji Rewizyjnej. Wspierała także działalność Studium Humanistycznego, które zorganizowali poloniści zrzeszeni w Towarzystwie. Wygłaszała odczyty, brała udział w spotkaniach literackich, uczestniczyła w sesjach naukowych. Jej zainteresowania naukowe koncentrowały się wokół poezji dwudziestego wieku, analizowała twórczość Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Juliana Przybosia, Haliny Poświatowskiej, Jalu Kurka, a pierwsze swoje artykuły naukowe drukowała na łamach „Komunikatów Naukowych", periodyku wydawanego przez Częstochowski Oddział TLiAM. W lokalnej prasie ogłaszała teksty publicystyczne poświęcone plastyce. Doktorat, dotyczący twórczości poetyckiej Jalu Kurka, obroniła na Uniwersytecie Łódzkim w 1977 roku. Była jednym z pierwszych historyków literatury, zainteresowanych współczesnym życiem literackim Częstochowy.

Dla Elżbiety Cichli-Czarniwskiej szczególnie poruszającym przeżyciem stała się wystawa poświęcona Władysławowi Sebyle, którą w świetlicy Liceum im. Romualda Traugutta w 1966 roku przygotowano pod kierunkiem Józefa Mikołajtisa i Józefa Wójcickiego z udziałem Sabiny Sebyłowej – żony zamordowanego w Katyniu poety. W książce autobiograficznej *Sumowanie znaków* pisarka tak wspominała tę absolutnie wyjątkową – zważywszy na polityczną rzeczywistość – wystawę:

> Dla mnie silnym przeżyciem była sesja w 1966 roku poświęcona Władysławowi Sebyle oraz wystawa związana z jego życiem i twórczością. Od dawna interesowałam się literaturą dwudziestolecia międzywojennego; poezja, urodzonego w pobliskim Kłobucku, członka grupy literackiej „Kwadryga", fascynowała mnie, zbliżało też do tej postaci podobieństwo losów i ostatniej drogi poety i mojego wuja Władysława, ofiar mordu dokonanego na polskich oficerach. Na sesji obecna była małżonka autora *Pieśni szczurołapa*, pani Sabina Sebyłowa z synem. Mogłyśmy swobodnie porozmawiać o tym, o czym jeszcze długo nie mówiono bez obaw. Myślę, że te wszystkie przeżycia odezwały

> się we mnie po latach i sprowokowały do napisania skromnej rocznicowej książki o Władysławie Sebyle (Lublin 200)[1].

Warto dodać, że książka poświęcona Sebyle[2] szybko zdobyła uznanie historyków literatury. Jednak Elżbieta Cichla-Czarniawska rozpoznawalna jest przede wszystkim jako poetka o znaczącym dorobku lirycznym, obecnym w ogólnopolskim dyskursie krytycznym oraz literaturoznawczym. Debiutowała w 1955 roku wierszami *Zabawa* i *Żniwo*, ogłoszonymi na łamach „Tygodnika Powszechnego"[3]. Pierwszy tom poetycki *Określając światłocień* z 1963 roku opublikowany został przez Oddział Częstochowski TLiAM. Do chwili obecnej opublikowała dwadzieścia pięć tomików poetyckich (liczonych łącznie z wyborami autorskimi), wydała także kilkanaście zbiorów utworów prozatorskich, zredagowała wybory wierszy Juliana Tuwima i Kazimierza Wierzyńskiego oraz szereg książek z zakresu literaturoznawstwa i krytyki literackiej.

W 1983 roku wyjechała do Lublina, w którym mieszka i wciąż pisze wiersze, pełne emocjonalnego skupienia i trudnych egzystencjonalnych rozważań. Niedawno ukazał się jej najnowszy tom poetycki, jakże wymowie zatytułowany *Zanurzeni w mroku*. O dwóch najważniejszych miastach w swoim życiu przed laty stwierdziła:

> Ilekroć odwiedzam moją rodzinną Częstochowę, oddycham głęboko, żeby nasycić się tym czymś nieuchwytnym, co na ogół bywa niedostrzegalne dla postronnych. Częstochowa jest dla mnie jak pierwsza miłość (może nie całkiem odwzajemniona), która odciska na człowieku ślad na całe życie. Tam i w okolicach są moje korzenie, mój „matecznik". Ale Lublin od dawna wołał i weszłam do niego przez gościnne otwarte drzwi[4].

Poetka doskonale wie, że poezja nie lubi miejsc stałych, zawsze krąży pomiędzy ludźmi, miastami, a nawet światami… Zatem warto i trzeba przeczytać kilka nowych wierszy poetki przysłanych z Lublina.

Ewelina Dziewońska-Chudy – częstochowianka, absolwentka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Podyplomowego Studium Dziennikarstwa i Zarządzania Informacją Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Podyplomowych Studiów Zarządzania kulturą w strukturach Unii Europejskiej w Polskiej Akademii Nauk. Doktorantka w UJD w Częstochowie na kierunku literaturoznawstwo. Przynależy do Częstochowskiego Oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, Towarzystwa Historycznego im. Szembeków w Częstochowie, w którym to pełni funkcję przewodniczącej Oddziału.
Interesuje się dziennikarstwem, literaturą i kulturą regionu, sztuką oraz fotografią.

1. E. Cichla-Czarniawska, *Sumowanie znaków (wspomnienia, małe prozy, szkice)*, Lublin 2006, s. 99–100.
2. Zob. E. Cichla-Czarniawska, *Władysław Sebyła. Życie i twórczość*, Lublin 2000.
3. Zob. „Tygodnik Powszechny" 1955, nr 39, s. 4; debiut poetycki nastąpił pod nazwiskiem Cichla.
4. E. Cichla-Czarniawska, *Sumowanie znaków…*, s. 26.

Wacław Jagielski, ,,W atelier'' – ołówek, 2017

Tadeusz Luterek

INNA BAJKA

NA POŻEGNANIE CZĘSTOCHOWSKIEGO PARKU

Zbisławowi Janikowskiemu

Staw; stado kaczek wśród stojącej wody,
skupione, przenikliwe widzenie przyrody,

mgliste, ulotne, jakby nierealne,
wyjęte z ram obrazu, niemal namacalne,

zabawne ich kąpiele, nurkowania, wzloty,
czynione dosyć chętnie, w rozbłyskach pozłoty,

dopływanie do brzegu, rozsiadanie w trawie,
ukrywanie w sitowiu, zagubienie prawie

i zgodne miedzy sobą zmawianie do lotu,
lekkie w górę wzbijanie, bez myśli powrotu.

SMUTNI MALARZE

Smutni malarze, jak rzeźby ich ciała,
mówią, że farba im oczy zalała,

że na wzrok padła, ogłosiła drogą
i tego stanu zmienić już nie mogą,

mieszają kolor, lekko rozjaśniają,
na płótno kładą, formę mu nadają,

zamki stawiają, kształty wyjątkowe,
o ich trwałości piasek nam opowie,

a kiedy obraz blaknie i twarz zmienia,
bezbrzeżne smutki topią w światłocieniach.

INNA BAJKA

„na razie ułożę ją w kokonie bezczasu
i oddam pod opiekę tej poważnej dziewczynki
którą jestem"
(Barbara Strzelbicka)

O, dorastania czasie! twa powaga
w oczach dojrzewa, nikt jej nie pomaga.

Rozpromieniona, słodkie śpiewki nuci
albo niechcący żarcik w kogoś rzuci.

Noc wszakże widzi i krew, co gęstnieje,
słyszy, jak kogut niewierności pieje.

Myśli malują inny obraz świata
i opowieści; inna śmierci data.

Inne widzenie, innym niedostępne,
drzwi wyważone; pierwsze i następne.

KRAJOBRAZ PO ZGASZENIU ŚWIATŁA

A kiedy światło lampy zgaśnie,
tyś przewodnikiem nocy, właśnie,

po pustych źrenic krajobrazach,
zmierzchu godzinach i obrazach,

światach bez twarzy, rumowiskach,
gdzie nie pamięta się nazwiska,

wody nie toczą się, lecz toną,
samozniszczenia są ikoną,

gdzie wyobraźnia trwa w bezruchu,
aż ją ogarnie plaga duchów.

OBRAZ NIEDOKOŃCZONY

Sierpień w Jeleśni. Łany i stóg zboża
w błękitach toną, chłoną błękit morza.

Wszelako złoto na pierwszym jest planie.
Tak mówi obraz. I niech tak zostanie.

Te dziwne fale kolorów i wzruszeń,
w które artysta wkłada całą duszę.

Rzeczy chce oblec w kształty nieskończone,
wszak o wieczności zabiega koronę.

Czy zamiar spełni, tego dobrze nie wie,
Gdy świat się traci w niedomówień śpiewie.

POGODNA RYMOWANKA

Januszowi Szuberowi

Ile wiosen rozpięknі się jeszcze przed nami,
co nowe kształty tworząc, potoczy falami,

spojrzy dyskretnie, postawi namioty,
pragnąc tego namiętnie, z czasem bez ochoty,

będzie przesłaniem, cieniem czy też żartem,
co lśni i mami, gdy drzwi wszerz otwarte

lub niepewnością czy wahaniem myśli,
wątłą nadzieją, co jeszcze się przyśni,

ile w tym zmyśleń, autorskich uproszczeń,
pobożnych życzeń – czekając na wiosnę?

Alicja Nowak

LINIA ŻYCIA

Linia życia

przeznaczenie znaczone
kreską
na początku delikatną i wątłą
zmieniającą bieg
oblicze
bywa prosta
bywa długa
często kręta
zataczająca koła
zda się
że kreślona grubą krechą
ma swój rysunek
jak chodnik
po którym chodzisz
kratka po kratce
w różnych wymiarach
i odcieniach barw
biegnie do przodu
jak dzień za dniem
kończy swój bieg
gdy zatrzyma ją piach

Życie

mimo upływu lat
zdobytych doświadczeń
jest dla mnie
niezrozumiałym
zjawiskiem
paletą barw
mocnych mrocznych
słabych
obrazem z laserunkiem
wyrównującym czas
pełnym uczuć
planów
nadziei dużo obiecującej
bo tylko pamięć
nosi obraz
szczęścia malowanego
szerokim pędzlem

Mój byt i zmiany

świat odwrócił się
wszystko stało się tak szybko inaczej
splot okoliczności dał zmiany.
pytania spotykają coraz większy opór
bo między myślą a słowem
jest przepaść pełna niepokoju
niewiadomej
życie zmieniając bieg wydarzeń
wywraca kozła w inną stronę
przytłacza problemami
nowymi obowiązkami
zaskoczeniem
strachem przed następnym dniem
obawami i pytaniami
na które nie ma odpowiedzi
zdewaluowały się dawne doświadczenia
w dobie szybkiego rozwoju
postępu wymagającego wiedzy
umiejętności nowych doświadczeń
zaskakujących trudno przyswajalną
nowoczesnością

Głowa

własne archiwum z przeżytego czasu
pełne wiadomości i wiedzy
wspomnień obrazów ludzi i zdarzeń
przysypanych czasem przeszłym
zawiesza się jak komputer
trudno przypomnieć sobie znajome twarze
kolor oczu kiedyś tak bliskich
wspomnienia z wydarzeń gubią prawdę
zmieniają barwy
daty
wyczerpuje się przez lata gromadzona pula
komputer zużywa się
wysiadają podzespoły
klawiatura jak kręgi rozregulowana
każdy klawisz z osobna działa
daje znać o sobie
o zmianach

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel

TRZYDZIESTOPAROLETNIE W LUSTRACH

ZMIERZCH ’80

Trwoga jak rywalka złośliwa i bezwzględna
wpadła w dom ich nagle szybko bez pukania
i rwąc włosy z głowy zwątpieniem pokryte
rozpaczą je rozrzuca po kątach mieszkania
i bierze za ręce trzydziestoparoletnie
jakby w taniec ostatni zaplątać je chciała
w korowodzie krzyku wiedzie na ulicę
gdzie słowa i kule dotykają ciała

trzydziestoparoletnie gubią radość w tłumie
w próg domu je prowadzi dzwoniąca w uszach pustka
wracają aby w milczeniu przyjrzeć się swojej twarzy
czy jej nie zgubiły odchodząc od lustra

NOC ’81

Przeglądają się w sobie jakby się nie znały
trzydziestoparoletnie zdziwione ciche smutne
jak pajęczyny koronek okrywające ramiona
z drżącym sercem pod piersią o bladości płótna
zanurzają się w myślach powoli do głębi
modląc się o mężczyzn powroty bezpieczne
patrzą na włos biały który dał im księżyc
pełne nadziei i wiary trzydziestoparoletnie

usta w uśmiech stroją byle oczy oszukać
słowa trwożliwe gaszą bo każde z nich parzy
trzydziestoparoletnie cierpliwe i czułe
karmione czerstwym chlebem niespełnionych marzeń

***

To nie jest kłamstwem –
my zawsze kochamy
nawet w chwili nienawiści poszukujemy
ciepłych zakątków przebaczenia
to prawda –
zbyt wiele w nas z kamieni
ale przecież i one
czasem płoną

SYJAMSKIE SIOSTRY

My dwie –
pokora i bunt
głowa ręce nogi
w ciało jak w płaszcz ubrane
chodzimy ze sobą od lat
jedna drugiej przecząc
walczymy ze sobą na uczucia
mieczami argumentów
nie do obalenia

my dwie –
miłość i zwątpienie
serce i rozum

PIOSENKA O DOBRYCH LUDZIACH

Dobrzy ludzie to głupi ludzie
otwierają serca zbyt szeroko
wyśpiewując prawdę o sobie
– i po co

dobrzy ludzie to biedni ludzie
rozdają uczucia ochoczo
miłością się dzieląc jak chlebem
– i po co

dobrzy ludzie to naiwni ludzie
za złe rady dobrą monetą płacą
cierpiąc oszczędzają bólu innym
– i na co

* * *

Stanę się kiedyś bardzo potrzebna
(staram się być ale nie umiem)
i wstążką soków wśród drzew korzeni
przewinę się jak nowy strumień

o palce moje już nie-palczaste
i włosy moje już nie-lśniące
i nogi moje już bez-stope
w korzenne ciało ziemi wplączę

stanę się kiedyś tak potrzebna
jak wiatr jak słońce i jak woda
jak ziarno wsiana zostanę w ziemię
by móc wykwitnąć w treści zboża

ŻYCIE

Tak uparcie siedzi we mnie
udaje twardziela chociaż ledwie człapie o zmroku
o świcie zbierając myśli z przepoconej poduszki
w obawie
że pochłonie je głodna cisza pościeli w której
pająk niepewności utkał sieć
tak niestrudzenie pogania mnie
do przodu jakby nie wiedziało że podchodzą mi
aż do gardła
niestrawione resztki obecanko-cacanek
lepszego bycia tu i teraz

tak mocno trzyma rękę
na moim pulsie jakby obawiało się że
zmęczona niewiarą
upadnę pod ciężarem niedowierzania
które przyszło mi
dźwigać

DZISIAJ

Z pozoru wszystko wydaje się jasne
(ale czy bardziej czytelne)
słowo przeciw słowu a czas
wyostrzonym językiem
ścina dzień po dniu
(jak ogrodnik trzebiący zarośla)
i co z tego że pozwala odkrywać
rąbki gorzkiej prawdy
– komu jej smak poprawi apetyt
na przyszłość

***

Żeby
ludzie z twarzami
oczy bez szarzyzny
dłonie ciężarne zbożem
serca bez zgnilizny a cześć
bez skazy
usta bez ironii
ciała bez bólu
głupcy bez broni
żeby

CYGAŃSKA FANTAZJA

Ciesz się z tego że cię stać
na garść drobnych uczuć i śmiech
zaplątany pomiędzy słowami
na źdźbło trawy i dach pełen gwiazd
i płaszcz podszyty marzeniami
na własnego wiernego psa
który kumplem jest w pustą noc
szklankę wódki mocnej tak
jak wiecznością pachnący wrzos

ciesz się z tego czego innym brak

Anna Jędryka

Z TOMU *OGRODY*

NIEUCHWYTNE MOTYLE

Te ogrody kwitnące
i te kwiaty na łące,
i to słońce gorące.
Tak brakuje mi tego
mego życia cichego,
mego domu małego.

Wszystko było tu inne,
takie proste, dziecinne
i tak bardzo rodzinne.
Rano wróble ćwierkały,
nocą gwiazdy mrugały,
wszędzie dzieci biegały.

Wiosną rosa błyszczała,
latem róża pachniała,
zima śniegiem bielała.
A na polach jesienią –
dymy ognisk nad ziemią,
las płonący czerwienią.

Takich wspomnień tysiące,
myśli nadal marzące
serce grzeją jak słońce.
Już nie wrócą te chwile –
nieuchwytne motyle,
czasu minęło tyle…

02.10.2018 r.

STAROMODNY ROWER

Staromodny rower,
z kierownicą wygiętą do góry,
z odrapaną ramą –
pokonywał wzniesienia i dziury.

Poskładany rower –
z kilku części na targu kupionych,
nie posiadał dzwonka,
a bagażnik był mocno zniszczony.

Bardzo dziwny rower –
nikt nie jeździł na takim rowerze,
wciąż go pilnie strzegłam,
bo myślałam, że ktoś go zabierze.

Zabytkowy rower –
lecz docierał do celu podróży,
prosty, damski rower –
lecz dla dziecka o wiele za duży.

Ten niebieski rower –
wiernie służył mi przez długie lata,
często wyśmiewany –
rower, który poskładał mi tata.

Często go wspominam,
na myśl o nim łza w oku się kręci,
bliski memu sercu –
już na zawsze zostanie w pamięci.

05.03.2019 r.

WIANKI

Długie noce czerwcowe, moc kwiatów dookoła,
Tkliwy zapach jaśminów, łąki bogate w zioła,
Róża w welonie białym zdobiła ogród cały.

Z pąków kwitnącej róży, z mięty i rozchodnika,
Babcia splatała wianki – drżała w nich pól muzyka,
W tydzień po Bożym Ciele święcono je w kościele.

Wisiały przez rok długi te zasuszone wianki,
Przypominały lato, zdobiąc rąbek firanki,
A taką siłę miały, że gromy odpędzały!

Potem babcia odeszła... wianków nikt już nie splatał,
A niepotrzebna róża – zmizerniała przez lata.
Teraz dorodne róże rodzą kwiaty w purpurze.

22.06.2017 r.

TO BYŁA GRA

To była gra, to była gra,
a życie nadal trwa.
I nie ma nic, i nie ma nic,
w teatrze jeden widz.
To tylko sen, to tylko sen,
co kończy się gdzieś hen.
I tylko mgła, i tylko mgła,
i jedna zwykła łza.

I koniec już, i koniec już
nieposkromionych burz.
Wciąż słońca brak, wciąż słońca brak,
czy może być aż tak?
Znów wstanie dzień, znów wstanie dzień,
rozproszy nocy cień.
Nadzieja znów, nadzieja znów
wróci bez zbędnych słów.

Nie zawsze wiatr, nie zawsze wiatr
nadzieję będzie kradł.
I słońce też, i słońce też
osuszy zimny deszcz.
Obudzi się, obudzi się
poranek już bez mgieł.
Obdarzy cię, obdarzy cię
jutro pogodnym dniem…

09.06.2019 r.

ZAKOCHANE OCZY

Zakochane oczy błyszczały jak gwiazdy;
Kolorami tęczy witały dzień każdy.
Rano były modre, brązowe wieczorem,
Noce rozjaśniały wciąż innym kolorem.

Czasem ból przenikał oczy zakochane,
Słone łzy roniły, kiedy były same.
Gdy były szczęśliwe – tryskały radością,
Świeciły jak słońce ogrzane miłością.

Czasem mgła te oczy zasnuwała ciemna –
Niewidoczna mroczność jak głębia bezdenna;
To znów pełne iskier wzniecały płomienie,
Jakby chciały spalić miłości istnienie.

Kilka lat minęło – oczu blask wypłowiał,
Ogień się wypalił, gęsty dym w świat powiał.
Przestały się oczy mienić kolorami –
Pozostały szare dniami i nocami.

Ale nieraz w oczy promyk słońca wpadnie,
Wtedy się ożywią i uśmiechną ładnie;
Częściej deszcz je zwilża i smutek w nich gości,
Bo tak oczy tęsknią, gdy zbraknie miłości…

26.03.2019 r.

WIOSNĘ MIAŁA POD RZĘSAMI

Wiosnę miała pod rzęsami – gdy go spotykała,
Wszystkie kwiaty kwitły wokół – ona je zrywała.

Niebo chmury rozciągało – kiedy go nie było,
Jakiś ciężar ją przygniatał – jakby lat przybyło.

A gdy nadszedł czas rozstania – powiało jesienią,
Deszcz ze śniegiem zaczął padać, wiatr hulał nad ziemią!

Teraz – dziwny spokój nastał, dzień za dniem się snuje,
Zmieszały się pory roku – ona nic nie czuje…

10.02.2019 r.

ZA MAŁO MÓWISZ

Za mało mówisz, za mało!
Nie można mówić milczeniem.
Milczenie stanowi przepaść,
Jest stromą skałą, dnia cieniem.

W twych myślach gubią się słowa.
Nie słyszę twych słów, nie słyszę!
Wytężam całą uwagę –
Zapadam w zupełną ciszę.

Nie żałuj mi słów, nie żałuj!
Bo tylko słowa są w stanie
Przybliżyć mi twoje myśli
I twoje oczekiwanie.

Tak cicho, tak bardzo cicho.
Mów do mnie, mów do mnie jeszcze!
Tak łatwo można zagłuszyć
Twe słowa jesiennym deszczem.

Dobrze, że jestem przy tobie
I czekam na twoje słowa.
Gdybyś mi nic nie powiedział,
To mógłbyś potem żałować…

16.10.2018 r.

KTOŚ CZEKA

Z daleka już dostrzegam światełko w moim oknie,
To będzie piękny wieczór – nie spędzę go samotnie.

Ktoś w domu na mnie czeka, w kominku ogień płonie,
Zaraz się z kimś przywitam, ogrzeję zimne dłonie.

Ktoś w domu na mnie czeka, ma dla mnie uśmiech miły
I oczy pełne blasku, które się już stęskniły.

W kominku ogień płonie, herbata już się parzy,
O takim powitaniu z pewnością każdy marzy.

Marzenia – jak te ptaki szybują gdzieś do nieba,
Gdy patrzę w czyjeś oczy – nic więcej mi nie trzeba.

15.02.2018 r.

Zdzisław Opałko

RÓWNOLEGŁOŚĆ

Mówią do mnie

Mówi do mnie Izaak
ocalały z Holocaustu
przedstawiciel narodu wybranego
a teraz znowu stąpający z obawą
po ulicach Paryża Londynu Warszawy
dziwne echo po Dawidzie królu Izraela
przemyka się coraz ostrożniej

Mówi do mnie Anna
zakonnica bijąca się w piersi
na klęczkach w ciemnej celi
lub przy oświetlonym żarówkami LED ołtarzu
szepcze: mea culpa mea culpa mea culpa…
patrzy w dalekie niebo nie widząc że jestem tuż obok
razem z całym światem
jaśniejącym promieniami słońca i życiem

Mówią do mnie kapłani
kościoła świętego powszechnego
jest ich bardzo wielu
na murach okalających wyniosłe sanktuarium
z rozgłośnią radiową w szczelinie
grzmią jak burza ostrzegają
w imię Boga pouczają
a ja tylko przechodząc obok chciałem
przysiąść na ławce w parku pod klonem
popatrzeć na drzewa i kosa
jak uwija się pod osłoną gałązek
szczęściarz – nie rozumie mowy człowieka
w żadnym narodowym języku

Spotykam Abeda Musę Nasira
arabskich poddanych proroka Mahometa
o czerwonych od emocji twarzach
z nieznoszącym sprzeciwu wzrokiem
i z palcem przytkniętym mi pod nos wykrzykują:
Allach jest jeden!... jeden!... jeden!...

Jakie to smutne
bez pocieszającej perspektywy
i chyba niepotrzebna strata czasu
spotykać i wysłuchiwać nieustannie kogoś
kto już wszystko wie

Równoległość

jestem
to spostrzeżenie zjawiska ulotnego jak mgła
lub kropla porannej rosy którą czasem można znaleźć
nawet późnym popołudniem
w cieniu skupionych liści

gdy słońce zacznie zamieniać szarość
w jasną poświatę z milionami pereł
zanurz się w nią cała
wolna niezależna nieskrępowana myślą
zostaw na progu bieliznę splątaną snami
będę bliżej
z każdym twoim ruchem

gdy zacznę unosić się w górę
razem z przypływem blasku i znikać
nie żal się nie protestuj
przywitaj słońce uśmiechem
z radością nabierz ciepła
będzie ci potrzebne gdy wrócę
z jesiennym chłodem lub zimą

teraz jednak – proszę
jeszcze o tym nie myśl
pozostań jak najdłużej na zielonej trawie
ciepła rozmarzona otwarta
w wilgoci włosów i warg

Łzy Wiktorii

Zapłakaną nastolatkę spotkałem przypadkiem
przyszła a może przybiegła
do mamy swojej mamy z nadzieją
na uciszenie żalu w zbolałym sercu
z tej okazji chwilowo podłączonego
do osobistej fontanny łez
zostaliśmy sobie przedstawieni
– to moja wnuczka Wiktoria
a to jest ten pan o którym ci kiedyś wspominałam
przyszedł na placki ziemniaczane
a ja o tym zapomniałam
– dzięki temu zdarzyła się okazja do awansu
na ucieracza masy ziemniaczanej – zaznaczyłem
rzucając się wpław przez morze łez
jednak niezbyt się udały
– ciasto było za rzadkie dlatego są spieczone po brzegach
odpowiedziały łzy nie przerywając wypływu

Na zewnątrz zbolałe serce miało
aksamitną cerę
opadające na czoło blond loki
i osiemnaście lat – pomyślałem
to piękne imię chyba sprowokowało jakieś siły
do konfrontacyjnej aktywności
a teraz przyszła pora na małą terapię
w babcinej bliskości…
nie przerywajcie sobie rozmawiajcie posiedzę w kuchni
powiedziała fontanna łez wypuszczając kolejne krople
dokończyłem piwo i zwróciłem się do Wiktorii
– czy mogę się z tobą pożegnać?
może pan – odpowiedziała
a czy mogę cię przytulić?
może pan mnie przytulić…
wychodząc wydawało mi się że w jednej z tych kropel
dojrzałem jakąś iskierkę
a może to tylko słońce przez okno
zajrzało do kuchni z ciekawości

Wacław Jagielski, ,,Bogini z Delos" – ołówek, 2007

Grzegorz Pełczyński

OPOWIASTKI (WYBÓR)

Werdykt

– ... skazuję na pięć miesięcy więzienia – sędzina ogłosiła wreszcie werdykt i natychmiast zdjęła z głowy biret, w którym się sobie zupełnie nie podobała.

– Wysoki sądzie, chciałbym o coś zapytać – pokornie odezwał się skazany.

– Proszę, niech Wróblewski pyta – znów założyła swą czapkę.

– Nie mam pretensji: ukradłem, to zamkną mnie w kiciu. Ale co będzie z Bimbusiem?

– Właśnie, co z nim będzie? – zawołała jakaś kobieta siedząca na końcu sali. – Ja mam żylaki i męża pijaka. Nie mogę się nim opiekować.

– Ludzie, co wy mówicie? – zdenerwowała się sędzina. – Kto to jest Bimbuś?

– Bimbuś to jest mój trznadelek. Taki ptaszek.

– A ja mam żylaki i…

– …męża pijaka – przerwała jej. – A poza tym kim pani jest?

– Wróblewski wynajmuje u mnie pokój.

– Rozumiem – powiedziała sędzina. – A skąd Wróblewski ma tego ptaka?

– Znalazłem w parku. Miał przetrącone skrzydełko. Zabrałem go i odtąd mieszka ze mną. Ale latać nie może, tylko wzlatywać jak kura.

– To prawda – znowu przemówiła kobieta z żylakami. – Patrz, pani! – Śmiało podeszła do sędziny. W ręce trzymała klatkę. Otworzyła drzwiczki i trznadelek wyskoczył na zewnątrz. Chwilę rozglądał się wokół, a potem wzleciał na stół sędziowski.

– Wróblewski miał kumpla, Bernarda – znów ściągnęła biret – może jak on będzie siedzieć, Bernard zajmie się ptakiem.

– Bernard by się zajął. Ale szanowna pani raczyła go w zeszłym roku skazać na dwa lata.

– Ma rację – pokiwała głową. – A Nożownik?

– Nożownik miesiąc temu stanął przed Sądem Najwyższym.

– Nie wiedziałam – westchnęła zasmucona.

– A co będzie z Bimbusiem? – powtórzył pytanie Wróblewski.

– Ptak gatunku trznadel, imieniem Bimbuś, zostanie przez pięć miesięcy pod opieką wysokiego sądu – powiedziała poważnie i sięgnęła po młotek sędziowski, by uderzeniem potwierdzić werdykt.

– Nie! – zawołał nagle skazany. – Bimbuś się wystraszy.

Pokerzyści

Zebrało się kilku mężczyzn – tym razem u Romana – ażeby pograć w pokera. Roman, Wojtek i Jacek wielokrotnie już ze sobą grali. Tomasz dołączył do nich po raz pierwszy.

Gospodarz postawił przed każdym butelkę piwa. A gdy wszyscy mieli karty w dłoni, zapytał: – Jakie dziś stawki?

– Odziedziczyłem niedawno plantację kawy w Hondurasie – powiedział Wojtek. – Jest warta co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Mogę więc zacząć od pięciu.

– Ja też mogę na tyle sobie pozwolić – odezwał się Jacek.

– Trudno mi będzie wam dorównać. Sąd jeszcze nie ustalił, jakie będą moje udziały

w tej kopalni złota koło Johannesburga – z żalem stwierdził Roman. – A ty? – zwrócił się do Tomasza.

– Panowie, ja nie wiedziałem, że wy gracie o takie stawki. Nie jestem tak bogaty. Mógłbym jedynie postawić moje dwupokojowe mieszkanie, ale jego współwłaścicielką jest żona. A właściwie w większości należy ono do banku, który pożyczył nam pieniądze na jego zakup.

– A nie masz jakichś wartościowych przedmiotów? Na przykład biżuterii po matce.

– Moja matka ma tylko obrączkę i wisiorek z bursztynami, chyba nawet sztucznymi. A prócz tego ona jeszcze żyje.

– Opowiadałeś kiedyś o wujku we Francji. Mógłby on być właścicielem zamku nad Loarą.

– Nie, to bardzo biedny człowiek.

Gracze nie spodziewali się, że Tomasz będzie miał tak ubogą wyobraźnię. Zaczęli się obawiać, że w ogóle nie rozpoczną dzisiaj pokera.

– Ty wcale nie umiesz grać! – niespodziewanie stwierdził Wojtek.

– Ja nie umiem grać? – poczuł się obrażony. – Zeszłej soboty ograłem teścia i szwagra na czterdzieści złotych!

Pozostali roześmiali się z politowaniem.

Tomasz nie zamierzał z nimi dyskutować. Rzucił karty na stół i wyszedł.

Stojąc później na przystanku tramwajowym zastanawiał się, dlaczego tak bogaci ludzie pracują w fabryce jako zwykli robotnicy. Wszyscy milionerzy to podobno dziwacy.

Pan Wiesio

Gdy pani Zenobia weszła do swego mieszkania, zastała obcego mężczyznę. Stał przed otwartą szafą w sypialni i coś z niej wyciągał.

– Co pan tu robi? – zapytała rozpinając guziki płaszcza.

Nieznajomy spojrzał na nią z przestrachem, po czym podbiegł do okna. I wtedy uświadomił sobie, że jest na czwartym piętrze, więc przez okno raczej nie ucieknie.

– Włamywacz – powiedziała Zenobia z naganą w głosie. – U mnie nie ma co ukraść. Nie mam nic wartościowego.

– W takim razie żegnam – mężczyzna skierował się ku drzwiom.

– Zaraz, zaraz – zatrzymała go. – Chodź pan ze mną.

Zaprowadziła go do drugiego pokoju.

– Gdzieś zgubiłam klucz od tego biurka. Pan pewnie z łatwością je otworzy.

Wyjął z kieszeni pęk wytrychów. Drugim z kolei otworzył biurko.

– A zna się pan na elektryce? – Popatrz pan – nadusiła włącznik i zapaliła się lampa u sufitu. Ale po chwili zgasła i znów się zapaliła…

– A ma pani śrubokręt?

Kiedy stał na taborecie, majstrując przy lampie, do Zenobii przyszła sąsiadka. Przyniosła pożyczoną uprzednio gazetę.

– Mógłby pan przyjść też do mnie. Mieszkam piętro niżej i mam kłopoty z lodówką.

Spojrzał na Zenobię.

– Przyjdzie, przyjdzie – powiedziała. – Ale najpierw skończy tutaj.

Skończył prędko. Ona zapytała go, ile ma zapłacić. Nie chciał ani grosza. Ona jednak wcisnęła mu do ręki 10 złotych. Zaś wypuszczając go, przykazała, by się dobrze sprawował u sąsiadki.

Tak właśnie się zaczęła kariera pana Wiesia, znanego na naszym osiedlu speca od wszelkich drobnych napraw.

Opowiadanie grozy

Pan Hubert pisywał dotychczas opowiadania o miłości i w tej dziedzinie miał niemałe sukcesy. Redaktorom przeróżnych czasopism podobały się jego utwory, więc musiały się spodobać również czytelnikom.

Aż raz zapragnął zdobyć rozgłos także jako autor opowiadań grozy. Przez kilka dni obmyślał szczegółowo jedną historyjkę. Wreszcie pewnego wieczoru poczuł, że może już ją zacząć pisać.

Najpierw napisał o deszczu, który nocą oblewał rzęsiście wielkie miasto. Potem wprowadził główną bohaterkę. Była to dziewczyna idąca do swego domu opustoszałymi ulicami. Wracała od swojej krewnej, którą pielęgnowała w chorobie.

Hubert spojrzał w okno i zauważył, że zapadł już zmierzch. O tej porze nie jest bezpiecznie.

Jego bohaterka niespodziewanie ujrzała dwóch drabów, wpychających do samochodu opierającego się im mężczyznę.

Stanęła przerażona. Jeden z drabów dostrzegł ją. Ona nie czekała na to, co postanowi. Odwróciła się i pobiegła przed siebie.

Przerwał pisanie i podszedł do okna. Jego ulica była teraz też całkiem wyludniona. Też mogliby na niej kogoś uprowadzać albo mordować. A jeśliby ktoś był tego świadkiem… Zimny dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

Dalej pisał o jej ucieczce przez podwórka i zakamarki. I po schodach na ostatnie piętro starej kamienicy, gdzie miała swoje lokum.

Właśnie chciał pisać o tym, jak bandyta chciał wejść do niej przez dach, gdy usłyszał, że ktoś zakrada się do jego mieszkania. Pobiegł do przedpokoju, biorąc po drodze kryształowy puchar, by rozbić go na głowie włamywacza. Ale okazało się, że to tylko wracający do domu sąsiad otwiera kluczem drzwi.

Po chwili znów pracował. Dziewczyna już wiedziała o grożącym jej niebezpieczeństwie. Słyszała ciche kroki na dachu. Ktoś poza tym czyhał na klatce schodowej. Było to tak straszne, że nie mógł o tym pisać.

Jakiś samochód gwałtownie przejechał obok jego domu. Ciekawe, kogo nim wywieźli i co zamierzają zrobić.

Do rana nie udało mu się uspokoić. Chodził po mieszkaniu, wciąż oglądając się za siebie, skąd mógł nastąpić atak. W końcu jednak zasnął w fotelu.

Gdy się obudził, postanowił nigdy więcej nie pisać opowiadań grozy. Podczas śniadania przyszedł mu do głowy pomysł na nową historię miłosną.

Ostatnia prośba

Po występie iluzjonista Reno zastał w swej garderobie nieznajomego mężczyznę.

– Mam propozycję – powiedział. – Ale zanim ją przedłożę, muszę mieć całkowitą pewność, że umie pan dotrzymać tajemnicy.

– Na tym właśnie polega mój zawód.

– Tajemnicą jest, że nasz nowo wybrany prezydent ma pewną przypadłość. Otóż źle na niego działa alkohol. Wystarczy odrobina, a wpada w euforię i wygaduje głupstwa,

w końcu nagle zasypia. Niestety, podczas oficjalnych przyjęć prezydent nieraz musi wznieść toast i wypić wtedy choć kieliszek szampana…

– To się da zrobić. Zgadzam się – przerwał mu Reno, domyśliwszy się, czego od niego się oczekuje.

Został więc oficjalnie sekretarzem głowy państwa. I gdy podawano jego szefowi jakiekolwiek naczynie z jakimkolwiek alkoholem, niepostrzeżenie zamieniał jego zawartość na wodę, sok lub herbatkę ziołową. Na ogół nie było to trudne. Tylko raz czy dwa, niby przez nieuwagę, wytrącił mu z rąk kieliszek, nie mogąc dokonać zamiany.

Szczęśliwie minęła pierwsza kadencja, po której prezydenta wybrano na następną. Reno wciąż mu służył wiernie. Kiedy druga kadencja dobiegała końca, przyszli do prezydenta ludzie z jego stronnictwa, by zapytać o kandydata na jego następcę.

– Proponuję w najbliższych wyborach wysunąć kandydaturę pana Reno – oznajmił prezydent. – Jest on inteligentny, pomysłowy i bardzo zręczny.

Większość wyborców uznała również, że tylko on powinien objąć to zaszczytne stanowisko, toteż został kolejnym prezydentem.

Wreszcie nastał dzień, w którym jego poprzednik zabierał swoje rzeczy z gabinetu, a on wnosił swoje.

– Mam jeszcze do pana ostatnią prośbę – ustępujący prezydent uśmiechnął się wstydliwie. – W ciągu drugiej kadencji zostałem dziadkiem. Teraz będę miał czas, aby bawić się z wnukami. Niech mnie pan nauczy kilku sztuczek.

– Bardzo chętnie. Najpierw przećwiczymy, jak zniknąć ze skrzyni zamkniętej na klucz.

Wacław Jagielski, „Chata” – długopis, 2010

Zaproszenie

Zaproszenie było sformułowane dość niezrozumiale. Marcin przeczytał je kilkakrotnie i nie mógł dociec, co to jest „niedoskonałość zawstydzona" albo „przebaczająca ucieczka w przyszłość". Ale pojął najważniejsze: XIII Liceum Ogólnokształcące, do którego uczęszczał dwadzieścia dwa lata temu, zaprasza go na jakąś uroczystość. Najprawdopodobniej zjazd absolwentów. Postanowił pójść, aby spotkać się ze starymi kumplami.

Okazało się jednak, że zaproszono tylko jego. Prócz niego byli profesorowie, którzy go uczyli, w większości już na emeryturze.

– Drogi przyjacielu – zaczął przemowę dyrektor – zaprosiliśmy cię, bo uświadomiliśmy sobie, że nie zawsze byliśmy wobec ciebie sprawiedliwi. Nie umieliśmy docenić młodzieńczej żywiołowości i oryginalnego umysłu. Dziś jest nam za to wstyd. Prosimy więc o wybaczenie.

– Muszę przyznać ze skruchą – w następnej kolejności odezwała się matematyczka – że niezbyt dokładnie sprawdziłam pański sprawdzian z trygonometrii. To drugie zadanie miało jednak dobry wynik.

– Proszę wybaczyć moją złośliwość – kajał się potem germanista. – Kazałem panu pisać na tablicy ośmieszające zdania: „Ich bin Esel". „Ich bin und ich werde dumm". Nie rozumiałem bowiem, że przedrzeźnianie mnie to wyraz niezwykle błyskotliwego poczucia humoru szanownego pana.

Podobnie wypowiadali się pozostali nauczyciele. Marcin zaś słuchał tego z rosnącym zażenowaniem. O większości z wymienionych przez nich spraw wprawdzie wciąż pamiętał, ale w obecnym okresie życia zupełnie one go nie obchodziły. A poza tym nie mógł się nadziwić, że oni go przepraszają.

– Drodzy państwo – powiedział w pewnym momencie, przerywając wyjątkowo długie przemówienie łacinniczki – nie żywię do nikogo urazy. Sam zresztą powinienem przeprosić za moje nieuctwo i złe zachowanie. Proszę więc mi je wybaczyć. Proszę mi też wybaczyć, że już pożegnam państwa. Mam inne obowiązki.

Marcin pospiesznie opuścił aulę, w której odbywało się to spotkanie. Na korytarzu panował rozgardiasz, bo trwała akurat przerwa. Musiał zatem przepychać się między grupami rozbawionych uczniów.

Dochodząc do schodów, spostrzegł nauczyciela fizyki, który, gdy on chodził do liceum, właśnie rozpoczął w nim pracę. Nauczyciel też go zauważył i najwyraźniej rozpoznał.

– Czy pan wie, po co mnie tu zaproszono? – zapytał.

– Tak, wiem – odpowiedział cicho i rozglądnął się na boki.

– Powie mi pan?

– Nie teraz i nie tutaj.

Ponieważ profesor miał jeszcze jedną lekcję, umówili się, że za godzinę spotkają się w pobliskim parku.

Marcin zdążył kilka razy obejść staw parkowy, zanim doczekał się przyjścia nauczyciela.

– Proszę pana – zaczął wyjaśnienia – choć trudno w to uwierzyć, najważniejszą osobą w naszej szkole jest obecnie pani Grażyna. Choć pracuje jako zwykła woźna, posiada jednak zdolność jasnowidzenia.

– A co to ma wspólnego ze mną? – przerwał Marcin.

– Grażyna przepowiedziała, że pan będzie prezydentem.

Marcin roześmiał się:

– To nonsens. Ja w ogóle nie zajmuję się polityką. I nie zamierzam.

– W każdym razie pan dyrektor postanowił pana udobruchać, aby się pan później nie mścił.

– Nie mścił?

– Według Grażyny rozpocznie pan rządy od zemsty na wszystkich, którzy kiedykolwiek mu się narazili.

– Wyście całkiem zgłupieli! – tymi słowami pożegnał swego rozmówcę.

Wieczorem wciąż jeszcze o tym wszystkim rozmyślał. Zastanawiał się, dlaczego profesor fizyki również nie przyszedł go przeprosić. Nieraz postawił mu przecież ocenę niedostateczną.

Nagroda Nobla

Karol Gustaw wszedł do jadalni, Sylwia już spożywała śniadanie.

– Wiem, kto dostanie nagrodę w zakresie literatury – powiedział nakładając dżem na kromkę chleba.

– Kto? – zaciekawiła się.

– Jeden Polak, którego nazwiska niestety nie zapamiętałem. W każdym razie są w nim dwie bardzo dziwne litery. Ty pewnie umiałabyś sobie z nimi poradzić.

– A jego utwory?

– Pisze opowiadania, ale najdłuższe liczy ponoć tylko trzy strony.

– Dziwne litery, dziwna twórczość – stwierdziła z przekąsem Sylwia.

Kilka tygodni później, podczas uroczystości wręczenia nagrody, Karol Gustaw chwalił tegorocznego laureata. Bezbłędnie też wypowiedział jego nazwisko, którego już nigdy nie zapomniał.

Grzegorz Pełczyński – ukończył etnologię (1986) i teologię (1990) na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zainteresowania naukowe: kwestie etniczne, antropologia filmu jako dyscyplina naukowa, religioznawstwo, literatura piękna jako źródło etnograficzne. Prowadził badania w Polsce, na Ukrainie, w Armenii, Rosji, Kazachstanie i Austrii. W latach 1987-2013 pracownik Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UAM. Od 2013 r. profesor w Katedrze Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Szczecińskiego, od 2016 r. na Uniwersytecie Wrocławskim. Redaktor naczelny czasopisma internetowego „Our Europe. Ethnography – Ethnology – Anthropology of Culture". Wydał m.in: *Najmniejsza mniejszość. Rzecz o Karaimach polskich* (1995), *Ormianie polscy w wieku XX. Problem odrębności etnicznej* (1997), *Dziesiąta muza w stroju ludowym. Wizerunki kultury chłopskiej w kinie PRL* (2002), *Karaimi polscy* (2004), *Restauracja Kresowa* (2011), *Ewangelikalizm w Rosji (XIX-XX wiek)* (2012, wyd. 2. 2013) *Mniejsze mniejszości i inne szkice* (2017); redagował lub współredagował: *Antropologia wobec fotografii i filmu* (2004), *Obrazy kultur* (2006), *Polacy wobec wielości kultur* (2011), *Kościół Ewangelicko-Metodystyczny na Mazurach (1945-2015)* (2016), *Polscy odkrywcy, badacze i eksploratorzy Syberii oraz Azji Środkowej* (2018).

Autor książek dla dzieci: *Opowieści dla Kubusia, opowieści dla Jakuba* (2012), *Ulubiona bajka* (2014) i tomów opowiadań *Cukierki i fajerwerki* (2015), *Lekcja historii* (2018).

Ida Jadwiga Łubińska

UCIECZKA Z POCIĄGU

W ogromnej i zatłoczonej hali obozu w Pruszkowie jeńcy powstania warszawskiego czekali na transport. Była noc. Leżeli stłoczeni na chropowatej, betonowej posadzce. Wśród nich był Władek. Bolały go kości od zimna i twardego podłoża. Oddechy leżących trochę podnosiły temperaturę otoczenia. Podciągnął kolana do klatki piersiowej, rozcierając rękami skostniałe stopy. Odtwarzał w pamięci ostatnie dni, tygodnie… Burzliwe i dramatyczne. I tę euforię, radość, że się uda, kiedy pierwszego sierpnia biegł na zbiórkę. Damy radę – cieszył się i podskakiwał, jakby chciał wbić piłkę do kosza. Rosjanie są po drugiej stronie Wisły…

W tych nadziejach nie był odosobniony. W momencie wybuchu powstania warszawskiego do walki stanęło, jak podają źródła, około 50 tysięcy żołnierzy w różnych konspiracyjnych zgrupowaniach, rozlokowanych praktycznie we wszystkich dzielnicach Warszawy. Były to głównie oddziały Armii Krajowej, ale też niewielkie siły innych organizacji: NSZ, PAL, AL. Do powstania przystąpiły także tysiące harcerzy, kilkunastoletnich chłopców i dziewcząt.

Niestety, część z nich wkrótce trafiła do obozów: w KL Auschwitz, Stutthof, Dachau i Bergen-Belsen. Himmler wydał dwa rozporządzenia dotyczące Warszawy i powstania warszawskiego. Pierwsze nakazywało rozstrzeliwać wszystkich mężczyzn biorących udział w walce, natomiast ludność cywilną kierować do utworzonego w Pruszkowie Dulag 121.

Z tymi ustaleniami kłócił się inny rozkaz, który wysłał do generała Ericha von dem Bacha (dowódcy oddziałów SS skierowanych do stłumienia powstania), by wszystkich mężczyzn czynnie uczestniczących w działaniach bojowych zsyłać do obozów koncentracyjnych, pozostałych zaś, wraz z kobietami i dziećmi, kierować do obozów pracy w Rzeszy. Nieprzydatni (starzy, chorzy itp.) mieli być rozproszeni po całym Generalnym Gubernatorstwie. Taka niejasna sytuacja istniała przez cały sierpień i większość września 1944 roku. Ale faktycznie oddziały SS wielokrotnie dopuszczały się mordów, nie tylko na powstańcach, ale też na ludności cywilnej Warszawy.

* * *

Jeńcy powstania, oczekujący w Pruszkowie na transport, za dwa dni mieli być przewiezieni do stalagu w Altengrabow, w pobliżu Magdeburga. Władek poznał metody i okrucieństwo okupanta. To żadne pocieszenie – myślał sobie. Dwa dni czekania przemieniły ten czas w horror. Panujący brud okazał się pożywką dla insektów. W nocy na suficie gromadziły się roje pluskiew, które spadały na śpiących, łażąc po nich i gryząc ich. Doskwierały niewyobrażalnie. Problemem był też brak misek i łyżek do jedzenia. Spożywali posiłki w skorodowanych puszkach po konserwach. Chociaż to, co dostawali, też było poniżej wszelkich norm.

Zanim jeńców wprowadzono do wagonów, poddawano ich rewizji osobistej. Władkowi zabrano ostatnie, niewielkie pieniądze, ale stojącemu obok mężczyźnie całkiem sporą sumkę, rzeczy osobiste, zapasowe buty i zegarek. Jak zwierzył się później Władkowi, zegarek miał wartość pamiątkową i realną. To był prawdziwy Rolex. Odebrane rzeczy rzekomo były wzięte do „depozytu". Powstańcom zabrano też ubrania cywilne, a w zamian wręczono stare przefarbowane mundury niemieckie. Władek nie żałował swoich ciuchów. Były postrzępione i brudne.

Równolegle dokonywano ewidencji wszystkich osób. W pierwszym rzucie wydano tekturowe numery i sfotografowano jeńców z zawieszonymi na szyi tabliczkami. Stały się znakami ich tożsamości. Od tego dnia stali się dla hitlerowców obozowymi numerami. Jednak między sobą używali pseudonimów lub nazwisk i imion. Władek pozostał Władkiem Sodą. Podczas rejestracji niektórzy powstańcy, nierzadko nieletni chłopcy, nie wiedząc, jaki los ich spotka, podawali fałszywe dane personalne. Robili to w obawie o najbliższą rodzinę, w stosunku do której, za ich udział w powstaniu, mogły być zastosowane represje. Dla uniknięcia natychmiastowej śmierci fałszywe nazwiska podało również kilku powstańców pochodzenia żydowskiego.

Władek lubił rozmawiać z szesnastoletnim, rezolutnym i bystrym chłopakiem z ciemną, wiecznie rozwichrzoną czupryną. Wcześniej nazywał się Mosze Kremer. Przemianował się na Kazika Rębacza. Po tym wydarzeniu zaszył się w milczeniu, nie reagował na próby kolegów, którzy chcieli nawiązać z nim rozmowę. Teraz też się oddalił, na ile było to możliwe, od reszty mężczyzn, przysiadł na kamieniu i zapatrzył przed siebie. Władek podążył za nim, sadowiąc na wyszczerbionym głazie, który boleśnie uwierał w pośladek. Milczenie przedłużało się.

– Zachowujesz się, jakbyś był obrażony – odezwał się. – Przecież tak naprawdę tylko my, więźniowie, możemy na siebie liczyć. Mamy tu tylko siebie – dodał.

Po dłuższej chwili chłopak odburknął:

– Odczep się ode mnie, Władek, odczep, rozumiesz?

Zapanowała nienaturalna cisza. Suchy liść, który tu zabłądził, szeleszcząc, wolno sunął po ziemi.

Do wagonów towarowych upychano po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób. Były pod silną i bezwzględną eskortą niemiecką. Wagony szybko zamykano i drutowano. Obok zdrowych, stłoczeni byli również ranni i chorzy więźniowie. Ze względu na ciasnotę często nie można było usiąść. Potrzeby fizjologiczne załatwiano w pociągu, a takie miejsca znajdowały się w kątach wagonu. Także tuż obok Władka, na samym środku. W pobliżu stał, opierając się o stojących obok ludzi, chory na krwawą biegunkę. Kiedy „łapał" go biegunkowy alarm, nie był w stanie przemieścić się dalej. Smród wkrótce stał się nie do zniesienia.

Próbując sterroryzować jeńców, Niemcy strzelali na oślep z pistoletów maszynowych wzdłuż wagonów. Być może chcieli w ten sposób stłumić krzyki duszących się w przepełnionym pociągu ludzi i wyeliminować próby ucieczki. W wyniku takiej strzelaniny jeden z powstańców, stojący tuż obok wejścia, został zabity, a dwóch innych rannych. Ciało zabitego pozostało w wagonie, a rannym nie było możliwości udzielić pomocy. Przed oczami Władka pojawiły się obrazy przyjaciół, towarzyszy walki, wspomnienia ich śmierci. Jedni ginęli od razu, inni umierali w męczarniach w koszmarnych warunkach. Często nie było czasu ani warunków na pochówek. Jego pamięć przywoła postać Mariana. Mieszkał w tej samej kamienicy. W dzieciństwie i później łączyły ich wspólne zabawy, przygody, spędzany czas. Ostatni zapamiętany obraz przedstawiał bladą, wychudzoną, cierpiącą twarz Mariana. Nie umiał mu pomóc. Dręczą go teraz wyrzuty, że nie okazał wystarczającej troski, że jednak może mógł coś zrobić… Tylko co? Co?

* * *

Władysław miał za sobą trudny, niebezpieczny czas. W roku 1941 pobyt na Pawiaku. Doświadczył wtedy niezwykle traumatycznych przeżyć. Starał się je wymazać z pamięci. Wracały gwałtownie i niespodziewanie. Wypatrywał wtedy skrawka nieba, zagapiał się na korony drzew, wsłuchiwał w podmuchy wiatru, zatrzymując uwagę na zjawiskach przyrody,

na byciu tu i teraz. Usiłował w ten sposób wyprzeć ze świadomości tamte wydarzenia. Czasem się udawało.

W Oświęcimiu znalazł się zaraz po powstaniu. W trakcie walk awansował do rangi porucznika, a za męstwo i odwagę odznaczony został Krzyżem Walecznych. I mimo klęski ten czas napawał go dumą. Wierzył, że robił coś naprawdę ważnego.

Pod koniec września, gdy nie było możliwości kontynuacji walki, gdy zabrakło żywności i nadziei na pomoc, dowódca AK generał Bór-Komorowski podjął decyzję o zaprzestaniu działań wojennych. W nocy z 2 na 3 października podpisano akt kapitulacji powstania warszawskiego. Niemcy pod naciskiem aliantów uznali żołnierzy Armii Krajowej za kombatantów, co dawało im, w przypadku dostania się do niewoli, status jeńca wojennego. Po 63 dniach heroicznej walki zakończyła się największa akcja zbrojna Armii Krajowej i jednocześnie najdłuższa polska bitwa II wojny. Niezliczone rzesze polskich kobiet, mężczyzn i dzieci zamordowano lub wywieziono do obozów i na roboty przymusowe. Z dawnej Warszawy pozostały gruzy i zgliszcza. Powstanie warszawskie z braku pomocy upada w tym samym czasie, gdy żołnierze polskiej armii pomagają w wyzwoleniu Francji, Belgii i Holandii.

* * *

Rodzina Władka mieszkała na Powiślu. Przed wojną Sodowie wraz z piątką dzieci wynajmowali trzypokojowe lokum. Najstarszy był Władek. Wojna ich rozproszyła, ale dom, rodzina, były dla nich ostoją. Nierzadko, nocą, któreś z nich pukało do kuchennego okna. Mieszkanie mieściło się na parterze, a kuchnia w pobliżu ganku. Ta rodzinna przystań istniała do końca powstańczych akcji. Między sierpniem a październikiem 1944 roku niemieckie formacje wojskowe i policyjne wypędzały z domów warszawiaków oraz mieszkańców podwarszawskich miejscowości. Większość była kierowana do obozów przejściowych. Ustny rozkaz Hitlera brzmiał inaczej: każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy.

Po kapitulacji Warszawy, przed kamienicą, w której mieszkali Sodowie, stanęła grupa zbrojna, krzycząc i strzelając w powietrze. W języku polskim nakazali lokatorom wyjść z domu. W sieni prowadzącej do wyjścia stały kobiety z kilkunastoletnimi i młodszymi dziećmi, a także starsze osoby, zniedołężniałe i chore. Chociaż drżeli ze strachu, byli przygotowani na ewakuację. W rękach trzymali walizki i tobołki. Poczta „pantoflowa" działała sprawnie. Wiedzieli, że ludność zamieszkująca opanowane przez Niemców kwartały miasta jest zmuszana do opuszczenia swoich domów. Wbrew oficjalnym zapewnieniom, że celem akcji wysiedleńczej jest zapewnienie bezpieczeństwa cywilom poprzez ich usunięcie ze strefy frontowej, mieli świadomość, że okupantowi zależy głównie na tym, aby wykorzystywać wysiedleńców w charakterze niewolniczej siły roboczej, a samo miasto ograbić i zburzyć.

Teraz ważył się ich los. Ale nikt nie miał odwagi wyjść pierwszy na zewnątrz. Zza drzwi wejściowych docierały złowieszcze wrzaski. Maria Soda była sama. Mąż z najmłodszym synkiem Wiktorem gdzieś w obozie w Niemczech. Córki i synowie, powstańcy, od dawna nie pokazywali się w domu. Bała się myśleć, co się z nimi dzieje, bała się złych wieści. A tak ryzykowała tylko własnym życiem. Trochę się zastanawiała. Chwilę później zdecydowanym tonem oznajmiła zalęknionym sąsiadom:

– Wyjdę pierwsza, a wy spokojnie, pojedynczo idźcie za mną. – Podała rękę małej dziewczynce, uśmiechając się do niej. – Nic się nie bój, Basiu, będzie dobrze – powiedziała.

Przeżegnała się, spojrzała z westchnieniem w sufit sieni, obciągnęła sweter, chwyciła swoją torbę i podnosząc wyżej niż zwykle głowę, wyszła na ganek. Za nią miały wychodzić kolejne osoby. Przywitał ją śmiech żołdaków. Niektórzy krzyczeli coś po ukraińsku i po polsku. Po kilku sekundach salwa z karabinów rzuciła ją na wznak. Ciężar bezwładnego ciała przemieszczał się po schodach ganku w dół, a wraz z nią opadłe, żółte liście. Za Marią nikt się nie pojawił. Napawające trwogą, choć niezrozumiałe pohukiwania sołdatów, a był to ukraiński ochotniczy oddział zbrojny, którego formacja współpracowała z SS w czasie powstania, były coraz bardziej gwałtowne.

* * *

W rozklekotanym wagonie Władek z trudem rejestruje, co się wokół dzieje. Z opóźnieniem docierają do niego słowa i gesty współtowarzyszy. Nie czuje nóg ani kręgosłupa. Bolą go kości. Są jakieś kanciaste i ostre, jakby nie jego. Jest brudny, cuchnący i głodny. Nie może nawet wymiotować. Odbija mu się gorzkim kwasem. Ma sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, a waży mniej niż pięćdziesiąt kilo. Ledwo utrzymuje się na nogach. Opiera się o ściśniętych obok ludzi. Każdy gwałtowny ruch pociągu rzuca równomiernie tę ludzką falą w jedną i w drugą stronę.

Z odrętwienia wybija go myśl, emocja, rodzaj zarzewia. Przecież coś ma, coś, co przemycił. To gwóźdź i jeszcze… kawał ostrego żelaza, dokładnie nie wie, od czego. Nosi go w szmacie okrywającej stopę i nogę, mimo że grube ostrze rani mu łydkę. To jego skarb. Pomysł kiełkuje. Daje nikłą nadzieję. Tak. Musi przekonać stojących obok więźniów, by chociaż trochę odsunęli się, by mógł wyskrobać, wydłubać dziurę w podłodze wagonu. To będzie nagroda. Ucieczka z pociągu wiozącego do kolejnego obozu. Władek jest zdeterminowany. Taka opcja wydaje mu się realną szansą. Jest słaby i chory, ale nadzieja przybiera coraz większe rozmiary. Inni nie mają tego entuzjazmu. Są zrezygnowani. Przyszłość jawi im się jako wielka niewiadoma. Po namowach, z oporem przemieszczają się. Obok niego stanęli ci, którzy też chcą wydostać się z wagonu. Wokół zapanowała nieprzyjazna cisza. Jeśli uda się im zwiać, pozostałych mogą dotknąć represje – szemrali ci, którzy nie wyobrażali sobie ucieczki przez dziurę w podłodze wagonu. Ale kontaktu z niemiecką eskortą też nie było. Pociąg toczył się wolno. Często się zatrzymywał. Przez niewielkie szpary w ścianie wagonu można było wypatrzeć, czy znajdują się w mieście, miasteczku, czy w polu… Władek spieszył się. Nie wiedział, ile ma czasu. Nikt nic naprawdę nie wiedział.

Atmosfera zagrożenia, działania, udzielała się powoli tym bliżej i dalej stojącym. Dopytywali, ponaglali, nawet żartowali. Dziura już spora. Władek, chociaż chudy, nie może się przecisnąć. Ramiona przeszkadzają. Jeszcze trochę rozbijania i część deski odłamuje się i odpada z łoskotem na tory. Wreszcie! Można próbować. Na pożegnanie wykrzykuje: trzymajcie się! Najpierw nogi, a potem najostrożniej jak może opuszcza na tor tułów i resztę. Upada. Nie czuje bólu. Ale jest napięcie, podniecenie. Pociąg z łoskotem jedzie dalej. Już widać końcówkę. Dwaj żołnierze niemieccy, paląc papierosy, śmieją się głośno. Nie zauważają go. Władek czeka, aż pociąg zniknie za zakrętem. Dzień chyli się ku zachodowi. Władek rozgląda się. To jakieś miasto zauważa. Ostrożnie schodzi ze skarpy i przysiada na trawie.

Przetrwał na murawie wału kolejowego do zmierzchu. Od ziemistej dróżki odgradzały go krzaki, wysokie trawy. Ludzie chodzili drugą stroną ulicy, gdzie chodnik ułożony był z płyt. Zza krzaków obserwował otoczenie. Zaintrygowała go dziewczyna w płaszczu w kratkę. Wielokrotnie szła w jedną i w drugą stronę tym chodnikiem. Była skupiona

na sobie. Ocierała łzy z oczu kolorową chusteczką. Robiła to dyskretnie, jakby chciała ukryć swój smutek. Kryjówka Władka znajdowała się w pobliżu wlotu na mało uczęszczaną ulicę. Wkrótce zamknięto nieduży, stojący na rogu sklepik, do którego klienci wchodzili po schodkach. Po drugiej stronie jezdni stała długa jednopiętrowa kamienica. Robiła wrażenie wymarłej: pozasłaniane okna, trzeszczące okiennice. Władek postanowił, że kiedy będzie ciemno, uda się na podwórko za sklepikiem. Stał tam barak, a naprzeciw niego jednopiętrowa oficyna. Zabudowania były oddalone od ulicy.

Z trudem podniósł się z ziemi. Miał odrętwiałe ciało. Czuł potworne zmęczenie i przeogromne pragnienie. Podszedł do baraku. Szerokie drzwi były zamknięte na kłódkę. Obok niskie drzwiczki, które po naciśnięciu klamki otworzyły się. Kiedy oczy przyzwyczaiły się do ciemności, ujrzał małe, prawie puste pomieszczenie. W kącie walały się worki, czy może szmaty? Zamknął drzwi za sobą, legł na tym barłogu i natychmiast odpłynął w niebyt.

Podskoczył z przerażenia, otworzył oczy i błyskawicznie oprzytomniał. Nad nim pochylały się trzy kobiece twarze. Powoli usiadł. Wąskie światło wpadające przez okienko rozjaśniało komórkę. Zobaczył, że za posłanie służyły mu brudne ubrania. Kobiety w milczeniu przyglądały mu się.

– Jestem Władek Soda – niewyraźnie wykrztusił. Miał zaschnięte gardło i usta. – Wczoraj uciekłem – zająknął się – z niemieckiego transportu. – Drzwi tu były otwarte – dodał.

Z niepokojem popatrywał na nie. Dwie to blondynki z kręconymi włosami, trzecia ciemna i jakby nieco starsza od pozostałych.

– Znalazł się pan na terenie pralni chemicznej – oznajmiła jedna z kobiet. – A w następnej części budynku, osobno, jest farbiarnia. Nasz tata ten zakład prowadzi. A my tu pracujemy. To nasza kuzynka Stasia – dotknęła dłoni ciemnowłosej kobiety, która uśmiechnęła się życzliwie. – Ja się nazywam Ola, Nosowska. – Mówiła prędko i głośno, jakby chciała możliwie najszybciej wszystko wyjaśnić. Chyba była najmłodsza, może nawet kilkunastoletnia. – A to moja siostra Irenka – dopowiedziała, wskazując głową drugą blondynkę.

– Postaramy się jakoś panu pomóc – odezwała się najstarsza, ale musimy czegoś więcej o panu i całej tej sytuacji dowiedzieć się.

– I nie mamy pojęcia, jak ojciec zareaguje na pana tu obecność – wtrąciła się Ola i zamilkła. – Będziemy musiały coś wymyślić – dodała po chwili.

– Ale gdzie ja jestem, w jakim miejscu? – zapytał.

– To Częstochowa – pospieszyła z odpowiedzią Irena.

Trochę jeszcze było pytań i wyjaśnień. Niedługo potem Władek znalazł się na nieoświetlonym strychu bocznej oficyny. Przemieszczał się przez podwórze z narzuconym na głowę paltem. Małe okno umieszczone w szczytowej ścianie budynku dawało nieostre północne światło. Nie było źle. Dostał lampę naftową. W miednicy mógł się umyć, dziewczyny dały mu bieliznę i ubranie zastępcze. Nic to, że za krótkie spodnie i rękawy koszuli, że szerokie w pasie. – Pewnie trochę przytyję. Wyglądam teraz jak szkielet – pomyślał. Świeżość upranej odzieży dawała mu poczucie komfortu. Czuł ciepło i życzliwość opiekunek. Szybko pochłonął gorącą zupę. Smakowała jak nigdy. Trzeba będzie się jeszcze ukrywać – rozważał. Opatrzyć rany, wykurować się. Nabrać więcej sił. Na razie nikt poza dziewczynami nie powinien wiedzieć o mojej obecności – zdecydował. Jestem w obcym środowisku. Nigdy wcześniej tu nie byłem. Ogarnął go dawno nieodczuwany spokój, wręcz błogość, ale zmęczenie zdominowało wyniszczony organizm. Błyskawicznie pogrążył się we śnie.

* * *

W powietrzu wisiała klęska nazistów, front był blisko. Armia Czerwona wypierała ugrupowania niemieckie na zachód, lecz też siała terror. Działała podziemna armia polska. Nadal było bardzo niebezpiecznie. W kraju panował chaos, spekulacja, trudna do ogarnięcia przemoc. Częstochowa stała się poniekąd miastem frontowym. Pod koniec roku 1944 odnotowywano zwiększoną liczbę zabójstw, rabunków, gwałtów i kradzieży.

Kobiety z pralni były przerażone. Firma nieźle prosperowała w czasie wojny. Mogło to budzić negatywne nastawienie niektórych sąsiadów. By uniknąć niebezpieczeństw, chodziły po mieście w większych w grupach.

Władek stał się dobrym duchem rodziny Nosowskich. Kiedy doszedł do siebie, był pomocny. Po ojcu odziedziczył zdolności manualne. Szybko wśród poznanych ludzi zyskał pseudonim „złota rączka". Edward, ojciec Oli i Ireny, kiedy już go zaakceptował, często korzystał z jego umiejętności. Władek naprawił popsute urządzenia, udoskonalił organizację farbiarni. Miał wiele interesujących pomysłów. A że miał też łatwość w nawiązywaniu kontaktów, szybko zyskał sympatię mieszkańców tej ulicznej enklawy. Już nie musiał się ukrywać. Rodzina Nosowskich czuła się z nim bardziej bezpieczna. Nawet biznes jakby lepiej funkcjonował. Przybyło mu trochę ciała. Nie był już tak przeraźliwie chudy. Dziewczyny z czułością wpatrywały się w przystojnego, szarmanckiego mężczyznę. Dogadzały mu, hołubiły. Przynosiły wiadomości z miasta. To od nich dowiedział się o odkryciu w ruinach pobliskiej bóżnicy, jak o synagodze mówili miejscowi, zwłok nagiej, młodej kobiety. Ola, która zawsze miała najwięcej do powiedzenia dodała, że na resztce ogrodzenia wisi jeszcze jej płaszcz, taki w brązową kratkę. Władek przypomniał sobie młodą, cicho łkającą dziewczynę, błąkającą się po ulicy. Ale nic nie powiedział.

* * *

Względna stabilizacja sprawiła, że Władek znalazł w sobie odwagę, by snuć marzenia. Chciał normalnie żyć. Miał dwadzieścia trzy lata. Póki co, miał też pracę. Rozpierały go silne emocje. Rozpierała radość życia. Coraz częściej szukał wzrokiem Stasi, szukał bliskości z nią. Miała w sobie to coś, co lubił: ciepło, macierzyńskość, sposób mówienia, jakby lekko zaciągając. Ten wschodni akcent, tłumaczyła, nabyła w dzieciństwie, mieszkając na wschodniej rubieży Polski, gdzie jej ojciec zarządzał dobrami hrabiego Tuchowskiego. Stasia chętnie włączała się w rozwiązywanie jego problemów, starała się im zaradzić. – Tak po kobiecemu – dodawała. Jak się okazywało, zwykle z sukcesem.

Władek nadal mieszkał na stryszku. Ale to miejsce już o wiele lepiej nadawało się do skromnej egzystencji. Były najpotrzebniejsze meble i przedmioty. Wchodziło się wprawdzie po wąskich, drewnianych schodkach, a otwarta klapa zastępowała drzwi. Kto by tam bez potrzeby zaglądał na strych – myślał sobie. Zresztą najróżniejsze niedogodności i przeciwności były jego codziennością.

Lubił takie jak ta chwile, kiedy wylegiwał się na służącym za łóżko materacu. Stasia, opierając się o jego tors dużymi, miękkimi piersiami, relacjonowała wydarzenia z pralni, opisywała nowych klientów, komplementy, którymi ją dziś obdarowano. Władek chciał ją mocniej przytulić, lecz w otworze prowadzącym na strych zauważył twarz małej Isi, która z dezaprobatą patrzyła na niego. Dostrzegła to też Stasia i szybko wyprostowała się. Wzrok Isi nadal był pełen wzgardy. Nie akceptowała czułych gestów matki wobec tego pana. I dawała temu wyraz. Nie chciała bez niej wrócić do mieszkania niżej. Stasia musiała razem z nią opuścić strych.

Tak, Isia jest jej córeczką. Mąż Stasi, wojskowy, został na samym początku wojny zamordowany przez Gestapo. Stanisława po tym wydarzeniu długo do siebie nie mogła dojść. Lecz musiała żyć, utrzymać dziecko. Ciężko pracowała. Właśnie minęły cztery lata od jego śmierci. To, co teraz czuła, było czymś nowym, jakąś dziwną, nieznaną słabością. Spadło na nią jak grom. W ramionach Władka rozpływała się. Była starsza od niego. Ale widziała jego wzrok. Wiedziała, że nie jest mu obojętna. Czuła to.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Na podwórzu zalegał śnieg. Do pralni przyplątał się wygłodniały i tak chudy, że widać było wszystkie żebra, pies. Taki jak ja – pomyślał Władek. I zbierał dla niego do starej metalowej miski resztki obiadowe.

– Co to to jest? – zapytała Ola, gdy go pierwszy raz zobaczyła.

– Toto? – zaśmiał się Władek.

I w ten sposób pies otrzymał miano Toto. Był średniej wielkości kundelkiem. Spał w tej małej komórce, w której pierwszy raz zasnął Władek. Był grzeczny i od pierwszych chwil obdarzył Władka wierną psią miłością. Pozostali mieszkańcy przyjęli go z sympatią. Swoją przymilnością wzbudzał w nich pozytywne uczucia.

Teraz najważniejszym wydarzeniem jest wigilia. Rodzina robi wszystko, by stanąć na wysokości zadania. Grzyby wcześniej uzbierane w pobliskim lasku, są duże i ładnie ususzone. To one stanowią *clou* wieczerzy. Jajka, potrzebne do przygotowania potraw, zaoferowała ciotka Janka, rybę zdobytą jakimś sposobem przyniesie ciotka Lucyna, obydwie wdowy, siostry zmarłej matki, Łucji Nosowskiej. Ciastami zajęły się Irena i Ola, słuchając uważnie Stasi, która miała w branży wypieków pewne doświadczenia. Jako panienka była sprzedawczynią w sklepiku u cukiernika. Wszystko perfekcyjnie się ułożyło. Mieszkanie Nosowskich świeciło czystością, pomyte okna, czyste firanki, śnieżnobiałe obrusy.

Dziewczyny gdzieś się zaszyły, strojąc się i malując. Niedługo zaczną wypatrywać pierwszej gwiazdki. Na choince udekorowanej papierowymi ozdobami, z długim, kolorowym łańcuchem oplatającym drzewko, Ola zapaliła małe świeczki, najtrudniejszy do zdobycia świąteczny *gadżet*.

Ceremonia wigilijna rozwijała się zgodnie z tradycją. Słowa ewangelii, opłatek, życzenia, śpiewanie kolęd. Tuż przed podaniem słodkości Władek stanął, objął wzrokiem obecnych, odchrząknął i uroczyście oznajmił:

– Chcielibyśmy poinformować was – spojrzał w stronę Stasi, która szybko podniosła się z krzesła – że zamierzamy się pobrać. Myślimy o ślubie w okresie Wielkanocy, a jeśli uda się, to być może jeszcze w karnawale. Jesteście pierwszymi, którym zdradzamy nasze plany i nasze uczucia.

Przy stole zapanowało milczenie, jakby wszystkich zaskoczyła ta wiadomość. Chwilę później rozległy się brawa, gratulacje, pytania. Irena, która była w bliskiej komitywie ze Stanisławą, uśmiechała się pod nosem. Znała ich zamiary. Natomiast Ola nerwowo zareagowała na tę niespodziewaną dla niej nowinę. Usta wygięły jej się w podkówkę, a dłonie udawały, że klaszczą. Kuzyn Andrzej, jej rówieśnik, syn cioci Janki, jakby się domyślając uczuć Oli, szepnął jej do ucha:

– Co ty, Olu, on taki stary, nie ma co żałować. Szkoda ciebie dla niego. Jesteś taka ładna, na pewno znajdziesz bardziej interesującego. I bogatszego – dorzucił z łobuzerską miną.

Spojrzała na niego zamglonymi oczami i uśmiechnęła się. Isia siedziała wciśnięta w fotel, z włosami związanymi w dwie kitki, ozdobione czerwonymi kokardami. Nie bardzo wiedziała, o co chodzi w tym zamieszaniu.

Władek zaintonował „Wśród nocnej ciszy", potem następną kolędę. Atmosfera była podniosła i uroczysta. Stojący za drzwiami Toto, wyjąc przeciągle, dodatkowo podgrzewał nastroje. Goście zachwycali się pięknym głosem Władysława, więc już od siebie, niejako z rozpędu, zaśpiewał profesjonalnie brzmiącym tenorem trzy arie. Był w swoim żywiole, bawił towarzystwo. Widać było, że lubi pochwały, lubi być w centrum uwagi. Z wdziękiem przyjmował komplementy i pełne podziwu spojrzenia kobiet.

* * *

O losach Marii Sody, matki Władka, nic nowego nie udało się odkryć. Co stało się z jej ciałem, czy została pochowana, gdzie? Wszelkie ślady rozmyły się, zaginęły. Nie zachowała się nawet jedna fotografia. Kiedy zginęła matka, która scalała ten wspólnotowy układ, rodzina rozproszyła się. Córki, w czasie wojny nieletnie panienki, w jakiś sposób przetrwały. Jedna odnalazła się w Kanadzie, gdzie założyła rodzinę, ale utraciła kontakty z Polską. Druga, po daremnych próbach ułożenia sobie normalnego bytu, popełniła samobójstwo. Ojciec z najmłodszym, dziewięcioletnim Wiktorem, przebywał najpierw w obozie w Dachau, a po kilku miesiącach zostali przewiezieni do innego obozu w Niemczech. Nazwy obozu jego bliscy nie znali. Losów ojca, po którym imię nosił Władysław, też nie poznał i nigdy więcej go nie widział. Nie spotkał też swojego najmłodszego brata. Po zakończeniu wojny Wiktor próbował przekazać do Polski, do rodziny, znajomych, wiadomość, że wraca do kraju. O dziwo, wiadomość po pół roku dotarła. Ale brat – nie. Podobno utopił się w jeziorze koło Szczecina. Z całej licznej familii pojawił się w kraju o pięć lat młodszy od Władka – Mietek. Chłopiec, już jako trzynastolatek, był żołnierzem AK, czynnie uczestniczącym w akcjach bojowych. Miał odznaczenia za waleczność. Po powrocie z obozu jenieckiego w Niemczech osiedlił się na tzw. Ziemiach Zachodnich. Ożenił się, spłodził dwóch synów. Przeszłość odcisnęła się niczym pieczęć na psychice młodego człowieka. Wspomnienia powstańcze powracały jak bumerang, były motywem przewodnim jego późniejszego życia, tematem rozmów. Brak bliskich sprawił, że Władek i Mietek, mimo odległości i utrudnień, korespondowali z sobą i starali się spotykać. Nie zachowały się zdjęcia rodziców ani rodzeństwa. Takich jak oni, którzy po wojnie nie mieli żadnych materialnych pamiątek, było wielu. Oni mieli przynajmniej siebie.

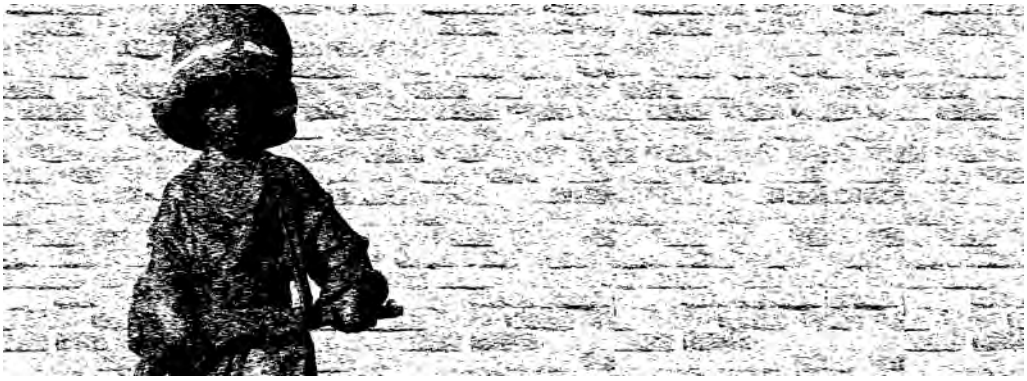

Sabina Chróstowska

WRZESIEŃ 1939 WE WSPOMNIENIACH MOJEGO OJCA

Trzy pokolenia w mojej rodzinie doświadczyły okrucieństwa II wojny światowej. Nasz Ojciec, Stefan Mastalerz, był uczestnikiem walk o Warszawę, brał udział w kampanii wrześniowej 1939. Po wojnie chętnie odwiedzał stolicę, cieszył się jej odbudową, a jednocześnie szukał miejsc zapisanych w pamięci z września 1939. W Warszawie bywał częściej od czasu, gdy ja, najstarsza córka, osiadłam tam na stałe w kilka lat po studiach. Snuł wtedy wspomnienia, z których powstała ta opowieść.

W roku 1939 miałam cztery lata, moja siostra Elwira dwa. Mieszkaliśmy na wsi u babci, która dwukrotnie została wdową, miała pięcioro dzieci; życie naszej gromadki pod jednym dachem było skromne. Gdy wybuchła wojna, dotknęła nas i innych mieszkańców wsi. Ojciec otrzymał wezwanie do wojska. Strach, płacz, lament, także w innych rodzinach, w której była podobna sytuacja. Na drogę matka dała synowi pół bochenka chleba, dwa jajka, butelkę wody. Wszyscy odprowadziliśmy Tatę do krzyża znajdującego się na skraju wsi, na niewielkim wzniesieniu, gdzie modliliśmy się o szybki powrót do domu, w dobrym zdrowiu. Ojciec mówił o tym etapie życia, ukazując wydarzenia pierwszych dni wojennych z własnej perspektywy, w świetle przeżyć osobistych.

Wyjazd do Warszawy

Musiałem dostać się do Warszawy, do Fortów Bema. W podróż udawałem się razem z Romkiem Drekslerem; obaj byliśmy wcześniej w wojsku, więc razem czuliśmy się raźniej. Na dworcu częstochowskim tłum ludzi, płaczące kobiety, wiszące na ramionach ojców dzieci. Dojechaliśmy do Warszawy. Pierwszy raz w życiu jestem w tak dużym mieście. Ulice zatłoczone. Podsłuchujemy, co ludzie mówią: Niemcy są słabo uzbrojeni, Francja i Anglia zetrą ich na proch, wojna szybko się skończy. Te nadzieje miały się jednak szybko rozwiać. Warszawiacy są nastrojeni bojowo, my jacyś zalęknieni. Nie słuchaliśmy wcześniej radia, nie czytaliśmy gazet, nie mieliśmy do nich dostępu. Warszawiacy organizują uliczne składki na broń, ludzie są hojni, oddają złote obrączki, wpłacają duże sumy lub ostatnie grosze na uzbrojenie polskiej armii. Taka postawa bardzo nas mobilizowała, podnosiła na duchu.

Zaprowadzono nas do Fortów Bema, liczono zgromadzonych, przydzielano do oddziałów. Mnie skierowano do por. Wardasa. Dostałem letni mundur i karabin, byłem gotów do obrony kraju. Mój oddział zaprowadzono na Cytadelę.

Cytadela

Tędy szliśmy – mówi Tato, wzruszony, zwiedzając to miejsce wiele lat po wojnie (w 1972) – wszystko poznaję. Te same mury, ta sama spokojna Wisła w dole, tymi schodami szliśmy w górę… Jest taki piękny dzień, jak wtedy. Nazajutrz wyruszyliśmy z Cytadeli, już najedzeni, umyci, dziarscy, gotowi do walki.

Warszawa

Miałem za zadanie obsługiwanie ulicy bodajże Srebrnej. Chodzimy od domu do domu, informując ludzi o obowiązku zasłaniania okien wieczorem i nocą, zaciemniania mieszkań, by osłonić domy przed niemieckimi nalotami. W sklepach brakuje papieru i kleju, tniemy więc stare gazety, robimy klej z mąki; jakoś to się trzyma szyby przez parę dni. Przygotowujemy zapasy wody, znosimy do piwnic worki mąki, kaszy, żyta. Dziewczyny szyją opatrunki, drą szmaty, robią bandaże, szykują zapasową pościel. Opiekują się ciężarnymi kobietami. Szybko znajdujemy wspólny język z chłopakami z Warszawy. Oni znają środowisko, są sprytniejsi, łatwiej poruszają się w terenie, służą radami – co, gdzie, jak. Mamy wspólny cel – nie dać się szkopom! Ale nie otrzymujemy żadnych wytycznych od zwierzchników, wydają się zaskoczeni, ogarnięci paniką. Brak nam konkretnych informacji, pouczeń, zebrań. Mamy skąpe zapasy amunicji. Co będzie, jak jej zabraknie? Każdy z nas właściwie zdany jest na samego siebie.

Nad Warszawą pojawiają się pierwsze samoloty, ale nie wiemy – polskie czy niemieckie? Nagle krzyk, że na Towarowej samoloty zrzuciły bomby z gazem. Coraz częściej słyszymy wybuchające bomby, a z głośników tajemnicze przekazy: „Uwaga, uwaga, przeszedł, dwa, koma pięć!" Co to za hasła? Nikt nie potrafi wytłumaczyć. Bomby padają coraz częściej, giną ci, którzy jeszcze wczoraj byli z nami.

Noc spędzamy w piwnicy, każdy dostaje kromkę chleba i szklankę gorącej wody. Rano wezwanie do kopania rowów i wznoszenia barykad. Pomagają nam nawet staruszkowie, mieszkańcy dzielnicy; dostarczają dodatkowy wikt, opatrunki. Mali chłopcy, czasem dziesięcioletni, przynoszą oskardy, łopaty, wiadra. Kursują z ulicy na ulicę, zdobywają wieści wojenne. Nieco silniejsi kopią rowy, włazy do piwnic, tunele. Od zachodu widać coraz jaśniejsze łuny – płoną wsie i miasteczka. Mnóstwo konnych wozów mknie ulicami Warszawy. Tramwaje przestały już kursować.

Opuszczamy Warszawę

Ktoś przynosi wiadomość, że pułkownik Umiastowski wzywa przez radio do wymarszu na wschód. Buntujemy się, chcemy bronić Warszawy. Jednego dnia pod wieczór dowiadujemy się, że rankiem mamy maszerować do Anina, małej podwarszawskiej miejscowości. Jesteśmy zdezorientowani, nie mamy map; bez rozeznania w terenie, bez zapasów żywności ruszamy jednak na Anin. Byłem wtedy bardzo głodny i właśnie podczas tego marszu widzę pod nogami zeschłą piętkę chleba. Rzuciłem się na nią, szybko podniosłem i natychmiast zjadłem. Prowadzi nas ktoś, kto zna okolicę, wioski, lasy. Niebawem widać przemierzające ten szlak wielkie tłumy ludzi, ciągnących wózki z własnym dobytkiem, ubraniami, naczyniami, starców, spłakane dzieci.

Jak piorun z jasnego nieba pojawiają się niemieckie samoloty, okrążają nas parę razy, znikają. Ukazują się ponownie i sieką niemiłosiernie po tłumie ludzi. Padamy na szosie, niektórzy biegną do rowów, inni do pobliskiego lasu. Droga usłana jest nieruchomymi ciałami, połamane wózki leżą na ulicy, słychać rozdzierający krzyk dzieci. Samoloty raz jeszcze okrążają drogę i las, ostrzeliwują poruszające się żywe cienie. Krzyk, płacz, rozpacz – to wszystko przelewa się przez każdego z nas.

Uskoczyłem w lasek, tutaj wydawało się trochę bezpieczniej. Ale moja prawa noga krwawi. Widocznie trafił ją jakiś odłamek wybuchającej bomby. Lasek, podobnie jak rowy, wypełniają głosy strachu i bólu umierających i przerażonych. Szwaby tego dnia już

nie powróciły, ale następnego rozgrywa się podobna akcja na różnych szlakach prowadzących z Warszawy. Ludzie są głodni, rozproszeni, nie wiedzą, gdzie się udać, nikt nimi nie kieruje.

Po ustaleniach rady wojennej formuje się samozwańcze dowództwo, które decyduje, że idziemy na wschód, gdzie ma być bezpieczniej. Wybuchają kłótnie, sytuacja się zaostrza, w końcu następny nalot niemieckich samolotów decyduje o naszym powrocie do Warszawy. Pojawia się jeden polski samolot. Zniża się, nawet widzimy głowę lotnika, machamy mu. Czy ocalał z tej pożogi, czy też został unicestwiony przez Niemców?

Powrót do Warszawy

Mijamy jakąś wieś. Nie znamy nazwy, w pobliżu torów leżą rzędem ułożone ciała ofiar nalotów. Zbombardowany dworzec w jakiejś miejscowości, wagony wyrzucone z szyn. Wokół tobołki, wózki, sprzęt kolejowy. Wracamy do Warszawy nocą, tak jest bezpieczniej. Bocznymi dróżkami w mroku natrafiamy na biedne chałupki, gdzie ludzie dają jeść i miejsce do spania. Nasza grupka zmalała, jest nas około piętnastu. I znowu niemiecki nalot – bombardują stodoły, łąki z pasącymi się krowami, które pędzą oszalałe ze strachu. Kanonada ustaje, znajdujemy poletko pełne ziemniaków. Rozpalamy ognisko, możemy się najeść. To cudowny wieczór, mimo że tylu kolegów poległo. Z tymi, którzy pozostali przy życiu, wymieniamy adresy, po wojnie przecież musimy się spotkać. A tu niebawem wiejskie dzieci niosą nam pajdy chleba, ciepłą kawę, owoce. Każdy z nas dostaje garnuszek ciepłego mleka od krowy, która miała szczęście wtedy przeżyć.

Następnego dnia podążamy dalej do Warszawy. Jako ranny umieszczony zostałem wraz z innymi na czołowej furmance. Noga spuchła, bardzo boli. Zasypiam, budzę się w nocy w jakiejś stodole, przykryty kocem. Obok siebie widzę kromkę chleba i garnuszek mleka. Nie mamy mapy, dopytujemy okolicznych chłopów, jak dostać się do Warszawy. Okazuje się, że jesteśmy w miejscowości Radość nieopodal Warszawy. Chłopi ubierają nas w swoje znoszone ubrania, tak będzie bezpieczniej. Maszerujemy nocą, następnego dnia docieramy na Pragę. Ktoś ogląda naszą ocalałą grupkę, zabiera rannych do centrum miasta.

Trafiłem do prowizorycznego szpitaliku przy ul. Długiej na Starym Mieście. Mała salka wypełniona po brzegi rannymi. Od spuchniętej, bolącej nogi gorączkowałem i majaczyłem. Lekarz dokładnie mnie zbadał i znalazł jeszcze krwawiące otarcie na głowie. Powiedział, że cudem uniknąłem śmierci, kula tylko „pogłaskała" mi głowę. Wielu chorych umiera, inni mają poważne rany, w nocy majaczą i jęczą. Niektórzy wołają, żeby ich wypisać, chcą wracać do swoich rodzin. Warszawiacy opowiadają o kilkutygodniowej gehennie stolicy, burzeniu domów, rozstrzeliwaniu przez Niemców, egzekucjach w publicznych miejscach. Widzimy przez okno, jak ginie trzech bardzo młodych chłopców.

Lekarze wyjęli mi odłamek kuli z nogi, oczyścili ranę, opatrzyli. Za kilka dni miałem opuścić szpital, który pękał w szwach, brakowało miejsc na łóżkach, przybywali wciąż nowi ranni. Zdrowsi spośród nich rozmawiali o wojnie, o walkach toczonych w stolicy, o koszmarze każdej warszawskiej dzielnicy.

Tracimy nadzieję na zwycięstwo, brakuje amunicji, broni, wyżywienia, leków. Stolica dogorywa, ale są i tacy, którzy wierzą, że pomoże nam Zachód, Anglia, Francja. Nie zdajemy sobie sprawy, że zagrożona jest cała Europa. Wśród rannych w szpitaliku są i tacy, którzy, chcąc dodać innym otuchy, opowiadają o dawnych dobrych latach, o swoich domach, rodzinach; śpiewają warszawskie piosenki, wspominają lokale, w których śpiewała

Ordonka, opowiadają kawały, jak ktoś chciał sprzedać kolumnę Zygmunta... Był też poeta i pięknie recytował wiersze o walkach Polaków, jasnowidz, który widział Polskę od morza do morza... Wszyscy wierzyli w rychły upadek Hitlera, snuli opowieść, jak to zjednoczona Europa zada cios hitleryzmowi. Były przede wszystkim te dzielne, wytrwałe dziewczyny, sanitariuszki, prawdziwe samarytanki. Dzień i noc czuwały nad nami, zawsze gotowe do pomocy. Leczyły nasze rany, rozdawały lekarstwa, ale też pocieszały, ofiarowywały drobne radości, obietnice spotkania po wojnie…

Powrót do domu

Wypisany zostałem w październiku. Ubrałem się w to chłopskie odzienie otrzymane w Radości. Ulice zapełnione niemieckimi żołnierzami, którzy są butni, pewni siebie, weseli. Polacy przemykają chyłkiem z pochylonymi głowami. Docieram na Towarową. Nie mam nawet złotówki na bilet. Pociąg odjeżdża za trzy godziny, z konduktorem ustalam, że nie wejdę do wagonu, tylko na bufory znajdujące się na końcu.

Już Częstochowa. Idę w kierunku Jasnej Góry, pomodlić się za ocalone życie. A potem w stronę Kiedrzyna, zbaczam na lewo. Mijam chatkę brata Zygmunta. Już widzę mostek nad rowem prowadzący na nasze podwórko, a na nim dzieci, poznają mnie. Pędzą, ściskamy się. Za nimi żona i matka. Wieczór upływa na opowieściach, słucha cała rodzina i sąsiedzi.

Dalsze losy

Szczęście jest krótkotrwałe, pozorne. Za parę miesięcy cała rodzina musi opuścić swój dom, zostawić konia, krowę, psa. Mocą zarządzenia gen. Franka wszyscy Polacy z Antoniowa zostają wysiedleni na przymusowe roboty na rzecz III Rzeszy, na tereny zajęte przez Hitlera. I tak po długiej, wyniszczającej podróży, z dobytkiem mieszczącym się w jednej ręce, znaleźliśmy się na ziemiach czeskich. Rodzice stali się tam robotnikami III Rzeszy niedaleko miejscowości Novy Jičin w Czechach. Ale to już jest kolejny rozdział w naszym życiu i materiał na inną opowieść.

Sabina Chróstowska – ur. w Częstochowie, romanistka; przez kilkadziesiąt lat mieszkała i pracowała w Warszawie. Publikowała między innymi w takich pismach i gazetach, jak „Tygodnik Powszechny", „Świat Ciszy", „Kobieta i Życie", „Arka", „Tygodnik Zamojski", „Życie Warszawy", „Gazeta Wyborcza", „Aleje 3" (także czasopisma francuskie, włoskie, szwajcarskie); poruszała sprawy środowiska inwalidów słuchu, ich potrzeb, sytuacji w Polsce i w Europie. Jest również autorką wspomnień i opowiadań nagradzanych w różnych konkursach, w tym ogólnopolskich (Uniwersytet Wrocławski, Wydział Socjologii, „Tygodnik Zamojski").

Wiesława Owczarek

PLASTIK I

1

Golił się codziennie. Kiedyś próbował odpuszczać ten narzucony przez rutynę obowiązek, ale nawet jednodniowy zarost przeszkadzał, dawał poczucie zaniedbania, niedomycia.

Patrzył na swoją twarz w lustrze, wygładzaną w tej chwili maszynką do golenia. Mężczyzna powinien dbać o siebie – myślał. – Ma wtedy w sobie ten rodzaj zadowolenia, który usuwa w cień inne niedogodności życia, które przytrafiają się w codziennej egzystencji.

Maszynka gładko brała powierzchnię twarzy, ślizgała się po policzkach, brodzie, mknęła w kierunku bardziej skomplikowanych uchyłków twarzy i szyi. Wyuczone ruchy nie sprawiały trudności. Ileż to już lat minęło, od kiedy usuwał, najpierw brzytwą, potem coraz bardziej doskonałymi narzędziami, owłosienie swojej twarzy, ten relikt zamierzchłych, barbarzyńskich czasów, gdy noszono obfite brody i wąsy, całe to włochate oprzyrządowanie mężczyzn. Przyszło mu na myśl, że w czasach niespokojnych, przedrewolucyjnych, zaczynała swoje panowanie moda na bujny zarost, jakby mężczyźni dawali znak – uważajcie, szykujemy się, nasze wąsy i brody są znakiem wtajemniczenia w to, co nadchodzi i jednocześnie to element naszego ukrycia, konspiracji. Uwaga, nadchodzimy!

Ale od dłuższego czasu był spokój, wygolone twarze mężczyzn zdawały się mówić – jest dobrze.

2

W pewnym momencie maszynka do golenia, muskając policzek, zacięła się, nie mogła ruszyć dalej. Przybliżył twarz do lustra. Zauważył, że jeden z kiełkujących włosków, który wraz z innymi mógłby w przyszłości stać się obfitym zarostem dojrzałego mężczyzny, jest jakiś inny, a i kolor odbiegał od normy. Różowy?

Zbiegł na dół i po chwili, uzbrojony w lupę, przyglądał się z bliska temu, co go zaniepokoiło. Krostka? Nie, nie była to krostka ani żaden tego typu wykwit na skórze. To było coś zupełnie innego. Tak, jeden element przyszłego zarostu zdecydowanie wyglądał inaczej i to on sprawił, że maszynka – pięć ostrzy! – nie mogła ruszyć dalej. Trzeba było coś zdecydować. „Zobaczymy jutro" – pomyślał. Dokończył golenie, omijając mały, różowy punkcik i z niejasnym uczuciem dyskomfortu wyszedł z łazienki.

– Co ci jest? – zapytała żona, kiedy wszedł do kuchni, by zjeść śniadanie. – Biegasz w górę i w dół. Coś się stało?

Była zaniepokojona, ale zbył ją mruknięciem:

– To nic takiego, zrobiła mi się krostka na policzku.

Przed wyjściem do pracy wbiegł jednak znowu na górę, do łazienki, by jeszcze raz przekonać się, że różowe „coś" na jego twarzy nie zniknęło.

3

Po kilku dniach wydawało się, że sytuacja nieco się wyjaśniła, chociaż nadal była skomplikowana. Różowy punkcik urósł, był teraz niewielkim, różowym tworem, który nadal nie poddawał się maszynce do golenia. Wręcz nieprzyzwoicie sterczał na policzku. Wniosek był jeden – urósł. Zniecierpliwiony, użył nożyczek. Miał teraz na dłoni usunięty fragment tego, co tak dziko i beztrosko wyrosło mu na twarzy. Fragment ten mierzył około pół centymetra,

naciskany paznokciem nie poddawał się, wręcz stawiał opór. No i był różowy. Wyglądał jak kawałek plastikowej rurki. Nie, nie wyglądał jak kawałek plastikowej rurki. To był kawałek plastikowej rurki.

– Coś się kiepsko ogoliłeś – żona przytuliła twarz do jego policzka na dzień dobry.

Przy obiedzie nie mógł się skupić. Nawet jego ulubiony makaron w kształcie kokardek, doprawiony sosem z kurek, nie poprawił mu humoru. Zawsze przy obiedzie rozmawiali na temat zjadanej właśnie potrawy, przerzucając się pomysłami na temat jej udoskonalenia. Ale czy nabrzmiały na policzku problem mogła załatwić informacja, że to makaron ugotowany *al dente* w osolonej odpowiednio wodzie? A cała dalsza procedura – usmażona na maśle cebulka z czosnkiem, wrzucony na nią pokrojony filet z indyka, chwila smażenia, a potem na to umyte kurki i rozmrożony szpinak, i niech to wszystko zmięknie, na to śmietanka, trochę soli, trochę pieprzu – czy taka informacja, taki wyrafinowany smak, mogły zagłuszyć niepokój, który nim zawładnął? Makaron z dodatkami smakował świetnie, ale na próżno zagadywała go żona, pytając, czy w przyszłości nie wolałby kiełbasek zamiast indyka. Wolałby nie mieć problemu.

4

Codzienny obrządek golenia zyskał nowy rytuał – potrzebne były nożyczki. Ostrze maszynki coraz częściej zacinało się na kolorowych wypustkach, które, ku jego rozpaczy, zaczęły wyrastać na niektórych partiach twarzy. Rozpleniły się bowiem i stanowiły już trwały element utrudniający golenie. W pewnym momencie pomyślał, że pęseta może być tym narzędziem, przy pomocy którego będzie mógł pozbyć się raz na zawsze tego bałaganu na twarzy. Chwycił pęsetą jeden z kolorowych wyrostków i pociągnął. Poczuł ból aż w trzewiach i przyszło mu do głowy, że problem ma korzenie gdzieś wewnątrz niego i że żadne narzędzie nie będzie miało takiej mocy, aby się z nim rozprawić.

Żona patrzyła na niego podejrzliwie i z pewnymi wewnętrznymi oporami przyznał się jej, że trapi go pewna niedogodność. Pokazał jej obcięte, kolorowe wypustki z pewnym zażenowaniem, jakby był to objaw wstydliwej choroby.

– Musisz iść do lekarza – kobieta widziała tylko jedno rozwiązanie. – Trzeba poradzić się specjalisty, bo to doprawdy tajemnicza sprawa. Nie martw się, ładnie ci z tymi kolorowymi kropeczkami na twarzy. Mnie się podobasz – zaśmiała się.

Kolacja na gorąco nie poprawiła mu humoru. Wiedział, że żona się starała. Faszerowana cukinia wymagała trochę zachodu. Trzeba jednak wydrążyć te cukinie, trzeba na rozgrzaną patelnię wrzucić drobno pokrojoną cebulkę i czosnek, miąższ z cukinii, pieczarki i tymianek, a do mięknących warzyw dodać porcję mielonego mięsa, dodać trochę rozdrobnionej rukoli, a potem gotowym już, wysmażonym farszem napełnić cukinie i piec w piekarniku (45 minut!). A przecież przed podaniem można jeszcze posypać uprażonymi orzeszkami, zazielenić natką pietruszki. Żona zagadywała na ten temat wesoło, ale on nie miał głowy do takich szczegółów. Cukinie były smaczne, owszem. Jak zawsze.

5

– Nie jest pan pierwszy – dermatolog przyglądał się jego twarzy. Obejrzał również kawałki plastiku, które pacjent przyniósł ze sobą. Lekarz jedno oko miał przesłonięte opadającą powieką i wyglądał przez to jak ktoś, kto nieustannie a złośliwie puszcza oko do swojego rozmówcy.

– Czy to objaw jakiejś choroby?

– No nie do końca – jedno oko łypało na niego złowrogo. – Wie pan, to zjawisko nasi-

liło się w ostatnim czasie i jak już powiedziałem, nie jest pan pierwszym pacjentem z tymi objawami – mówiąc to, nadal przyglądał się z bliska jego twarzy. – Otóż istnieje podejrzenie, że organizm ludzki nie radzi sobie z nadmiarem plastiku, który człowiek wchłania w siebie oddychając, jedząc, pijąc, używając kosmetyków, posługując się, ogólnie mówiąc, najnowszą technologią. Ta cała chemia, wie pan… Mikrocząsteczki plastiku są już wszędzie, naukowcy biją na alarm. Widocznie mądra Natura wpadła na pomysł, aby wydalać ten plastik z organizmu człowieka w jak najmniej szkodliwy dla niego sposób, w formie zastępującej jego naturalne owłosienie.

– A ta kolorystyka? Skąd to się bierze?

– Przecież pan wie, że wyroby plastikowe mają bogaty wachlarz barw. W ten sam sposób pana nowy typ owłosienia – wciąż się waham, czy mogę to zjawisko tak nazywać – a więc pana nowy budulec zarostu będzie właśnie taki – różnokolorowy. I powiem panu więcej, naukowcy przewidują, że zjawisko to będzie postępować i że właściwie nie ma sposobu na zatrzymanie tego procesu. Plastik jest wszędzie, jest również w nas. Dopóki Natura daje sobie radę, jesteśmy uratowani.

Lekarz zaprzestał oględzin i zamyślony usiadł za biurkiem.

– A wie pan – zaczął po chwili – ciekawa sprawa. Zgłaszają się z tym problemem tylko mężczyźni. Czyżby organizm kobiety radził sobie lepiej z tego typu zagrożeniami?

Pogładził się po łysinie i siedział nadal, wpatrując się w pacjenta. Wydawało się, że nie ma nic więcej do dodania.

– Jak z tym żyć, panie doktorze?

Zadał to pytanie, chociaż po wywodzie dermatologa zdał sobie sprawę, że nie ma nadziei na jakąkolwiek kurację, która by wyeliminowała problem, z którym się do lekarza zgłosił.

Lekarz westchnął i spojrzał na niego. Cały czas wydawało się, że tylko jego jedno oko rejestruje rzeczywistość, a drugie, skryte pod nawisłą powieką, nie bierze udziału w całym tym spotkaniu.

– Jeżeli nie zatrzymamy zjawiska powszechnego użycia plastiku w każdej dziedzinie życia, czeka nas jedno – plastik nas zje. Zostawimy za sobą zafoliowaną Ziemię, która nie będzie mogła oddychać, a my razem z nią. Chyba że Natura wykorzysta plastik jako budulec nowych form życia, ale czy wyobraża pan sobie człowieka całego z plastiku? My, ludzie, prawdopodobnie będziemy musieli zniknąć jako gatunek. Ewolucja postępuje, ale czy w dobrym dla nas kierunku? W tej chwili musimy z tymi, drobnymi na razie zmianami, żyć. No, głowa do góry, to jeszcze nie koniec świata.

6

Od spotkania w gabinecie lekarskim minęło parę lat. Stał znowu przed lustrem z urządzeniem najnowszej generacji (to prawie mała kosiarka – śmiał się w duchu), które świetnie dawało sobie radę ze sztywnymi, kolorowymi wypustkami, beztrosko pleniącymi się na jego twarzy. Widywał mężczyzn, którzy zapuszczali bujny, wielokolorowy zarost. Chwalono nawet, że plastik jest łatwiejszy w utrzymaniu higieny, że jest bardziej twarzowy i że niektórym takie samo plastikowe owłosienie zaczęło wyrastać jako czupryna. Podobno u tych mężczyzn zniknął problem łysienia – plastik był niezniszczalny, nie działały na niego ani stres, ani hormony.

Stopniowo powstała cała seria kosmetyków i narzędzi do pielęgnacji nowego typu owłosienia – szampony, środki zmiękczające i koloryzujące, przyrządy do golenia, do fryzowania. Kobiety pozazdrościły mężczyznom kolorowych, odlotowych fryzur i w tę lukę

wcisnęli się producenci peruk, wytwarzając całkiem twarzowe fryzury z kolorowego, sztucznego tworzywa, na czym z kolei zarabiali spece od recyklingu. Chemia rozkręciła koło zamachowe, które wytwarzało nowe środki chemiczne, aby tę chemię podtrzymać, wręcz pielęgnować.

Ale on był tradycjonalistą. Niech sobie młodzi hodują plastikowe dredy. Plastik, który zdarł sobie z twarzy, wylądował w koszu na śmieci. Spojrzał z zadowoleniem na wygoloną, gładką twarz i kształtną czaszkę. Pomyślał, że żona obiecała zaskoczyć go jakimś nowym pomysłem kulinarnym, szykuje się więc mała uczta. Tak, to jeszcze nie koniec świata, a jeżeli nawet kiedyś nadejdzie, to jeszcze nie nasze zmartwienie. Jeszcze żyjemy i mamy swoje małe przyjemności. Z tą myślą zaczął nowy dzień.

PLASTIK II

Ostatni plażowicze niechętnie zwijali parawany, pakowali koce i odchodzili do swoich ośrodków wypoczynkowych, hoteli, sanatoriów, wynajmowanych lokali – na co kogo było stać, co komu w losie przypadło.

Zmierzchało. Woda zyskiwała kolor ciemniejącej wraz z zapadającym zmrokiem zieleni.

Lekka bryza wprawiała je w ruch. Szeleściły, początkowo niewyraźnie, potem coraz odważniej.

– Nareszcie poszli – zaszemrała BLADORÓŻOWA. – A mnie porzucili. Dzisiaj nie zabrali mnie z powrotem, zostawili tutaj, na plaży. A przecież służyłam im, tachałam żarcie, które zawsze wloką ze sobą na plażę.

– Tak, tak – zaskrzypiała BRUDNOSZARA, zmięta w nieestetyczną kulkę. Wiaterek pozwalał jej właśnie na lekkie rozprostowanie, z czego korzystała. – Mnie dzisiaj upokorzyli totalnie, zgnietli i wyrzucili jak niepotrzebny śmieć. Też nosiłam im jogurty, drożdżówy, soczki. Wychodzą po śniadaniu i wyobrażają sobie, że po przyjściu na plażę umrą z głodu. Teraz leżę tu taka pokurczona, nie mogę wziąć głębszego oddechu. Żadnego szacunku. Robimy swoje, a oni nas tak traktują.

– A mnie – zamruczała FIOLETOWA – a mnie wypchali dzisiaj do granic wytrzymałości. Myślałam, że mi polimery trzasną. Chcieli we mnie wpakować wszystko – kosmetyki, piłkę, koc. Gdyby mogli, to by i parawan wpakowali. Pojęcia nie mają, co taka delikatna torebka może wytrzymać.

– U mnie też nieciekawie – zaszeleściła CZARNA W SREBRNE GWIAZDKI. – Na początku było świetnie. Moja pani nosiła ze mną swoje kosmetyki. Te opakowania, zapachy! Pachniałam tak, jak moja pani. Tu, na plażę, przynosiła ze mną te wszystkie balsamy, kremy, żele chłodzące. Aż tu pewnego dnia wypatrzyła w jakimś kiosku podobną torbę – CZARNĄ W ZŁOTE GWIAZDKI. I koniec. Tu, na moich oczach, przepakowała cały kramik do nowej. Zostałam na lodzie! To znaczy – na piasku… Po tak długim okresie wiernej służby! Nawet nie zdążyłam się całkiem zużyć, a tu taka zapłata. Nikomu nie można ufać.

– Nie denerwuj się – zaszemrała PRZEZROCZYSTA. – Może komuś się spodobasz, podniesie cię i przygarnie. Jesteś całkiem ładna. I cała.

– Taki nasz los – mruknęła NIEOKREŚLONA. – Wykorzystają nas, zniszczą fizycznie i psychicznie, a potem porzucają jak śmieci. Ja się właśnie tak czuję – jak śmieć.

– To niesprawiedliwe – szepnęła plaża.

– E, co wy tam gadacie – zaszumiał WIELKI CZARNY. – To i tak nic w porównaniu

z tym, co ja muszę wytrzymywać. Do mojego wnętrza wrzucają wszystko! Moja psychika wysiada. Zdaję sobie sprawę, że jestem bardziej wytrzymały niż wy, moje drogie koleżanki, ale jednak wszystko ma swoje granice.

– Ach, wyjechać na wakacje! – mruknęła ZIELONA. – Jest gdzieś na oceanie wyspa dla takich jak my – Wielka Pacyficzna Wyspa. Kto się na nią załapał, unosi się na falach, wygrzewa w słońcu. Nikt nie szarpie, nie rozrywa, nie nadużywa.

– Myślę – zapiszczała MAŁA BIAŁA WE WZOREK – że tam też czyhają różne niebezpieczne przygody. Są sztormy, można utonąć.

– Ależ my jesteśmy niezatapialne – zaśmiały się dwie BŁĘKITNE leżące obok siebie. – Możemy płynąć, dryfować, fale będą nas kołysać. Życie potrafi być piękne.

– Hola, hola – odezwała się BLADOŻÓŁTA. – Niosłam kiedyś morskie ryby. Skarżyły się, że w morzu jest masa rozdrobnionego plastiku i że one, ryby, często go przez pomyłkę połykają. Większe kawałki również i to nie jest dla nich nic dobrego. Mogą nawet stracić życie.

– Rozdrobnieni czy nie – zaskrzeczał WIELKI CZARNY – i tak jesteśmy bardziej niezniszczalni niż cała reszta tego, co nas otacza. Wiecie, co mi się marzy?

– No co? Co ci się marzy, WIELKI CZARNY? – zaszumiało w różnych zakątkach plaży.

– Otóż marzy mi się, żebyśmy my, plastikowe wyroby, pokryli całą Ziemię, żebyśmy mogli przemieszczać się, wylegiwać na zielonych łąkach, fruwać pod błękitnym niebem. Bo wiecie, co się może zdarzyć? Mogą przyjść ci wstrętni ekolodzy i nas POZBIERAĆ!

– Ekolodzy to najgorsze, co może się nam przytrafić – westchnęła cichutko SZAROBURA.

– A mogą, mogą przyjść – ciągnął dalej WIELKI CZARNY. – Będą nas dźgać tymi swoimi ostrymi szpikulcami i pakować nas do – i tu uwaga! Uwaga! Pakować nas do plastikowych worów!

Lekki chichot przetoczył się przez plażę.

– Ale co później będzie z nami? – dopytywała przerażona BEŻOWA.

– To już różnie, zależy od szczęścia – WIELKI CZARNY snuł swoją opowieść. – Można trafić na wielkie wysypisko i to dopiero jest tragedia. Ścisk, smród i tak przez wiele lat, właściwie do końca życia. To nawet nie czyściec, to piekło. Można też trafić do recyklingu i wtedy następuje reinkarnacja!

– Co to jest, ta reinkarnacja? – pytająco zaszumiała plaża.

– Można stać się czymś innym. W połączeniu z innymi materiałami z odzysku można stać się przedmiotem użytkowym, na przykład grzebieniem, obcasem przy buciku ładnej dziewczyny lub inną użyteczna rzeczą. I to jest najlepsze, co może nam się przytrafić. Już nie torba, popychadło do wszystkiego, ale rzecz stabilna, użyteczna, szanowana.

W tym czasie BIAŁA, cicho szeleszcząc, fruwała nad plażą.

– A ta co sobie myśli? – zaskrzypiała SELEDYNOWA. – Że jest duchem? I może nas straszyć?

– Tylko sobie fruwa, widocznie nie była przysypana piaskiem, tak jak my i teraz hulaj dusza. Wiatr ją niesie – zamruczała LILIOWA.

– O tak, wiatr mnie niesie – zaszumiała BIAŁA. – I widzę więcej niż wy. Wiecie, ile nas tu jest? Cała plaża zasłana jest RÓŻOWYMI, FIOLETOWYMI, ZIELONYMI, PRZEZROCZYSTYMI. A te zagrzebane pod piaskiem, którym odebrano głos? Jesteśmy potęgą! Bo nawet jeśli przyjdą ekolodzy i zabiorą nas gdzieś w nieznane, po nas przyjdą inni – torebki, reklamówki, worki, nasze plastikowe bractwo. No to do jutra, trzymajcie się

piachu. Muszę zahaczyć o jakiś krzaczek i przycumować, bo robi się coraz ciemniej. Może będziemy mieć szczęście i ekolodzy dadzą nam jutro spokój. I będzie nas jeszcze więcej.

***

Ekipa sprzątająca miała sporo roboty. Do uprzątnięcia był rozległy pas nadmorskiej plaży. Po ich przejściu krajobraz zajaśniał całą swoją urodą i witał wschodzące słońce i nowy dzień. Za parę godzin zaczną schodzić się pierwsi plażowicze.

Wacław Jagielski, „Poranne spacery" – szkic ołówkiem do książki Nowy Sącz – miasto, które pokochałem, 2017

ROZMOWY O POLSKIEJ MOWIE.

Z Antonim Rotem, aktorem Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, rozmawia Barbara Strzelbicka

Antoni Rot, foto Piotr Dłubak

Czym jest język dla aktora? Jakie możliwości daje język w kreowaniu postaci i innych elementów świata przedstawionego?

Mogę powiedzieć, czym jest dla mnie. Myślę, że każdy z aktorów myśli o tym inaczej. Umiejętność porozumiewania się nie opiera się wyłącznie na słowie. Język, a co za nim idzie w tradycyjnym teatrze – słowo, stanowi w procesie komunikowania jedynie bliżej nieokreślony procent. W grę wchodzą tu także – mowa ciała, z wszystkimi zależnościami interpersonalnymi oraz cała skomplikowana sieć intencji. Gdy ten pierwszy aspekt bezpośrednio kreuje postać i stanowi element widoczny świata przedstawionego, drugi jest ukryty i stanowi, jak ja to nazywam: „źródłosłowie". Słowo, język, mowa ciała stanowią pochodną intencji. I to ona – intencja – stoi u podstaw aktu tworzenia postaci scenicznej, filmowej itd. Można powiedzieć, nawet z nutą pewności, iż język kreowanej przez aktora postaci zbudowany jest z przeplatających się intencji aktora i autora dramatu, scenariusza. Źródłem kreacji jest ich styl, forma, fraza, charakterystyczna interpunkcja, indywidualna akcentacja, szyk wyrazowy. Żywe słowo powstaje nie tylko na bazie litery, ale całej gamy uczuć, emocji i motywacji, jakie kierowały autorem podczas aktu tworzenia poszczególnych osób dramatu, scenariusza i aktorem, poszukującym właściwej interpretacji. Obowiązkiem aktora jest po pierwsze doszukanie się, doszperanie, dowiercenie do tych pokładów, które stanowią źródło intencji, a po drugie analiza sensów, logiki itp. Powtórzę,

chodzi o dotarcie do języka i słów przez intencję – stanowiącą pierwocinę aktu twórczego – „źródłosłowie" autora dramatu, scenariusza. Intencje autora natomiast są znów wypadkową jego wcześniejszych doświadczeń, inspiracji, nawet pnia genealogicznego.

Można na te pytania odpowiedzieć jeszcze inaczej. Język, na przykład Słowackiego, Wyspiańskiego czy Gombrowicza, pozwala budować zupełnie inne jakości. Na ich bazie powstaje za każdym razem inna rzeczywistość, w której aktor egzystuje, porusza się, myśli. Język daje możliwość poddania się określonej przez autora stylistyce. Aktor może łatwiej stać się składową scenicznej rzeczywistości.

Albo jeszcze inaczej. Bardzo często to właśnie język autora i zawarte w nim treści naprowadzają aktora na postać sceniczną i pomagają w jej budowaniu. Można powiedzieć, że to, w jaki sposób osoba dramatu ma skonstruowane myśli, prowadzi aktora do stworzenia określonego typu osobowości.

Jakie znaczenie ma język w nawiązywaniu kontaktu a widownią? Jak można za pomocą języka manipulować reakcją odbiorcy?

Dotyka Pani tymi pytaniami kilku sfer mojej scenicznej działalności. Kontakt z widzem, według mnie, nie opiera się wyłącznie na nawiązaniu werbalnego porozumienia. Tak może być na przykład podczas interaktywnej prelekcji, na sali sądowej czy podczas wykładu akademickiego. Teatr bazuje raczej na innym rodzaju porozumienia. Słowo jest tylko składową pewnej energii spotkania aktor-widz. Emanacja grupy ludzi siedzącej na widowni ma ogromny wpływ na sposób i charakter odgrywanych problemów. Czuła membrana, jaką posiadają bądź powinni posiadać aktorzy, pozwala na dostosowanie środków wyrazu do określonej widowni. Bywa, że komunikacja jest zachwiana i brak jest łączności, porozumienia z widzem. Czasem jest to efektem miałkiego materiału literackiego, nieprawidłowo poprowadzonej fabuły, jakichś interpretacyjnych fałszów, źle ustawionych akcentów, błędów obsadowych czy reżyserskich. Ale bywa też, że „wina" jest po stronie widowni, która może być „niekompatybilna", używając języka komputerowego, z materią spektaklu.

Język, słowo, intencje odgrywają w tym porozumieniu ważną, ale nie jedyną rolę.

Co do manipulowania reakcją odbiorcy, nie czuję, a nawet nie powinienem czuć się tutaj specjalistą... Dlaczego? Nieraz, oglądając spektakle czy filmy, przeczuwałem, że środki wyrazu użyte przez realizatorów mają mnie nakierować na jakieś przemyślenia, uczucia, emocje i czułem się w jakiś sposób „manipulowany", ale jako aktor mam do wykonania określone zadania sceniczne i nie powinno mnie interesować, czy mają one być jakąś częścią składową manipulacji. Jeśli już nawet manipulacja jest przez realizatora wmontowana w spektakl, co jest raczej rzadkim zjawiskiem, myślę, że przez aktora nie powinna być dodatkowo, nazwijmy to – „grana". W slangu aktorskim mówi się, że mogą w takich sytuacjach być widoczne dla widza „szwy" roli. A to jest niewskazane.

A tak na marginesie... Język, na przykład Gombrowiczowski, w którym forma ma wprowadzić odbiorcę w jakiś inny, nacechowany indywidualizmem, może nawet sztuczny świat, ma prawo nosić znamiona manipulacji, gdyż służy ona wyższym celom: dla stworzenia metafory, głębszego przesłania, obudzenia sfery przeczuć, obsesji, nietypowych emocji.

Ktoś może powiedzieć, że każdy rodzaj sztuki jest jakiegoś rodzaju manipulacją. Myślę jednak, że w przypadku teatru owo manipulowanie widzem przy pomocy języka, stylistyki, formy, jeżeli już jest, nie powinno być czynnikiem dominującym. Na pierwszy plan winna się wysuwać fabuła, idea i przesłanie dramatu.

Czy był Pan w sytuacji, gdy reakcja słuchaczy na Pańskie słowa była inna od przewidywanej? Czy są takie reakcje, które Pana zaskakują?
Tak. Bywają teksty sztuk, które zawierają pewne niejasności, budzą kontrowersje i nie wiemy, jakie reakcje wywołają u odbiorcy. Mamy niejednokrotnie do czynienia z materiałem, który może nie znaleźć zrozumienia czy poklasku. Ale w imię wagi przekazu, istotnego przesłania czy ciekawego materiału na zrobienie roli, aktorzy uczestniczą w takich projektach. No cóż, nie zawsze nasze odczytanie sztuki pokrywa się z odczuciami widza. Bywa, że odbiór sztuki jest na przykład o wiele głębszy i analiza widza ciekawsza od zamierzonej przez realizatora i aktorów. Bywa, że dzieło, jak pisał Bogusław Schaeffer, przerasta twórcę. To są szczęśliwe chwile. Gorzej, gdy twórcom wydaje się, że tworzą w ich mniemaniu dzieło wybitne, a powstaje twór przeciętny, słaby.

Ale w Pani pytaniu, podejrzewam, jest ukryta głębsza intencja. Owszem, bywa, że spotykamy się z bardzo żywym, radosnym odbiorem spektaklu, a wcale nie było to naszym zamierzeniem. Bywa, że jesteśmy zbulwersowani, gdy widownia śmieje się na spektaklach gorzkich, dotykających ciemnych stron egzystencji. I odwrotnie, spektakle z założenia komediowe, bywa, że nie wywołują radości. Cóż, widz nie zawsze reaguje tak, jak byśmy chcieli. A czy to zaskakuje? Raczej nie. Pozostaje nam nie zrażać się ewentualnie skomentować w kulisie, jaka danego wieczoru jest widownia... i grać dalej. Bywa, że widownia milczy i pozornie nie reaguje, nie dając nam żadnych sygnałów. Jest zagadką i ujawnia swoje emocje dopiero pod koniec spektaklu, podczas braw.

Czy zauważa Pan różnice w przygotowaniu do zawodu młodych aktorów obecnie i dawniej? Na czym one polegają?
Raczej nie zauważam zasadniczych różnic. Praktyczna wiedza teatralna jest przekazywana z pokolenia na pokolenie. Technika podobnie. Można mówić ewentualnie o różnym typie aktorstwa: przedwojenne, powojenne, lat sześćdziesiątych, współczesne, może o indywidualnych cechach aktorstwa poszczególnych artystów, ale podstawy zawodowe wydają się być niezmienne. Przedmioty i program w szkołach aktorskich są te same. Oczywiście każdy początkujący artysta przychodzi do szkoły teatralnej, a potem do teatru z innym bagażem doświadczeń, obserwacji, predyspozycji zawodowych, talentów. Nieco inaczej uczy szkoła krakowska, inaczej łódzka, wrocławska czy warszawska, bo po prostu inni są pedagodzy prowadzący, ale trzon edukacyjny jest wszędzie podobny.

Dopiero życie zawodowe, lata pracy scenicznej, zadania aktorskie powierzane przez dyrektorów teatrów, weryfikują skalę możliwości i poziom artystyczny poszczególnych twórców. A jeżeli już miałbym trochę marudzić, to powiem, że chyba przed laty opuszczaliśmy szkoły aktorskie z większym ładunkiem zawodowej pokory.

Jeszcze niedawno język aktorów był wzorem tego, jak należy mówić. Obecnie dla przeciętnego Polaka wzorem w tym względzie jest język medialny. Jak mówi się w mediach?
W mediach? Mówi się szybko, bez intencji, dykcji i plastyki słowa. Informacyjnie. Z dominantą kultury obrazkowej, w której ważne jest przede wszystkim, jak się wygląda, a nie, jak i co się mówi. To oczywiście wersja pesymistyczna. A z odrobiną optymizmu...? Nie ma co przeceniać w tej kwestii aktorów. Zacznę od dykcji i artykulacji. Wielkie osobowości, wielkie autorytety, aktorzy z gigantycznym dorobkiem artystycznym, osoby uznane w środowisku, uwielbiane zarówno przez masowego, jak i wysublimowanego odbiorcę, często popełniali grzechy niedoskonałej dykcji i braku dbałości o jakość żywego słowa. Mam w pamięci co najmniej kilku mistrzów, którzy nie posiadając doskonałej dykcji, prze-

Antoni Rot, foto Piotr Dłubak

kazywali przy pomocy żywego słowa treści i intencje na najwyższym – ludzkim, człowieczym poziomie. Dzisiaj problem może nie jest tak mocno widoczny w teatrze, gdzie właściwa artykulacja, wymowa i dykcja są podstawą. Częściej słychać to w serialach i filmach fabularnych, w których aktorzy specjalnie mówią niedbale, dla stworzenia imitacji życia. Przypomina mi się tu powtarzana do znudzenia przez pedagogów uczących interpretacji wiersza, prozy i dramatu zasada, iż nie jest najważniejsze „jak mówmy", ale „co mówimy". Treść powinna dominować nad formą. Jeżeli skupiamy się wyłącznie na estetyce i plastyce słowa, prędzej czy później ulegniemy manierze. Złoty środek jako cel.

Jakie tendencje zmian w języku polskim martwią Pana szczególnie? Jakie błędy językowe szczególnie Pana rażą?
Martwi, a nawet irytuje mnie ogólna niedbałość. Przyzwyczajanie nas, czasem nawet przez językoznawców, iż błędy językowe są efektem naturalnej ewolucji języka, jego upraszczania. Zastępowanie szlachetnych form prostszymi. Przykłady można mnożyć. Na przykład w miejsce formy tę, łatwa akceptacja formy „tą". Mocno razi mnie, i nie jestem w tym odosobniony, używanie takich słów jak: „włanczać", „wziąść", „dzień pierwszego lutego", „w cudzysłowiu", „z dużej litery", „swetr", „poszłem" itp.

Jakie zmiany w języku podobają się Panu?
Mam dziwne przeświadczenie, że niestety, to co w kształtowaniu polszczyzny najlepszego, mamy już za sobą. Odeszły w siną dal zdobycze Mickiewicza, Norwida, Słowackiego, Leśmiana, Tuwima, Gombrowicza, Baczyńskiego, Gałczyńskiego, Przybosia, Iwaszkiewicza, Szaniawskiego, Broniewskiego, Miłosza... I gdy mam okazję czytania szlachetnie zakomponowanych zdań twórców nam współczesnych, jestem w stanie radosnej euforii i przejęcia.

Lubię szlachetną prostotę. Dobór słów idealnie adekwatny do stanu ducha autora podczas aktu tworzenia. Lubię zgodność języka z wizerunkiem twórcy. Lubię prawdę bez nadmiaru weryzmu. Wydaje mi się, że jestem wrażliwy na poetyckie i dramaturgiczne nowości. Staram się je śledzić i promować, czy w formie recytacji, czy w ramach pracy z młodzieżą utalentowaną teatralnie.

Czy, zdaniem Pana, łamanie norm językowych jest przejawem szerszego zjawiska?
Tak. Niestety tak. A już przyklaskiwanie tym tendencjom przez językoznawców, uznane autorytety, uważam za co najmniej niewłaściwe. Osłabianie szlachetnej tkanki językowej może być nieodwracalne. Niegdyś język polski był wysublimowany, skomplikowany, bogaty, złożony gramatycznie i stylistycznie. Morsztyn był w stanie przetłumaczyć Corneille'a. Słowacki napisał wielowymiarowo *Sen srebrny Salomei*, *Króla Ducha*...

A dziś...? No cóż... Do literatury, scenariuszy filmowych, a nawet dramaturgii przenika coraz częściej język ulicy...

Często podejmuje się Pan czytania poezji i robi Pan to znakomicie. Czy słowo poetyckie łatwo trafia do odbiorców?
Dziękuję. Staram się znaleźć w sobie pokłady emocji, przeżyć i intencji, które ów kontakt ułatwią. Jestem optymistą i nie zakładam, że ktoś siedzący na widowni może interpretowanych przeze mnie wierszy nie zrozumieć. Prezentując poezje, staram się je wyartykułować dopiero po co najmniej kilkudniowej analizie. Nieraz jestem zaskoczony natychmiastowymi reakcjami widowni. Słowa i sensy jako nośniki komunikacji są w recytacji oczywiście dominujące, ale nie jedyne. Staram się raczej nie epatować swoją osobą i moim indywidualnym stosunkiem do treści wierszy. Raczej je mówię niż recytuję. Próbuję burzyć nadmiar rytmu w wierszu. Szukam najwłaściwszej formy przekazu od odpowiedniego tembru głosu, natężenia dźwięku, poziomu emocji, po właściwe operowanie pauzą, optymalne kropkowanie, by w ostatecznym efekcie oddać stan poety w chwili aktu twórczego. Często wiersze staram się prozaizować, a prozę, jeśli używa poeta takiego właśnie środka wyrazu w wierszu, podnosić do rangi poezji. Trudno mi powiedzieć, czy to jest łatwe, czy trudne. Z biegiem lat nabywa się przyzwyczajeń, które pozwalają na coraz celniejsze oddziaływanie na słuchaczy. Głównym moim celem jest docieranie do słuchaczy treścią wiersza, a nie epatowanie formą, rytmem czy tempem.

Jak nie wolno używać języka? Albo: jak go należy używać?
Należy znajdować właściwe akcenty. Stawiać w odpowiednich miejscach kropki, przecinki i wprowadzać pauzy, które maksymalnie wydobędą sens wiersza, prozy czy wypowiedzi postaci scenicznej. Konstruować zdania tak, by w sposób optymalny realizować zamierzenia ideowe autora. Być mu wiernym. Budować przebieg logiczny utworu tak, by słuchacz miał maksymalny komfort odbioru.

Jak zmienia się teatr wraz ze zmianą sytuacji języka? Czy dostrzega Pan takie zmiany?
Tak. Po pierwsze, pracując nad polską dramaturgią współczesną, dostrzegam coraz mniejszy rozziew między tradycyjnym językiem teatru a językiem ulicy (np. *Być jak Kazimierz Deyna* Radosława Paczochy).

Moją wielką miłością był w młodości Samuel Beckett, o którego sztuce reżyserii napisałem nawet pracę magisterską. On pierwszy przeprowadził mnie (dramatem *Kroki*) przez meandry nowoczesnej dramaturgii, w której wszystko jest możliwe. Słowa pozbawio-

ne znaczeń, logiki, wyrwane z kontekstu, pełne niejasności i zagmatwanych, porwanych myśli. Różewicz i jego *Kartoteka rozrzucona*, będąca odpowiedzią na szaleństwo świata, na jego rozbite lustro, w którym nie sposób się już przejrzeć. Na ogół nie sięga się po taką literaturę w obawie, że widz na ten rodzaj teatru nie przyjdzie, ale próby są podejmowane.

I czy teatr reaguje na zmiany języka, czy może w nowym języku szuka pożywki dla przekazu współczesnych intencji, sprawę i tak weryfikuje widz. To on ma ostatecznie zobaczyć siebie w teatrze i dostrzec prawdę. Jeżeli tylko język będzie mógł być w tym pomocny, to trudno, niech się zmienia... Nie da się tu raczej mówić o ewolucji w górę... Cóż, siła grawitacji... Powiem krótko. Prędzej czy później i tak przychodzi głód na klasykę.

Adam Hanuszkiewicz mawiał, że teatr to słowo. Czy obecnie można użyć takiego sformułowania?

Mistrza Adama, a miałem przyjemność pracować z nim pięciokrotnie, poznałem przede wszystkim jako rzutkiego człowieka działania. Był wyczulony na słowo. Słowo grało u niego ważną rolę, ale stanowiło w jego widowiskach jedną z wielu składowych.

Tak. Teatr posługuje się różnymi środkami wyrazu, ale słowo jest i pozostanie, myślę, jeszcze długo jego główną siłą i motorem.

Dziękuję bardzo za rozmowę!

Antoni Rot – aktor teatralny, telewizyjny, filmowy i radiowy, pedagog, lektor audiobooków, recytator. W latach 1987-89 występował w Teatrze Rampa w Warszawie, w latach 1990-92 w Teatrze Nowym w Zabrzu. Od roku 1992 aktor Teatru im. A. Mickiewicza w Częstochowie. Stworzył około stu ról i epizodów teatralnych. Wziął udział w serialach „Barwy szczęścia", „Na sygnale", „Fala zbrodni", „Kryminalni", „Święta wojna", „Pierwsza miłość", „Samo życie". Zagrał w filmach fabularnych „Cisza" i „Żelazny most".

Antoni Rot, foto Piotr Dłubak

Wacław Jagielski

KILKA SŁÓW O SOBIE

Dzieciństwo i wczesne lata młodości przeżywałem na ziemi pięknego Dolnego Śląska, gdzie góry nigdy nie przestawały tworzyć swej tajemniczej, przesączonej żywicą melodii lasów, a w szczelinach skalnych mieszkały ptaki i świszczący wiatr. Te czarujące krajobrazy Ojczyzny wraz z moją rodziną opuściłem w 1979 roku. Od tego czasu żyję, pracuję, mieszkam, kocham, raduję się, smucę, spotykam przyjaciół, tworzę w Nowym Sączu. W 1984 roku miałem wernisaż pierwszej w swoim życiu wystawy, jeszcze w maturalnej klasie i tu pracowałem jako nauczyciel plastyki. Wcześniej jednak stałem się dyplomowanym konserwatorem dzieł sztuki i tym samym spełniłem jedno z największych, jak na ten czas, życiowych pragnień. Przez dwadzieścia lat prowadziłem własną Pracownię Konserwacji Zabytków. Obecnie jednak całkowicie oddałem się twórczości – malarstwu.

Ta zawodowa pasja pozwala mi ciekawiej przeżywać codzienność i bardziej kolorowo widzieć otaczający mnie świat, pełen światła i towarzyszącego mu cienia.

Najbardziej uszczęśliwia mnie jednak moja cudowna rodzina, dzięki której dobry Bóg ma ze mną zdecydowanie mniej kłopotów.

Należę do Związku Polskich Artystów Plastyków i Stowarzyszenia Pastelistów Polskich, którego jestem współzałożycielem.

Do chwili obecnej stworzyłem już kilkadziesiąt wystaw indywidualnych i brałem udział w równie wielkiej ilości zbiorowych w Polsce i za granicą. Do ważniejszych zaliczyć można:
– Ogólnopolskie Biennale Pasteli – Nowy Sącz 1998 (wyróżnienie honorowe Jury),
– Triennale Małych Form Malarskich – Toruń, Lyon – Francja,

– Targi Sztuki Współczesnej – Paryż, Ateny, Wiedeń,
– Międzynarodowe Biennale Pasteli 2002 – III nagroda oraz nagroda Marszałka Małopolskiego,
– Ogólnopolski Salon Świętokrzyski – Ostrowiec Świętokrzyski – wyróżnienie.

Wystawy środowiskowe:
– Salon Sztuki 2004 – Nagroda ZPAP „Złota rama",
– Salon Sztuki 2008 – nagroda Prezydenta Miasta,
– Salon Sztuki 2013 – nagroda Przewodniczącego Rady Miasta Nowego Sącza,
– 2016 – nagroda Dyrektora Wydziału Kultury i Sportu Urzędu Miasta Nowego Sącza,
– 2015 – wyróżnienie na 79 *Exhibition of Painting and Sculpture* w Chicago,
– Sieradzkie Triennale Martwej Natury,
– Targi Sztuki w Londynie.

Bywam uczestnikiem plenerów krajowych i międzynarodowych oraz wystaw poplenerowych. Mam tę niemałą satysfakcję, że moje obrazy można spotkać w wielu galeriach i muzeach, jak i w zbiorach prywatnych.

Inną pasją, która w pewnym sensie w jakiś sposób staje się dopełnieniem mojej artystycznej wypowiedzi twórczej, stało się pisanie. Lubię zapisywać pewne zjawiska i przeżycia słowem, które dla mnie zawsze znaczyło bardzo dużo. Wydałem dwa albumy-tomy wierszy: *Moje 40 i 4* oraz *Na styku szeptów*, a ostatnio książkę mocno ilustrowaną własnymi obrazami *Nowy Sącz – miasto, które pokochałem*.

Wacław Jagielski, ,,Pod Akropolem" – długopis, ołówek, 2010

Wacław Jagielski

WIERSZE

W kanionie Sumidero

pytań od Ciebie nie słyszę
oczy mam Twoje przed sobą
westchnienia z tęsknotą
na zmianę kołyszą łzę
gdy na rzęsach lśniła
jak brylant
jak sen
smak tych snów
wina smakiem
kolor
lecącym ptakiem
nad kanionem Sumidero

Kaskady Aqua Azul

nad Kaskadami Aqua Azul
mgła mokrą tęczę w rękach trzyma
wąż tajemniczo zwisa z liany
po piramidzie śliską piersią stąpa
boskością przodków namaszczony
łuski błyszczące w lekkie pióra zmienia
stroszy je i czuwa
dawnych duchów strzeże
stadko czapli spłoszonych
wzbija się w tęczę i do słońca leci

w świątyniach Majów
krzyki w kamieniach zaklęte
cudze serce na dłoni
kapłan bogom składa
kokosowej palmy pióropusz zielony
jak pawi ogon pyszni się i sroży
woda się mieni kryształem opalu
z indiańską melodią po kamieniach spada
imiona bogów echo nuci
Ahau Kin, Ah Lelem Caan Chac
Hunab Ku, Ah Bolon Zacab

wokoło czuję dżungli oddech
wilgocią mocno nasycony
patrząc przed siebie pragnę dostrzec
twój portret niczym niezmącony

Zachwycająca jasność

zachwycająca jasność
w długich włosach
nie śpi
snuje się
jak wiatr
jesienią na rzęsach
faluje w rytm sobie ulubiony
żeby poznać tajemnicę
oczu wpatrzonych w marzenia
jest jak nuta
w pięciolinii zastygła
i drży w samotności
piękna
jak inne ważna
dłoń prowadzi zmysłowo
rozpala
żarem czerwienieje
odchodzi
a przecież była
piękna

Dlaczego nie ma Cię tu

dlaczego nie ma Cię tu
gdzie fale biją o brzeg
rozpryskując miliony
drobnych kropel
jak łez motyla

dlaczego nie ma Cię tu
gdzie chłopiec nogą
rozbija zamarzniętą kałużę
a ja przyglądam się
powstałej nań pajęczynie
zmarszczek

dlaczego nie ma Cię tu
gdzie moje myśli
jak morskie ptactwo
latają nad taflą wody
i szukają spokoju...

Ty zaś jesteś tam
gdzie nieśmiało
deszcz puka o szyby
a urzeczona
jego delikatnością
dotykasz palcami kropel
i przenosząc je na swe usta
mówisz – kocham Cię...

...czasami i deszcz
potrafi wzbudzić zazdrość

Wspomnienie I

ćma skrzydłem
kurz z lampy omiata
resztki lata strzepuje
on lśniący
bez szelestu spada

kilka wspomnień
zachować muszę
złotego piasku
w Twoich włosach szukam

miłość w kolorze karminu
pachnie hibiskusem

Jaworzynka, 2006 r.

Zamyślenie

cudowna jesieni
z ciepłym podmuchem wiatru
w kobiecym spojrzeniu
twoje ciało w słońcu
snuje się i kusi
rozpalone myśli
lepkim słodem spłyną
po wargach milczących

w czerwieni jarzębin
rozświetlone włosy
zachwycą skrzętnie
ukrywane myśli
po błękitnym niebie
chmury je poniosą
przy mnie nie zostaną

Nowy Sącz, 2013 r.

Pragnienie

gdzie się podziałaś
kolorowa pani
czerwonych jarzębin
fioletowych wrzosów
lato uciekło pomiędzy palcami
kolczastym ścierniskiem
wczorajszych pokosów
pachnącą jaśminem
ulotnym wspomnieniem

z muzyką niosę
echem odbijany
od myśli do myśli
z pragnień ku pragnieniom
od świtu do nocy
od cienia ku cieniom

kwiatów pachnących
wiklinowe kosze
owoców jesiennych
dzisiaj Ci przynoszę
śliw
grusz
orzechów kopy
zbóż złocistych ugrem
malowane snopy

w Twe ciało wpatrzony
zmysłami splątany
gdy dotknąć chcę Ciebie
znikasz pod palcami

Sen o nieśmiertelności

Nie zapomnę
blasku Twej źrenicy
ukradkiem wrzuconego
w mglisty pejzaż moich myśli.
Kształtu zwilgotniałych warg
szepczących krótkie słowa
o miłości.
Lekkiego, wonnego ciała,
w które – wpatrzony –
– śniłem o nieśmiertelności

Może już czas?

Z myślą o bliskich za którymi tęsknię

może już czas
aby dokończyć
aby pozbierać
myśli gdzieś porozrzucane
wiatrem przeniesione
w inny świat
w inny czas
tu nie ma już nas
tu zostały tylko
wspomnienia
i echo słów naszych
zapachu łamanych bzów
dojrzałych śliwek
i resztek melancholii...

może już czas?

Może już czas
aby przywołać
by spojrzeć znowu
w oczy dawno niewidziane
czasem uśpione
tyle lat
smutny to czas
gdy nie ma w nim nas
gdy zostały tylko
wspomnienia
i echo słów naszych
zapachu łamanych bzów
dojrzałych śliwek
i resztek melancholii...

może już czas?

Niebo bez Ciebie

poukładał Bóg rzeczy
jak przystało na Boga
brylantowym szlifem
Mistrz cię ręką wskrzesza
najpiękniejszym diamentem
teraz jesteś u Boga
moim myślom dana
moim myślom droga
moim myślom droga

bo wspomnienie
bo pamięć
niczym solą dla chleba
szklanką wody w pragnieniu
gwiezdnym pyłem dla nieba
bo cóż niebo bez Ciebie?!
choć miłością utkane
bez Twych oczu
bez włosów spadających na ramię
bez uśmiechu warg miodnych
co to szeptem ruszone
garścią malin oddane
sokiem słodkim kuszone
w pocałunku zastygły

takie niebo daj wiarę
wielce smutne i szare
takie niebo bez Ciebie
człek dostaje za karę.

Andrzej Kalinin

KONCERTY DOMOWE

Bywały ongiś w całej Polsce takie właśnie imprezy. Odbywały się w znanych domach, salonach dworskich i atrakcyjnych uzdrowiskach. Czas, a także zmiany obyczajowe spowodowały, że imprezy takie poszły w zapomnienie.

Reaktywowała je obecnie pani Katarzyna Pietrzak, która w roku 2006 w Komorowie, w Willi pani Joanny Otto, zorganizowała tego typu koncert. W ten sposób tradycja koncertów domowych i uzdrowiskowych z okresu dwudziestolecia międzywojennego została odrodzona. Znów w domach prywatnych u osób znanych i cieszących się powszechnym szacunkiem organizowane są tego typu imprezy.

Nic więc dziwnego, że gdy pomyślano o Częstochowie, to z propozycją takiego właśnie koncertu zwrócono się do znanego w mieście lekarza i senatora RP II i III kadencji, dr. Mieczysława Wyględowskiego, zwłaszcza że Jego mieszkanie przy Alei Kościuszki w Częstochowie, gdzie jest wiele obrazów na ścianach i innych dzieł sztuki, w pełni się do tego nadawało.

Koncert odbył się w salonie mieszkania dr. Mieczysława Wyględowskiego, co widać na fotografii.

Koncert w częstochowskim domu prowadziła i o historii koncertów domowych opowiedziała pani profesor Maria Januszewska-Warych, pianistka i doktor sztuk muzycznych. Jest ona także wykładowcą na Uniwersytecie Wileńskim i Uniwersytecie w Rydze, jak również w Instytucie Języka rosyjskiego im. Puszkina w Moskwie. Wystąpili znani artyści, Olga Wowkotrub – fortepian i jej mąż Sergiej Wowkotrub – skrzypce, którzy pospołu wykonali kilka utworów z kanonu polskiej muzyki klasycznej. Znakomicie zresztą.

Przy okazji warto więc o tych naszych, częstochowskich artystach słów kilka powiedzieć.

Olga Wowkotrub – urodzona na Ukrainie, naukę gry na fortepianie rozpoczęła w wieku sześciu lat i w swoim rodzinnym mieście ukończyła szkołę muzyczną, a potem liceum muzyczne. Kształcenie kontynuowała w Wyższym Instytucie Sztuki w Charkowie, a w latach 1984-1990 studiowała w Akademii Muzycznej im. Piotra Czajkowskiego w Kijowie, uzyskując dyplom z wyróżnieniem. Swoje umiejętności z doktoratem kameralistyki włącznie doskonaliła w Akademii Muzycznej w Kijowie (1991-1993). I od tego też roku związana jest z Częstochową, gdzie współpracuje z Filharmonią Częstochowską. Zajmuje się też pedagogiką instrumentalną jako wykładowca w Instytucie Muzyki Wydziału Wychowania Artystycznego Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie. Występuje z recitalami kameralnymi w Polsce i za granicą.

Siergiej Wowkotrub – urodzony na Ukrainie skrzypek klasyczny, kompozytor i muzyk jazzowy. Jest absolwentem prestiżowego Konserwatorium Muzycznego im. Piotra Czajkowskiego w Kijowie w klasie skrzypiec. Mimo rozpoczętych w Kijowie studiów doktoranckich zdecydował się jednak wyjechać do Polski. Na zaproszenie ówczesnego dyrektora Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Częstochowskiej, Jerzego Koska, objął stanowisko skrzypka i dość szybko awansował na pierwszego skrzypka tejże orkiestry. Związany z Częstochową zawodowo i prywatnie, odnalazł w Polsce drugą Ojczyznę. Równolegle z karierą symfoniczną muzyk skutecznie rozwijał swoje zamiłowanie do muzyki synkopowanej. Jeszcze w konserwatorium uległ fascynacji jazzem tradycyjnym. Siergiej Wowkotrub pojawia się potem regularnie na największych festiwalach *gypsy swingu* w całej Europie. Koncertował w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech, Francji, Belgii, Austrii.

Na koncercie w salonie dr. Wyględowskiego wystąpił też Jasnogórski Kwartet Wokalny „Cantus", pięknie śpiewający stare polskie pieśni kościelne i patriotyczne.

„Cantus" powstał w maju 1992 roku z inicjatywy ówczesnego przeora klasztoru na Jasnej Górze o. Jerzego Tomzińskiego. Zespół wykonuje swoje pieśni głównie w tradycji śpiewu gregoriańskiego, ale także utwory czterogłosowe muzyki religijnej zarówno starych mistrzów, jak i współczesnych kompozytorów. Kwartet zgodnie z nazwą śpiewa głównie na Jasnej Górze, ale koncertował też w Anglii, Niemczech, w Szwecji. Dla Polskiego Radia w Warszawie i radia BBC w Londynie nagrywał też swoje śpiewanie.

Kwartet „Cantus" nie ogranicza się wyłącznie do pieśni kościelnych. Chętnie też opracowuje i śpiewa utwory ludowe i rozrywkowe. O, choćby takie jak ta ze „Śpiewnika domowego" Stanisława Moniuszki z pięknym tekstem Jana Czeczota:

Postój, piękna gołąbeczko,
Pogruchamy z sobą!
Nie mam czasu, gołąbeczku,
Gruchać dzisiaj z tobą.

A oto skład tego pięknie brzmiącego kwartetu:

– Sylwia Piłat – sopran, absolwentka Instytutu Muzyki Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie;

– Lidia Jeziorowska – alt, absolwentka Instytutu Muzyki Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie;

oraz panowie:

– Przemysław Jeziorowski – tenor, kierownik artystyczny zespołu, absolwent Akademii Muzycznej w Krakowie, Studium Chórmistrzowskiego i Studium Emisji Głosu Akademii Muzycznej w Bydgoszczy;

– Kamil Banach – baryton, absolwent Instytutu Muzyki Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie.

Trzeba tutaj też dodać, że w przerwach między występami artystycznymi głos zabierał redaktor Tadeusz Władysław Świątek, który, jak mówił, urodził się w czasie trwania powstania warszawskiego, bo 15 sierpnia 1944 roku. Zaraz po upadku powstania i pobycie w obozie przejściowym w Pruszkowie, trafiliśmy do Częstochowy – opowiadał – od opiekuńcze skrzydła jej mieszkańców, gdzie dotrwaliśmy do pierwszych dni stycznia 1945 r. I o tych związkach ludności powstańczej Warszawy z Częstochową, trochę przydługo, ale ciekawie, mówił redaktor Władysław Świątek.

Na tym świetnym domowym koncercie był i bił wykonawcom brawo.

Andrzej Kalinin

Wacław Jagielski, „Hotelowe impresje" – ołówek i akwarela, 2014

Maciej Rudlicki

SZCZĘŚCIE: MIT CZY RZECZYWISTOŚĆ?

Sam sposób postawienia pytania może budzić uzasadnione zdziwienie. Jak może nie istnieć szczęście jako słowo i pojęcie, skoro bez niego nie można w pełni opisać czyjegoś życia? Jak może ono nie istnieć, skoro wszyscy wszystkim tego życzą, bo jest to wyraz największej osobistej pomyślności? Jak może ono nie istnieć, jeśli w większości tekstów prozatorskich czy poetyckich zajmuje ono ważne informacyjnie czy emocjonalnie miejsce?

Znacznie częściej słowo występuje w wersji przymiotnikowej, ponieważ odnosząc się do konkretnych okoliczności, jest bardziej zrozumiałe i nabiera praktycznego znaczenia. W tej wersji przekonuje nas o swojej potrzebie istnienia, bo czym udatnie zastąpić „szczęśliwy traf" czy też „szczęśliwy zbieg okoliczności", gdy staramy się rzeczowo opisać przebieg jakiegoś zdarzenia?

Jest nam ono potrzebne jako słowo i pojęcie, abyśmy mogli wierzyć, że poza chłodną logiką zdarzeń, następujących po sobie faktów, istnieje to „coś", co w niewytłumaczalny dla pojmowania rzeczywistości sposób wpływa na nią, a czasem istotnie ją zmienia, czyniąc kogoś beneficjentem określonego dobra czy wręcz sukcesu.

Z tej bardzo pobieżnej i krótkiej analizy wynika, że szczęście, rozumiane w wielu wymiarach ludzkich oczekiwań, jest trwałym pojęciem opisującym nasze życie, niezależnie od głębokości filozoficznych rozważań i trudności w jego zdefiniowaniu.

Dla każdego z nas jest ważne, jaki zakres wyobrażeń rzeczowych czy emocjonalnych wiążemy z tym pojęciem, ponieważ budujemy w ten sposób własne przekonania, pozwalające dokonywać ocen jakości życia.

Wiele czyni tu literatura, z której często pozyskujemy treść nadawaną temu słowu, by opierając się na autorytecie pisarzy, precyzować swoje oceny.

Już Mikołaj Rej ostrzegał: „Kogo szczęście wyniesie, niech się upaść boi".

W rozumieniu tego słowa dominuje odniesienie indywidualne, mające często odcień samolubny czy egoistyczny. Pragnienie szczęścia bowiem jest tak oczywiste, jak chęć życia, tak więc nikt i nic nie ma prawa odebrać mi należnego szczęścia, niezależnie od okoliczności, zwłaszcza jeśli inni mogą być szczęśliwi.

W zasadzie nie przyjmujemy do wiadomości, że szczęście może mieć swój koszt, czasem wysoki, wymagający od nas pracy, determinacji i poświęcenia, które w subiektywnym pojęciu mogą skrócić czy wręcz umożliwić drogę do jego osiągnięcia. Wystarczy, że w naszych oczach ktoś jest tak wyraziście szczęśliwy, abyśmy zyskali przekonanie, że nam się

to też należy. Bo dlaczego on, a nie ja? Według Tomasza Hobbesa wszystkie istoty ludzkie są samolubne i nawzajem wrogie, stąd wywodzi wniosek, że respektowanie prawa leży w ich interesie.

Wydaje się, że zbliżonym do prawdy będzie stwierdzenie, że szczęście pragniemy przeżywać jako stan euforyczny. Zwykła, bezpieczna codzienność na ogół nie kojarzy się ze szczęściem nawet wobec czyhających okrucieństw losu, bo jej wyraz mdły i nijaki nie ma dla nas wystarczającego powabu. Szczęście musi mieć skrzydła, które niosą nas przez meandry życia, dając radość istnienia i satysfakcję, i nie jest bez znaczenia, czy inni też to dostrzegają. Rośnie wówczas nasza samoocena, bo jakże nie wierzyć życiu? Nie da się także wykluczyć, że dopiero przeglądając się w oczach obserwatorów, uzyskujemy pełnię szczęścia. Nie przyjmujemy też do wiadomości, że szczęście bez wyraźnego powodu może od nas odejść.

Przesadnym byłoby jednak stwierdzenie, że każdego dnia oczekujemy promyków szczęścia, a słowo to wibruje w naszych myślach jako jego zapowiedź. Raczej jest odwrotnie. Czując przed nim pewien respekt, obawiamy się przywoływać je do okoliczności codziennych, oczekując powagi towarzyszącej właściwemu nadejściu szczęścia.

Zazwyczaj nie zastanawiamy się, czy moja droga do szczęścia narusza drogę innego człowieka, bo przecież jestem tak samo wolny jak ty… Poczucia szczęśliwości pozbawiamy się czasem, gdy w życiu zbiorowym nie potrafimy się porozumiewać, a nasze odmienne wartości zamiast stanowić wspólną skarbnicę dorobku, są zarzewiem brutalnej walki i wzajemnym ograniczaniem wolności. Wiara w panaceum neutralności jest tylko naiwnym przekonaniem, że to, co zasłonięte – nie istnieje.

I choć, jak pisałem wcześniej, szczęście rozumiemy głównie jako stan indywidualny, to nie można powiedzieć, że nie ma ono kontekstu społecznego, a nawet ideowo-politycznego. Rodzi się bowiem pytanie, czy mogą być szczęśliwi obywatele Korei Północnej czy innych reżimów politycznych o podobnym modelu państwowości totalitarnej.

Wyobrażenia o szczęściu łączymy często z niektórymi postaciami historycznymi, będąc przekonanymi, że ich utrwalona wielkość jest wystarczającym dowodem na to, że byli szczęśliwi. Trudno orzec, czy np. królowa egipska Nefretete była szczęśliwa. Była tak piękną kobietą, że nawet jej imię oznaczało w języku egipskim „piękna". Potwierdzają to zresztą zachowane rzeźby i wizerunki. Uważa się ją za najpiękniejszą kobietę starożytności. Żona faraona Amenhotepa III, a następnie jego syna Amenhotepa IV, aktywnie wspierała męża w upowszechnianiu nowego kultu boga Atona, nosiła tytuł królowej. Czy kobieta tamtych czasów mogła osiągnąć więcej? Ale czy ta wiedza jest wystarczająca, by powiedzieć, że była szczęśliwa?

Juliusz Cezar, najwybitniejszy rzymski władca, kiedy w 61 r. p.n.e. obejmował urząd namiestnika Hiszpanii Zachodniej, płakał przed rzeźbą Aleksandra Wielkiego, bo nie potrafił powstrzymać łez zazdrości, że Aleksander w wieku około trzydziestu lat zdobył prawie wszystko, co zaplanował, a był wtedy o mniej więcej dziesięć lat od niego młodszy. Zapewne w chwili silnego wzruszenia Cezar czuł się nieszczęśliwy. Czy zasadnie?

Tak więc poczucie szczęścia jest przede wszystkim stanem ducha, indywidualną świadomością człowieka uwikłanego w splot okoliczności. Można przecież postawić pytanie, czy może być szczęśliwy grabarz, pracownik ratownictwa górniczego, pogotowia ratunkowego czy kat, bo i taki zawód w wielu miejscach na świecie występuje. Albo też można zapytać, czy artyści, pisarze, poeci to ludzie szczęśliwi. Ktoś powie, że to pytanie źle postawione i bezzasadne. Ale czy ich wrażliwość, głębokość myślenia, dostrzeganie ludzkiego cierpienia tam, gdzie inni przechodzą obojętnie, nie skazuje ich na bolesne czasem zmagania wewnętrzne, na świadomość bezradności?

Trzeba by mieć dużo interpretacyjnej odwagi by, na podstawie twórczości nazwać Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Wyspiańskiego, Norwida, ale także Herberta czy Miłosza – poetami szczęśliwymi, zwłaszcza że nie możemy ich już o to zapytać. Powoływanie się na szczególne okoliczności życia i tak nie ma sensu, bo jakieś okoliczności są zawsze. A i teraz żyjemy w czasach wojen, tragedii imigrantów, masowych mordów i bezduszności brutalnych polityków.

W izolacji bezpiecznego kokonu piękna i względnego spokoju żyją tylko kwiaty, drzewa, krzewy i uwodzicielskie krajobrazy jako odskocznia wobec brutalności życia. A i one, nie mając prawdopodobnie świadomości, trwają w oczekiwaniu na „jedynie słuszne", władcze decyzje człowieka, określające skalę i jakość ich życia.

Wydaje się zasadnym stwierdzenie, że szczęścia, niezależnie od jego zdefiniowania, nie można w pełni osiągnąć, mając świadomość cierpienia i nędzy ludzkiego życia.

Interpretacją pojęcia szczęście i jego miejsca w życiu człowieka zajmowali się już starożytni filozofowie. Wszakże ich rozważania nie mogły pominąć takich pojęć, jak radość i przyjemność. Opinii i poglądów jest wiele, ale ja chciałbym przytoczyć te pochodzące od Mistrza Eckharta, dominikanina żyjącego na przełomie XIII i XIV wieku. Był on zdania, że pełnia życia wiedzie do radości, ale brak radości prowadzi do poszukiwania rozkoszy. Wszakże przyjemność to nie radość, bo ta towarzyszy jedynie twórczej aktywności człowieka.

Grecy już w starożytności opisywali szczęście jako fakt, że ktoś posiada największą miarę dóbr dostępnych człowiekowi, a skutkiem tego jest radość.

Arystoteles twierdził, że różne sposoby życia, które ludzie uznają za dobre, mają jedną wspólną cechę – szczęście. Dlatego odpowiadał, że życie dobre dla człowieka to życie szczęśliwe. Jest on także autorem definicji szczęścia. Otóż szczęście to działanie duszy w zgodzie z doskonałą cnotą. Pozostawił po sobie także sławny epigram: „Nikt nie może być szczęśliwy, cierpiąc".

Platon natomiast uważał, że warunkiem koniecznym uczynienia życia możliwie szczęśliwym dla wszystkich jest prawo. Posłuszeństwo publicznej moralności wypływa bowiem z pragnienia ochrony szczęścia własnego. Dodawał jednak, że dobre życie nie jest powiązane z przyjemnością. Odmiennie interpretowały to teorie hedonistyczne, utrzymując, że człowiek w swoim życiu dąży tylko do przyjemności i unikania cierpienia. Jeszcze dosadniej sformułował to w XVII w. Tomasz Hobbes, będąc zdania, że stan natury nie jest bynajmniej stanem szczęśliwości: rządzą nim popędy i namiętności, szczęście zatem pojmowane jest jako przechodzenie od jednej żądzy do drugiej.

Rzymski filozof i pisarz Seneka w dziele *De vita beata* stwierdza, że im bardziej myślimy o szczęściu, tym bardziej się od niego oddalamy, jednak nie jest szczęśliwy ten, kto nie uważa się za szczęśliwego.

Św. Augustyn postrzegał szczęście jako miłość Boga, stwierdzając: „Szczęśliwy jest człowiek, który kocha Ciebie, a przyjaciela w Tobie, nieprzyjaciela zaś ze względu na Ciebie. Tylko taki człowiek bowiem niczego, co jest mu drogie, nie traci". Podobnie uważał św. Tomasz z Akwinu, wywodząc jednak stąd wniosek, że prawdziwego szczęścia na ziemi nie osiągniemy.

Książę Siddhartha, przyszły Budda, będąc synem królewskim, kiedy z zaskoczeniem odkrył dramatyzm i nędzę losów przeciętnego człowieka, dostrzegł potrzebę postawienia pytania: Czy jest możliwym być świadomym cierpienia innych i być szczęśliwym?

Baruch Spinoza był zdania, że człowiek będzie szczęśliwy, jeśli zrozumie, że istnieją granice ludzkiej mocy i wszystkiego, co musi się wydarzyć.

Interesujące różnice w pojmowaniu szczęścia przez mężczyznę i kobietę opisuje Fryderyk Nietzsche. Uważa, że większość mężczyzn nie myśli o szczęściu. Pojęcie szczęścia u mężczyzn oparte jest na ich próżności, głównej męskiej cesze. Kobieta zaś rzeczywiście szczęścia potrzebuje, choćby krótkiego i o wysokich kosztach. W dziele *Tako rzecze Zaratustra* filozof pisze: „Szczęście mężczyzny brzmi – ja chcę, szczęście kobiety – on chce!". Wydaje się, że męski punkt widzenia przesłonił filozoficzny obiektywizm.

Ważne i głębokie pytanie zadaje Immanuel Kant: „Jakżeby można uczynić człowieka szczęśliwym, nie czyniąc go moralnym i mądrym?".

Erich Fromm w dziele *Mieć czy być* stwierdza, że szczęście osiąga się w procesie nieustannej pełni życia i jest ono niezależne od realizacji celu.

Największe dzieło o szczęściu napisał polski filozof profesor Władysław Tatarkiewicz. Stawia w nim tezę, że „mówiąc o szczęściu, mamy poczucie, że to największe dobro, jakie człowiek może osiągnąć". W tym znakomitym traktacie dokonuje głębokich rozważań, jak na przestrzeni dziejów kształtowała się definicja szczęścia i jaki związek z nim mają takie pojęcia, jak moralność, przyjemność, radość, cierpienie oraz jaki związek ma ze szczęściem charakter człowieka.

Profesor Leszek Kołakowski w książce *Czy Pan Bóg jest szczęśliwy i inne pytania* wyraża swój umotywowany sceptycyzm wobec pojęcia szczęście. W świecie, w którym zło, ból, cierpienie, nędza społeczna człowieka są obecne od zawsze i żadna siła, religia czy ideologia nie są w stanie tego zmienić, rodzi się poważna wątpliwość, czy można zapomnieć o dążeniu do szczęścia. To oczywiste, że doświadczamy miłości, radości i zadowolenia, co czyni nas mocniejszymi, ale przecież nie likwiduje to cierpienia i zła. Uważa on, że w kochającej rodzinie tylko dziecko do lat pięciu może być szczęśliwe, a to dlatego, że szczęście jest wyobrażeniem, a nie doświadczeniem i takiej kondycji świat nigdy nie miał.

Oto zaledwie pewien fragment opinii i teorii na temat szczęścia, jakie wyrażali filozofowie i mędrcy w różnych epokach historycznych. Jak z tego wynika, nie istnieje jedna powszechnie znana i rozumiana definicja szczęścia czy też aprobowany jego zakres pojęciowy. Myślę, że nie stanowi to dla nas zaskoczenia i nadal będziemy życzyć szczęścia wszystkim, których darzymy szacunkiem, wyrażając tym nadzieję osiągnięcia najwyższego dobra w ich życiu.

Jego iluzoryczność czy też nieosiągalność, jak chcą niektórzy, czyni zeń rodzaj bajki, a my, wychowani przecież na bajkach, chcielibyśmy, aby choć raz i to dla nas ona się spełniła. Ta piękna bajka i być może niepłonne, związane z nią nadzieje, mogą spełnić się tylko wówczas, gdy rodzą się w naszej indywidualnej świadomości.

Chciałbym życzyć wszystkim, aby zgodnie z tym, co powiedział Seneka, uważali siebie za szczęśliwych. Moje naiwne wyobrażenie sięga tak daleko w związku z przekonaniem, że wtedy świat byłby lepszy, a nasze dialogi nacechowane życzliwym zrozumieniem. Sokrates, jeden z największych greckich filozofów, został skazany na śmierć, oskarżony o negowanie ateńskich bogów i bezzasadną ufność w rozum człowieka. „Lepiej być nieszczęśliwym Sokratesem niż szczęśliwym głupcem" – tak powiedział w XIX wieku teoretyk demoliberalizmu John Stuart Mill, co, jak sądzę, miało przynieść nieco ukojenia.

Myślę wszakże, że mądrą i zabawną puentą wieńczącą te rozważania będą słowa Bolesława Prusa: „Nie myślmy o szczęściu. Przyjdzie, zrobi niespodziankę. Nie przyjdzie, nie zrobi zawodu".

24.06.2019 r.

Roman Wyborski

ZANUSSI HAGIOZOF.
Zdań moc o Sprawie obok sprawozdań

Domniemane sprawozdanie, raczej echo jasnogórskiego *colloquium* „Zanussi – hagiograf" uzasadniałoby tytułową hagiozofię przypisywaną 80-letniemu filmowcowi, podnosząc samo *hagio,* świętość, do miana Sprawy. Przyzwyczajonym (?) do dużej litery XIX-wiecznej Sprawy jako kryptonimu ojczyzny – oby – już nie-podległej łatwiej przyjdzie tak właśnie zareagować na Hagiografa, któremu poświęcono wielowątkową sesję filmoznawczą na cześć Jubilata. Nie tylko dla porządku sprawozdawczego należałoby tu podkreślić merytoryczną wagę wydarzenia inaugurującego – eucharystii w Jego intencji oraz zamykającej sesję godzinnej Rozmowy „o świętości" z pp. Elżbietą i Krzysztofem Zanussimi. W tej fascynująco szczerej rozmowie Jubilat kontynuował, można by rzec, swój wieloletni wkład w swoistą filozofię świętości, a tej postacie filmowe zostały obrazowo wyliczone w kazaniu ks. Marka Liska, autora *Przewodnika teologicznego „po Zanussim"*, wydanego przez Uniwersytet Opolski, którego jest profesorem, a na teologii prodziekanem. Stąd inwencja *...zofii* obok *...grafii* nie tyle naśladującej parę pojęć używaną dla historii, co zgodnej z krytyką samego Zanussiego jednostronnie tradycyjnej hagiografii, do której słodko-ciasnego zakresu daleko Jego scenariuszom filmowym i życiowym, wołającym o świętość zarazem powszechną i trudną.

Czyż przeplatanie sprawozdania z „mikro" wydarzenia z wieloma wątkami i elementami „makro" życiorysu nie byłoby podobne do filmografii Mistrza, którą pisze On swoją jedną *summa theologiae,* kolejnymi tytułami sprawdzając zakres i głębię odbioru przesłania przez adresatów, od ekipy aktorskiej po widza w rodzimym, europejskim, a i światowym kinie lub za pośrednictwem innego sprywatyzowanego nośnika? Aliści rzeczonego sprawdzania nie trzeba ograniczać do dzieła; wszechobecny poliglota wszędzie i po prostu rozmawia, albo, jak kto woli, rozmawiając, jednoosobowe objazdowe ministerstwo kultury promuje to, co zarazem polskie, europejskie i katolickie w swoim pierwotnym znaczeniu powszechności. Istotę rozmownego scenariusza filmów swojego katowickiego profesora podkreślała (w tzw. laudacji) Magdalena Piekorz, od tego sezonu dyrektor artystyczna Częstochowskiego Teatru i absolwentka śląskiej szkoły reżyserów, zarazem jak najbardziej słusznie w każdym z nich domyślając się zachowania, nawet ukrycia jakiejś tajemnicy, może *tabu*. Natomiast świadectw pozafilmowej potęgi rozmowy dostarczają niezliczone wizyty pędzącego przez świat, jak sam o sobie mówi, 80-latka. O czym za chwilę.

Wspominane *colloquium* – Trzecie z Teologii Mediów – to swoiste wyjazdowe jasnogórskie posiedzenie krakowskiego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II, jego Wydziału Nauk Społecznych z Dziekanem na czele, a stamtąd specjalistów Mediów i Komunikacji Społecznej za merytoryczną przyczyną łączącego oba podmioty o. Michała Legana. W takim kontekście należałoby postrzegać religijnego Fizyka i Filozofa, który poprzez medium filmowe, najbardziej komunikatywne w drugiej połowie XX wieku, najtrafniej dowodzi zmagania człowieka (filozofia) w rzeczywistym świecie (fizyka) między Bliźnim a Bogiem (religia). Bo jednocześnie ów czas znamionowało apogeum najpierw oświeceniowej, potem liberalnej, w końcu laickiej niechęci do religii w ogóle, a zinstytucjonalizowanej, więc katolickiej, w szczególności. Zatem uparcie, tu i tam nawet skutecznie, sam

Zanussi i Jego dzieło nie daje Się zepchnąć do wyznaczonej (?) wyznaniowej (!) niszy. Tym sformułowaniem wrócilibyśmy do wstępnego zagadnienia świętości i tej powszechnej, i tej sformalizowanej, przy której sam Autor podkreśla, iż filmy o polskich świętych kręcił o fascynujących, skomplikowanych herosach długo przed ich kanonizacją. Znanemu z werbalnie celnej innowacyjności papieżowi Franciszkowi warto podpowiedzieć kategorię męczeństwa kulturowego, dzięki któremu za życia Osoba i Dzieło wybroniła w wielu miejscach i okolicznościach w znacznej mierze zasięg oraz istotę wiary i Kościoła, legitymizując tym samym przyszłą świętość kanoniczną. Dotyczy to niewielu filarów tożsamości naszych pokoleń, odpowiadając na wielekroć powtarzane przesłanie księdza prymasa Wyszyńskiego o znacznie trudniejszym życiu niż umieraniu za podstawowy cel ziemskiej (nie)doli. Przesłanie to tym prawdziwej brzmi w Laskach, zarazem miejscu podziemnej posługi zaprzysiężonego księdza kapelana AK, jak też posługi gościnności otwartej miesiącami dla młodych ofiar Jałty w urokliwym domu – i ogrodzie – pp. Zanussich. Nieraz zdarzało Się, iż trafiali tam szczerze ambitni rozmówcy czasem wielogodzinnych, nawet nocnych biesiad słownych w domach przypadkowych wychowanków obu płci tej samej cywilizacji, której służy reżyser i producent w jednej osobie. Dobrze Się stało, że Magdalena Piekorz, reżyserka nagradzanych „Pręg" przypomniała nieocenione zasługi producenckie (dla wielu polskich reżyserów z Kieślowskim na czele) długoletniego – równolatka „S" – szefa TOR-u, u zarania polskiej transformacji modelowego – wydaje Się – europejskiego współproducenta znanych dzieł filmowych od „Listy Schindlera" Spielberga po „Siódmy pokój" Meszaros. Czemu wymieniam ten ostatnim tytuł? Osobista dygresja. Pani Irena Strzałkowska, prawa ręka Dyrektora, prosi mnie w Bukareszcie o przygotowanie spotkania Marty Meszaros z Mają Morgenstern, żydowską gwiazdą Teatru Narodowego, którą do roli Edyty Stein, św. Benedykty, współpatronki Europy, Marcie zasugerował Jancso. Długa i niełatwa rozmowa okazuje Się podwójnie, nawet potrójnie owocna. Maja nie tylko idealnie (?, *de gustibus*...) zagra Edytę-Benedyktę, niechcący uwodząc kamerę Sobocińskiego (*te oczy, te oczy, nie wytrzymam, nie utrzymam*), który tak właśnie komentował zbliżenia, ale też tam odnajdzie ślad po dziadku w Auschwitz, by niedługo potem przyjąć Mela Gibsona propozycję roli Marii w słynnej „Pasji". Tak też można postrzegać miejsce Jubilata, *primus inter pares,* w światowej dżungli Kultury mimo trudnych początków, o których niech poświadczy anegdota paryska z drugiej połowy lat 70. Amerykański wykładowca modnego wówczas językoznawstwa równie modnego Paris VII dzieli Się ze mną pochwałą *świetnego nowego filmu Ważdy.* Gdy doszliśmy do sedna, wyjaśniam, że to nie Wajda nakręcił „Barwy ochronne", a Zanussi, co praktyczny bywalec kwituje wzruszeniem ramion i bąknięciem-niedowierzaniem *ten od lodówek* (?!).

Komukolwiek bliskie któreś z dzieł ekranowych Jubilata, łatwo utożsami Się z taką czy inną postacią filmową w jej dyskusyjnych wyborach, delikatnie zagranych słabościach i niedopowiedzianych tajemnicach. Od Mai Komorowskiej po Zbigniewa Zapasiewicza nad „Polaka portretem..." wielokropek właśnie towarzyszy znakowi zapytania bardziej niż tzw. wykrzyknik, który w opisywanej jasnogórskiej rozmowie dało Się usłyszeć w „Niedowiarek!", *propos*- komentarzu Małżonki do sceptycznej wypowiedzi Jubilata o „świętości" pomiędzy zawierzaniem cudom a pielgrzymowaniem. Moment ten utwierdził mnie w determinacji... zoficznej zmierzenia Się z powszechnością katolicko (to z definicji) i codziennie realizowanej (aplikowanej?) świętości. Cytowanym epitetem zwykle obdarza Się apostoła Tomasza, po prostu uczciwego sceptyka, któremu przekonanie prawdy jest do świętości koniecznie potrzebne, choćby w imię „miłości Boga, a bliźniego jak siebie samego", bodaj najtrudniejsze wyzwanie ewangeliczne, które Krzysztof Zanussi podjął,

pojął i swym pojmowaniem próbuje doń przekonać – słów takowych nie używając – rozmówców, widzów, współwykonawców kolejnego wariantu jednego i tego samego scenariusza.

PS 1. Jesiennemu numerowi „Galerii" wypada dopisać przebogatą fotograficzną wystawę – w tejże samej Sali Rycerskiej – Marcina Szpądrowskiego, m.in. z sekwencją celnych zdjęć pp. Zanussich na Jasnej Górze. Likwidowanie wystawy wypadło akurat 14. października, w półwiecze filmowego debiutu „Strukturą kryształu", o którym ośmielę Się orzec: ówcześnie należącego do kanonu formacyjnego inteligencji krajów Europy środkowowschodniej. O tym, że półwiecze Mistrza wreszcie dostrzegł i uczcił festiwal gdyński, chyba powszechnie wiadomo.

PS 2. Nawiązanie do poprzedniego eseju (z nr. 50) m.in. o Nanga Parbat. Wyratowana *in extremis* francuska partnerka ówczesnej wspinaczki Tomka Mackiewicza, Elisabeth Revlon, wydała książkę, której górskie tło okładki uwypukla wielkie litery *VIVRE* = żyć. Oprócz hołdu życiu, wolności, górom i... dla polskich himalaistów – dwóch ją ratujących i Zmarłego – autorka rozważa istotę błędu, jaki oboje popełnili przed ostatnim „atakiem" (jej – czwartym, jego – siódmym) ograniczonego człowieka przeciw potędze natury. Aż korci nizinnego czytelnika westchnąć: *istotę obłędu*...

Wacław Jagielski, „Anioł" – szkic ołówkiem do albumu-tomu wierszy Na styku szeptów, 2017

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

PODRÓŻE

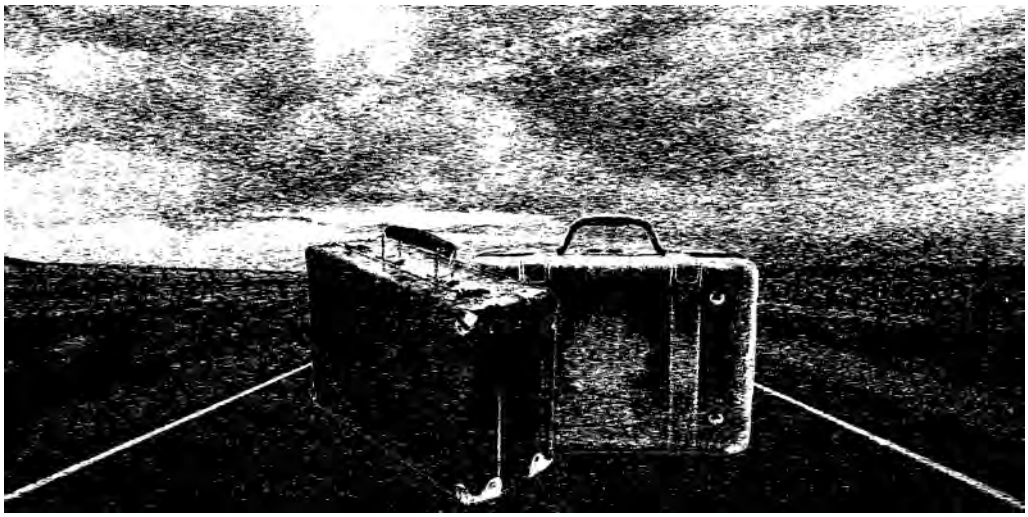

„(…) pewnego dnia ruszamy; głowy nam się palą (...)
I płyniemy przed siebie".

(Charles Baudelaire)

Motywy, które od wieków skłaniały ludzi do podróżowania, były (i są) bardzo różnorodne. Jednych kusiły fantastyczne opowieści o krainach, w których spotkać pono można było latające węże czy feniksy, budujące gniazda z cynamonu i kadzideł. Inni zobaczyć chcieli niezwykły Ogród Wierności, pełen imponujących fontann i unikalnej roślinności z całego świata, który założył Babur, władca Kabulu. Kusiły też wieści o niezwykłych bogactwach Bagdadu. Harum-ar-Raszid, syn kalifa, miał mieć w swym skarbcu tysiące naczyń z najszlachetniejszej porcelany, flakony wspaniałych pachnideł, ogromne ilości sztuk broni, par butów i aż 4 tysiące turbanów.

Wśród pierwszych podróżników byli żeglarze i kupcy, którzy z dalekich stron przywozili kosztowne tkaniny, futra, przyprawy. Opowiadali, jak smaczne były syryjskie figi, pigwy z Jerozolimy (w której lepiej było unikać łaźni, bo brudne), jak dziwne bywały potrawy, choćby pasta z owczego ogona przyrządzona na tłuszczu z wielbłądziego garbu, której smakosze (?) spróbować mogli w Mongolii.

Wojaże służyć miały nie tylko poznawaniu rzeczy nieznanych, ale i zdrowiu. Krzysztof Opaliński ubolewał, iż brat jego Łukasz nigdzie nie wyjeżdżał, przesiadywał jeno w komnacie, w księgach zatopiony. Pisał tedy w jednym z listów: „Dla Boga i styjesz WMć, i zdrowiu tym non consultes".

Nieoceniona była też radość, przyjemność obcowania z naturą, choćby w czasie żeglugi. Odczuwał takową niewątpliwie Juliusz Słowacki, wyruszywszy statkiem parowym z Neapolu do Ziemi Świętej:

„Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie
Po morzu cichym, jasnolazurowym".

Podróż lądem też miała swoje uroki, tu wspomnieć można choćby wiersz *Farys* Adama Mickiewicza:

„Już płynie w suchym morzu koń mój i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina,
Coraz chyżej, coraz chyżej,
Już po wierzchu żwir zamiata".

Bohaterem utworu jest Wacław Rzewuski (zwany Emir Tadż el faher Abd-el-Niszan), który pod wpływem Jana Potockiego, swego wuja podróżnika, a także autora *Rękopisu znalezionego w Saragossie* i *Parad*, wyprawił się na Bliski Wschód. Zafascynowany kulturą, przyjął arabskie obyczaje, odbył pielgrzymkę do Mekki. Fascynujące dzieje Emira odnajdujemy też w *Dumie o Wacławie Rzewuskim* Juliusza Słowackiego:

„Po morzach wędrował – był kiedyś Farysem,
Pod palmą poczywał, pod cichym cyprysem;
Z modlitwą Araba był w gmachach Khaaba,
Odwiedzał Proroka grobowce".

Po powrocie do kraju obyczaje arabskie zachował, sypiał z końmi pod gołym niebem. Zaginął bez wieści w czasie powstania listopadowego, być może w czasie obławy na powstańców pod Daszowem.

Wedle odmiennej wersji wypadków, jaką przedstawił Juliusz Słowacki w *Dumie...*, zmęczony Rzewuski w czasie odwrotu spod Daszowa:

„(...) zasnął głęboko – bo trud go osłabił...
Śpiącego od cara najęty chłop zabił,
I sztylet dziewicy do złotej głowicy
W pierś nurzył rękami drżącemi".

Skąd sztylet? Kim była dziewica? Aby odpowiedzieć na te pytania, warto przeczytać cały utwór.

Podróże, dalekie zwłaszcza, to też okazja do poznania odmiennych obyczajów. Benedykt Polak, franciszkanin, który wraz ze swym prowincjałem, sędziwym Włochem Carpine, wyruszył ongi w poselstwie od papieża Innocentego IV do chana Mongolii, opisał potem swoje spostrzeżenia:

„Kiedy bogaty człowiek umiera, jest palony potajemnie w otwartym polu, siedząc (...) z koszem pełnym mięsa i słojem kobylego mleka, a z nim palona jest kobyła i źrebię, koń z uzdą i siodłem, łuk z kołczanem i strzałami".

Swego rodzaju poetyckim diariuszem podróży, jakie odbywał George Byron, są *Wędrówki Childe Harolda*. Zapamiętał poeta i taki obraz:

„Była to właśnie ramazanu pora,
Co na dzień cały nakłada pokutę;
Lecz gdy przeminął długi zmierzch wieczora,
Życie zawrzało jak z więzów wyzute,
Panować jęły znów biesiady sute –".

Byron, zbuntowany przeciw światu, uwikłany w niefortunne romanse, trochę dziwak (ze szczególną troską pielęgnował swoje piękne pono dłonie), w częstym, nerwowym nieco przemieszczaniu się z miejsca na miejsce szukał ukojenia. W czasie obrony Missolungi (zaangażował się bowiem w walkę Greków przeciw Turkom) w niezdrowym, wilgotnym klimacie nabawił się złośliwej febry. Zaordynowana przez medyków kuracja pijawkami wyławianymi z sadzawki nie powiodła się, poeta zmarł. Ciało przesłano do ojczyzny w metalowym zbiorniku wypełnionym spirytusem.

Podróże, bywało, trwały długo, całymi miesiącami czasem, wymagały pokonania, nim dotarło się do celu, rozmaitych niebezpieczeństw i niewygód. Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska prowadziła życie bardzo wędrowne. W podróż zabierała nie tylko liczne wozy z bagażami, ale i oddział kilkudziesięciu rajtarów dla obrony, a jako że w drodze nękały ją rozmaite niedyspozycje, także dziewczynę do parzenia ziół.

Niektórzy wozili nawet własne łóżka, by – jak pisał Jędrzej Kitowicz – nie sypiać „w obcej pościeli, czasem nieporządnej, nie wiedzieć od kogo i z jaką przywarą zdrowia wprzód używanej".

Wyjazdy bywały też okazją do ucieczki od trosk, cierpienia, bolesnej codzienności. Herbertowski Pan Cogito modli się tymi słowy:

„Panie
dziękuję Ci że stworzyłeś świat piękny i bardzo różny –
a także za to że pozwoliłeś mi w niewyczerpanej dobroci Twojej
być w miejscach które nie były miejscami mojej codziennej udręki".

Ekscentryczny, szokujący zachowaniem i wyglądem (malował włosy na zielono, nosił bladoróżowe rękawiczki, przesadnie wielkie krawaty w purpurowej barwie) Charles Baudelaire w wierszu *Podróż* także twierdził, że droga nęci tych, którzy chcą uciec od nudy, rozczarowań, bólu, uczuciowej pustki:

„Jedni klątwę cisnąwszy swej ziemi ojczystej,
Inni, aby opłukać gniazd rodzinnych bagno".

Nadużywanie rozmaitych uciech zrujnowało zdrowie i życie poety, Baudelaire przyznawał to choćby w wierszu *Wróg:*

„Burzliwej mej młodości groźne, chmurne siły (...)
Spustoszenie dokoła takie poczyniły,
Że w sadzie mym owoców rumianych nie stało".

Podróże nie przyniosły mu ukojenia, świat rozczarował, kraje, obyczaje, rasy wprawdzie różne, ale wszędzie widział zło, przemoc, podłość, co dobitnie wyraził w wierszu *Podróż*:

„Tłum w zabawie jednako wina i krwi chciwy,
Łzy ofiar – i radosna, godna sytość kata;
Trucizną władzy zżarty despoty mózg mściwy –
I ludy wychowane w podłej czci dla bata".

Przyznał wszak (może z pewną nutką zazdrości?), że bywają tacy, którzy wyruszają w świat bez żadnego celu, dla samej przyjemności podróży w nieznane:

„(...) prawdziwi wędrowcy – ci jadą dla jazdy.
Z lekkim sercem – balony w wietrznej fali –
Lecą, gdzie pokierują przeznaczeń ich gwiazdy".

Wielu wspominało swoje podróże jako niezapomniane doświadczenie. Juliusz Słowacki doświadczył rozmaitych trudów i niebezpieczeństw, przeżył choćby gwałtowną burzę na pustyni w czasie przymusowej kwarantanny, w wierszu *List do księgarza* pisał:

„Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy, (...)
Jeszcze morskie czuję strachy,
Wycia hyjen, lwa, lamparta".

Podróżowano też dla zarobku, wystarczy przypomnieć postać Reginy Salomei Pilsztynowej, niewiasty, która przed paru wiekami zajmowała się leczeniem. W pamiętnikach, opisując różne przypadłości, które udało się jej wykurować, przyznawała: „kunszt mój doktorski i okulicki umiem doskonale" (podstawy wiedzy w tych sprawach poznała przy boku pierwszego męża Jakuba Halpira). Recepty na „różne defekta" zdarzało się jej zalecać w haremach Stambułu, na carskim dworze, w rezydencjach magnatów i w salonach Wiednia. Pacjentkami były głównie kobiety, wiadomo wszak, że kobieta kobiecie ma „większą poufałość wypowiedzieć swoje defekta białogłowskie". Pilsztynowa miała sporą intuicję, potrafiła wybrnąć z rozmaitych tarapatów (jak choćby wówczas, gdy posądzono ją o szpiegostwo), spryt do interesów. Dorabiała się łatwo, ale kompletnie nie miała szczęścia w miłości, mężczyźni, z którymi się wiązała, w krótkim czasie oskubywali ją z każdego grosza.

Podróże pono kształcą, tedy od dawna w tym celu wojaże przedsiębrano. Mikołaj Rej w *Żywocie człowieka poczciwego* zalecał: „jako młody człowiek ma się do cudzych krajów przejeździć".

Jakub Sobieski, wojewoda ruski, wysyłając synów za granicę, udzielał im szczegółowych instrukcji: „Będzie miał każdy z was księgę in folio z gołego papieru, w której sobie wszystkie drogi peregrynacyjej (...) pisać będzie od dnia wyjechania z domu aż, da Bóg, zwrócenia się". Ceniono znajomość języków obcych (ułatwiały karierę dworską czy dyplomatyczną) – tenże tedy Jakub Sobieski podkreślał: :Peregrynacji (...) fruktus ten jest primarius: uczenie się języków cudzoziemskich".

Wielu twórców, Wacław Potocki choćby, narzekało, że pożytku z takich podróży niewiele:

„Polacy do cudzych z kosztem jeżdżą krajów,
Pozbywają ojczystych cnotę obyczajów.

Bogacą Włochy, Niemcy, Francuzy włokitą,
A siebie i ubożą swą Rzeczpospolitą".

Krzysztof Opaliński w jednej z satyr kpił z panicza, który jedynie:

„(...) grać na lutni,
Śpiewać, skakać galardy, ba i po francusku
Nauczył dyszkurować; więc i ala mode
Chodzić, stroić i wszystko czynić po francusku".

Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego Adama Mickiewicza przywołują szczególny rodzaj wyprawy, jakim były krucjaty: „A kto był człowiekiem rycerskim, ten jechał wojować pogany w Azji (...) grób Zbawiciela odzyskać". Wśród owych rycerzy, którzy wyruszyli w tę niebezpieczną, pełną wyrzeczeń podróż, był tajemniczy nieco Jaksa z Miechowa. W świat ciągnęli też misjonarze, wśród nich Michał Boym, syn medyka ze Lwowa, który w dalekich Chinach oddawał się nie tylko pracom misyjnym, o czym marzył od dzieciństwa, ale poznawszy doskonale język, był jednym z pierwszych Polaków, którzy opisali tamtejsze obyczaje, florę, minerały, medycynę i farmację.

Pielgrzymowano też często do miejsc świętych. W podróż do Ziemi Świętej statkiem z Wenecji wyruszył ongi Mikołaj Krzysztof Radziwiłł Sierotka, a szczegóły wyprawy, z której obok przeżyć duchowych przywiózł też liczne zbiory archeologiczne, a nawet dwa żywe lamparty, spisał barwnie po powrocie.

Wiele lat po nim podobną drogę, której wspomnienie odnajdujemy w poemacie *Podróż z Neapolu do Ziemi Świętej*, przemierzył Juliusz Słowacki. W czasie lektury towarzyszymy poecie w przytulnym hoteliku Vittoria w Neapolu, który polecał, potem na pokładzie statku parowego, gdy rozkoszował się spokojną samotnością: „Patrzę w gwiazdy i cygaro palę". Żegluga nie wszystkim była tak miła, pomieścił tedy poeta (zodiakalna Panna, której uwagi żaden szczegół nie umknie) i taki fragment:

„Wkrótce choroba z pokładu wymiecie
Tłum pasażerów i zostawi zdrowym
Odgłos dalekiej po salonach czkawki".

Poemat nie jest jednak tylko zapisem różnych etapów wyprawy, konnej kawalkady brzegiem Lepantu, bezsennych nocy w niewygodnych kwaterach. Podróż sprzyjała też gorzkim rozmyślaniom o losach narodów, dramatach ludzi (wspominał m.in. Byrona i dzieje Missolungi), nietrwałości władzy, cywilizacji, także zadumie nad własnym życiem:

„Tak więc – to los mój na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych,
To los mój senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych".

Podobne reflaksje dotyczące przemijania, rozpadu wielkich ongi potęg (tym razem związane z burzliwymi dziejami Krymu) odnajdziemy w sonecie *Ruiny zamku w Bałakławie* Adama Mickiewicza:

„Te zamki, połamane zwaliska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymie!
Dzisiaj sterczą na górach jak czaszki olbrzymie (...)
Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drzymie".

Polacy do miejsc świętych peregrynowali bardzo często, co zauważył w swoim satyrycznym *Worku Judaszowym* Sebastian Klonowic:

„Polak z przyrodzenia
Ma ustawiczną chciwość do pielgrzymowania (...)
Zawsze mówi: wen dalej, mknie do Kompostele,
Widzieć miasta, klasztory, szpitale i cele".

Dostrzegał wszak poeta, że nie wszyscy pielgrzymi duchowym jeno przeżyciom się oddawali, niektórzy pili, „gachowali", a w rezultacie: „Kortezyją i francę do Polski zanoszą".

Swoistą, pełną mylnych niczym w labiryncie dróg podróżą, którą odbywamy wszyscy, jest życie. Niełatwo w owym labiryncie odnaleźć się człowiekowi, o czym traktuje *Emblama 24* Zbigniewa Morsztyna:

„O, jako moje nogi obłąkane
Weszły w te ścieżki świata powikłane.
Jako labirynt jego bardziej zdradny
Niż on zmyśloną nicią Ariadny
Zmierzony, że w nim błądzę".

W tej wędrówce staramy się odnaleźć tę własną drogę, szukamy swego miejsca, podobnie jak Jan Kochanowski, który we fraszce *Do gór i lasów* pisał:

„Czegom nie skosztował?
Dziś żak spokojny, jurto przypasany
Do miecza rycerz, dziś między dworzany
W pańskim pałacu, jutro zasię cichy
Ksiądz w kapitule, tylko że nie z mnichy".

Ścieżki, którymi przychodzi podążać człowiekowi, są różne, ale cel, kres dla wszystkich jednaki. Każdy krok, każda odsłona w teatrze świata przybliża do śmierci, co w swoim charakterystycznym stylu wyraził ksiądz Józef Baka:

„Czas trwoży,
Śmierć wróży.
Nie odepszesz nosem ryjąc,
Nie wymodlisz czołem bijąc".

Równie sugestywnie mówił o potędze śmierci Charles Baudelaire:

„(...) w każdym miejscu i czasie Śmierć patrzy na twoje,
Dzikie, śmieszne podrygi, cudaczna ludzkości".

Przemijanie życia, krótkotrwałość doczesnych radości nie wszystkich w jednakowym stopniu przygnębiały. Sebastian Petrycy, filozof i medyk radził, by póki możliwe wykorzystać w pełni czas, który los odmierzył:

„Zbytnie nie pytaj, co będzie potym,
Żeś dziś zdrów, zysk jest, miej dosyć o tym,
Przemierzła starość póki nie przyjdzie,
Poskoczyć rześko tobie się zejdzie".

Przemijający czas wielu innych odzierał ze złudzeń, niszczył marzenia, nadzieje. Myśli takie pojawiły się w wierszu Juliusza Słowackiego *Daję wam tę ostatnią koronę pamiątek*:

„Dawniej myślałem rzeczy uczynić szalone (...)
Lecz mi teraz wystarczy mały ziemi kątek –
Gdzie w deskowej się zawrę muszli i utonę".

Mijającego czasu oszukać się nie da, droga życia (zbyt krótka przeważnie) zawsze zaprowadzi do owego brzegu, o którym pisał Zbigniew Herbert:

„Charon
jest już zarzucił tylko sznur na gałąź
ona (ta dusza) wyjmuje obola
który niedługo kwaśniał pod językiem
siada na tyle pustej łodzi".

Doczesna wędrówka pełna trudów, cierpienia, naznaczona widmem śmierci, a przecież chciałoby się ją powtórzyć. Herbertowskiego Pana Cogito nawiedzały swoiste przeczucia eschatologiczne:

„kto wie
może uda się
przekonać aniołów
że jest niezdolny
do służby niebieskiej
i pozwolą mu wrócić
przez zarosłą ścieżkę
nad brzeg białego morza
do groty początku".

Jarosław Kapsa

HISTORIA KRÓTKA: O OWOCACH, WINACH I WÓDKACH

(dedykowane gospodarzowi Domu Poezji, który wie, że smak życia wyrazić można i słowem, i płynem)

Kultura zaczyna się tam, gdzie kończy się powinność zadbania o potrzeby podstawowe. Głodny nie stworzy sztuki kulinarnej, bezdomny nie będzie myślał o estetyce architektury. Dopiero zaspokojeni w swoich potrzebach podstawowych myślimy o przyjemnościach, korzystamy z wolności, poszukując prawdy, piękna, dobra.

Jest częścią kultury sztuka produkcji dobrych alkoholi. Mamy z tym problem, problem alkoholowy. Picie uważane jest za grzech, za niecnotę, deprawację, za stopień do piekieł, wstęp do degradacji uzależnienia. Ze wstydem przyjmujemy opinie zagraniczne: pijany jak Polak; równym wstydem okrywa nas przypomnienie, że nasz szlachecki naród przepił swoje państwo, Pierwszą Rzeczpospolitą, więcej wydając na sprowadzanie zagranicznych win, niż na produkcję broni. Ten wstyd zmazać miała aktywność państwa, które regulując, ograniczając, nakładając wysokie podatki, miało w ryzach utrzymać grzech pijaństwa. Z tej regulacji realne były wpływy z opodatkowania grzechów; stąd państwo bardziej niż na zwalczaniu koncentrowało się na ściąganiu akcyzy, przyjmując hipokryzyjnie słuszność korzystania ze zła dla rodzenia dobrych owoców pożytku publicznego. Przesąd przyzwoitości tylko dusi otwartość wezwania: pijcie więcej wódki, palcie więcej papierosów, oddawajcie się częściej hazardowi, by przez taką ofiarność fundować dzieciom 500+. Wojna jednak, także wojna z alkoholem, nawet gdy czerpiemy z niej korzyści, niszczy wolność, a tym samym uniemożliwia rozwój tak gospodarki, jak i kultury.

Straty gospodarcze widać w różnych bilansach. Polska jest jednym z największych w Europie producentów jabłek, na Wyspach Brytyjskich takich sadów się nie spotyka. Ale to w Wielkiej Brytanii spożycie cydru wynosi 19,5 litra na głowę obywatelską, w Polsce jedynie 0,5 litra. Przyjmując jako klęskę każdy rok jabłkowego urodzaju, przez zwalczanie alkoholizmu młotkiem akcyzy mordujemy w kołysce krajową produkcję jabłecznika. Nie ogranicza to picia, przerzuca jedynie naszych konsumentów na „kosmopolityczne" (produkowane masowo przez koncerny) „piwo z proszku".

Podobnie z alkoholem mocnym: monopol państwa zniszczył kulturę, zniszczył tradycje dążenia do jakości, dał w zamian tani „narkotyk dla biednych"; szukając dobrego smaku, polski konsument poszukuje napoju „wyskokowego" rodem ze Szkocji, Francji, Włoch.

Strat w kulturze wyliczyć się nie da. Kulturalny turysta za chlubę przyjmuje zwiedzanie destylarni w Szkocji i Francji, uczestniczy w degustacjach win węgierskich, francuskich, portugalskich... Czy wstydzimy się, że podobne mieliśmy tradycje, a nasze rodzime trunki wyskokowe podbijały smakiem Europę?

Kultura rodzi się z wolności. Dajmy naszym obywatelom to, z czego korzystać mógł od zawsze Austriak, Węgier, Francuz, Serb, Włoch, Słowak; prawo produkcji wina i wódek do domowego użytku oraz prawo wyszynku tej domowej produkcji w ramach agroturystyki. Tradycja odrodzi się jak zieleń po ożywczym deszczu.

Przysmak z domowej apteczki

Kultura produkcji alkoholu jest, przede wszystkim, dziedzictwem polskiej szlachty. Przyjmujemy, w ślad za pamięcią o wieku XIX, że chłopskie było piwo i wódka, szlachcic delektował się zagranicznym winem. Podział ten miał charakter materialny: biedny był skazany na podlejszy trunek, kupowany w karczmie. Tylko dwór miał wystarczające moce i możliwości, by samodzielnie, pod smak i przyjemność domowników, kupować lub produkować dobrą żywność i napoje.

> „Babki i prababki nasze, rozporządzając liczną służbą i obszernemi piwnicami, miały różne sekreta przyrządzania wybornych domowych wódek, nalewek i likierów. Owe sekreta i przepisy przechodziły w rodzinie z pokolenia na pokolenie, nieraz zazdrośnie strzeżone i przekazywane dopiero w testamencie jakiejś ukochanej wnuczce lub siostrzenicy. Wiem, na przykład, o pewnym przepisie krupniku litewskiego, który jedna tylko żyjąca osoba ma prawo znać i dopiero przed śmiercią innej osobie go powierzyć"[1] –

– pisała międzywojenna publicystka feministyczna. Tak było: domowa wódka była dziełem kobiet, do czasów wojen napoleońskich jej miejsce było w zarządzanej przez gospodynię apteczce.

Oczywistym był podział: zwykła wódka, okowita, gorzki od fuzli samogon, był trunkiem podłym, dla chłopa i żołnierza; domowe nalewki, likwory, likiery, specjały itp. – lekarstwem dla chorych, przysmakiem dla zdrowych. Może z powodów marketingowych sens ma rywalizacja polsko-rosyjska o to, kto wymyślił nazwę wódka. Gwoli ścisłości prymat w tym oddać powinniśmy Prusakom: tam w 1750 r. uruchomiono pierwszą gorzelnię przetwarzającą ziemniaki. Wcześniej wódkę „palono" ze zbóż i ze słodu piwnego; wódka z ziemniaków jako tańsza w produkcji stała się powszechnym trunkiem opilców. W oczach smakoszy nie zasługiwała nawet na miano wódki.

Destylację, przetwarzanie materii mącznej lub owocowej na alkohol, znano w Europie od czasu średniowiecza (przejmując techniki od arabskich medyków) i stosowano głównie w celach leczniczych. Lekarstwo, wbrew późniejszym przesądom, nie musiało być gorzkie i wstrętne; stąd dążenia medyków do ulepszenia smaku rozmaitych eliksirów, tworzonych w alembikach w tajemnicy przed profanami. I tak eliksiry stawały się poszukiwanymi *liqorami*; w ich ziemi ojczystej, Italii, szlachetniejsze destylaty nazywano *rosoglio* (polszczono to na rosolisy i wywodzono nazwę od słonecznej rosy). Podbój Europy nastąpił, gdy rosolisy stały się przebojem wesela króla Francji Henryka II z Katarzyną Medycejską (1533 r). Jak pisał znawca tematu:

> „(…) od tej chwili włoskie likwory stały się bardziej smakołykami, aniżeli środkami leczniczemi i rozpowszechniały się coraz bardziej po Europie już jako trunki – najpierw na stołach możnych, aż w końcu stały się napojami powszechnemi. Na początku tego stulecia zaczęto fabrykować likiery owocowe (ratafie). Amerykanie ratafie z sokiem cytrynowym, Polacy z sokiem wiśniowym, a Francuzi z sokiem brzoskwiniowym i morelowym. Francuskie ratafie rozpowszechniały się na zachodzie, Polskie na wschodzie; i te ostatnie były najbardziej pożądane i utrzymały się po dziś dzień. Coraz większe zapotrzebowanie likierów spowodowało zakładanie dystylarni i fabryk. Po całym świecie powstawały fabryki wyrabiające – każda osobno – specyalne jakieś likiery. – Francuzi, jak zawsze, najbardziej pomysłowi, pozakładali w Bordeaux fabryki tego rodzaju, produkujące dzisiaj, rzec można, wyśmienite likiery. Pod Grenoble za staraniem tamtejszych zakonników, otwarto fabrykę likierów w klasztorze de la Grande Chartreuse, gdzie też fabrykują likier znakomity tego samego nazwiska. Benedyktyni znów w Fecamp fabrykują swoją sławną »Benedyktynkę«. Gdańsk już od 100-tu lat słynie z dobroci swych likierów; Dalmacya z dobroci Maraskina (Persico), Ryga ze swego »Allasch Kummel«, Rossya z likierów gorzkich – żołądkowych, a Polska ze swojej Ratafii wiśniowej, która za granicą większe ma powodzenie niż u nas w kraju. Nie dziwmy się: naszym podniebieniom zawsze lepiej dogadzają przysmaki zagraniczne, z szumnymi napisami francuskimi, angielskimi... byle nie swojskie, byle nosiły piętno zagranicznej fabrykacyi”[2].

Europejska sława polskiej ratafii wiśniowej była pochodną dworskich eksperymentów, poszukiwań przez zaradne gospodynie najlepszych smaków, by ubogacić przechowywaną w apteczkach kolekcję. Fabryczne gorzelnictwo, które przyszło do nas z krajów pruskich, nastawione było raczej na napitki tanie i popularne. Józef Bełza, którego podręcznik doczekał się w XIX w. kilku wydań, dowodził:

> „Wódkę więc w szczególności wyrabiać mnożna z wszelkich owoców, cukier w sobie zawierających, ze zbóż, z korzeni roślinnych mączystych, jak np. ziemniaków i wielu innych; fabrycznie jednak otrzymuje się ją jedynie z takich istot, których tanio i pod dostatkiem nabywać można, jakiemi są u nas zboże i ziemniaki (s. 13-14). W niektórych jednak krajach wyrabiają wódkę z winogron, śliwek i wiśni. Jakkolwiek wódka wypalana z winogron zaleca się czystością i wybornym smakiem,

> nie może jednak wszędzie być otrzymywaną. Przeciwnie, gdzie dużo jest śliwek, np. węgierek, te korzystnie na nią przerobione być mogą. W Węgrzech taka wódka nosi nazwisko Śliwowicy. Ponieważ śliwki zawierają znaczną ilość pierwiastku cukrowego i pewien zapach szczególny, który, połączony ze smakiem jąder, wódce się udziela, dlatego też śliwowica ma pierwszeństwo przed wódkami z innych istot wyrobionemu. Do powyższego celu śliwki użyte powinny być dojrzałe, z niedojrzałych bowiem lub dobrowolnie opadłych niewielką ilość wódki otrzymać można. Nawet ususzone śliwki mogą być na wyskok wypalone; postępowanie jednak w tym razie, przy ich przerabianiu, ulega pewnym zmianom. Wiśnie także w niektórych krajach przerabiają się na wódkę, np. w Szwajcaryi, Włoszech, w którym to ostatnim kraju używają wyskoku stąd powstałego do utworzenia wódki zwanej Maraschino. Zwykły gatunek do tego celu używany jest owoc dojrzały czarny, z *prunus avium* (śliwa czereszma); można jednak i z innych wiśni ją wypalać (s. 26-27)"[3].

Jak z tego tekstu wynika, do połowy XIX w. nie były powszechne w Polsce wódki owocowe, nawet słynna śliwowica łącka ma swój karpacko-słowacki rodowód. Polska tradycja wódczana zaczynała się od sięgania po inne dary Boże: bogactwo ziół i roślin dziko rosnących. „Wódki do picia dzielą się na pojedyncze, podwójne, likwory, czyli likiery, kremy i ratafie" – dowodził Bełza (s. 140). Wódka pojedyncza powinna być przynajmniej dwa razy przepędzona w destylarni, rozcieńczona wodą do mocy 45% alkoholu, zaprawiona odpowiednio korzeniami, ziołami lub owocami. Do popularnych Bełza zaliczał: wódkę kminkową, anyżową, galganową (z korzenia galgantu, zwanego chińskim kardamonem), tatarakową, czyli kaimasową, miętową, pomarańczową, wódkę pomarańczową bez przepędzania, wódkę jałowcową, cytrynową. Wódki podwójne, tzw. dubeltowe, różniły się od pojedynczych słodkością i mocą . Prawdziwa sztuka wyrażała się w wódkach złożonych (likworach), do których Bełza zaliczał: goldwasser (wódka złota) lub rossolis, likwor krambanibuli, indyjski żołądkowy, likwor zwany *parfait d'amour*, likwor dzięglowy, gdański piersiowy, czekoladowy, kawowy, korzenny, trunek cesarza franciszka, likwor rubinowy, likwor żołądkowy wrocławski (s. 145). Goldwasser był w tym gronie mercedesem; produkowana od 1606 r. w Gdańsku wódka była ozdobą królewskich stołów. Tworzenie tego trunku zaczynało się od doboru świeżo ususzonych liści: rozmarynu, melisy cytrynowej, mięty, świeżo ususzonych listków kwiatowych róży, rumianu rzymskiego, do tego korzenia galgantu, korzenia fiołkowego, korzenia dzięglowego, drzewa sasafrasowego, goździków korzennych, cynamonu, kassyi, gałek muszkatołowych, jagód jałowcowych, nasienia anyżowego, jagód bobkowych i innych tajemnych ingrediencji:

> „Wszystko to kraje się, tłucze i nalewa 30 kwartami wyskoku 45° (…), a dodawszy potem 10 kwart wody, zostawia w spoczynku w ciepłem miejscu przez 48 godzin, i po przepędzeniu w Alembiku, odciąga się 18 kwart płynu, który osłodzić należy syropem zrobionym z 5 funtów cukru i 5 funtów wody (2 kwarty), należycie po zagotowaniu odszumowanym. Likier ten można zostawić czystym lub też go zafarbować. Czasami dodają do niego bezpotrzebnie drobno pokrajanych listków złota malarskiego" (s. 146).

Ten niezbyt prosty przepis, znany dokładnie tylko gdańskim gorzelnikom, powodował, że przez 300 lat goldwasser był wyjątkowym skarbem eksportowym. Sława gdańskiej wódki nic jednak nie ujmowała innym. Austrofil mógł sięgać po Trunek Cesarza Franciszka tworzony na bazie drzewa sasafrasowego, anyżu gwiazdkowego, nasion koprowych:

> „nalewa się 15 kwartami wódki na 45 % (...) mocnej, zostawia w spoczynku przez dni 14, i – po przepędzeniu, odbiera 10 kwart płynu, który potrzeba osłodzić syropem zrobionym z 4 funtów cukru i 2 kwart wody. Woda koszenillą czerwono zafarbowaną być powinna" (s. 147).

Po wódkach Bełza wymienia kremy:

> „Kremy należą do najwyborniejszych likierów; i tym się tylko od nich różnią, iż nie bywają zafarbowane, lecz za to są mocniejsze i słodsze. W miejsce materyałów surowych, używa się do ich zaprawiania istot aromatycznych wyciągniętych, czystych, a wyskok, z którego mają być wyrobione, nie powinien okazywać ani śladu olejku przypalonego. Do słodzenia także ich używa się najprzedniejszego białego cukru. Kremy znaczniejsze są następujące: K. Maraskino. (…) K. Pestkowy (Persïko). (…) K. Cynamonowy (…) K. Gwoździkowy. (…) K. Pomarańczowy. (…) K. Różany. (…) K. Kawowy. (…) K. Czekoladowy (…)" (s. 159).

Następnie opisane zostały ratafie:

> „Ratafie są to takie likiery, w których skład wchodzi wyskok, cukier, soki rozmaitych owoców i jaka aromatyczna istota. Liczba ich jest bardzo wielka; stąd ograniczyć się wypada tylko na przytoczeniu niektórych. Wiśniowa. (…) Pomarańczowa. (…) Dzięglowa. (…) Jałowcowa. (…) Pigwowa. (…) z trzech owoców wiśni, malin, porzeczek (…) z zielonych orzechów włoskich. (…) Anyżowa. (…) Malinowa" (s. 162-164).

Z sadu do kieliszka

Lektura tych nazw, a cóż dopiero studia nad recepturami, powodować mogą wyciek ślinki u smakoszy. To nie jest ten kartoflany samogon, rozum chłopom odbierający, to trunki godne kryształowych kieliszków. Musimy tu jednak oderwać się od wspaniałości likworów, by osadzić sztukę gorzelniczą w naszej wiejskiej przestrzeni.

Po wojnach śląskich w XVIII w. następuje tryumfalny pochód ziemniaka przez ziemie środkowej i wschodniej Europy. Warzywo łatwe w uprawie, dostosowane do istniejących warunków glebowych, a przede wszystkim sycące, staje się podstawą chłopskiego wyżywienia, zastępując na stołach rośliny strąkowe. W czasie wojen napoleońskich następuje nowy przełom: upowszechniona zostaje produkcja cukru z buraków; dzięki temu ten specyfik trafiać może nie tylko na stoły arystokratyczne. W gorzelnictwie wynalezione nowe aparaty destylacyjne umożliwiają produkcję tanich wódek z ziemniaków i melasy buraczanej. Bieda chłopska powodowała, że żywność wiejska była wegetariańską, a nawet wegańską (mięso jadano od święta, do rzadkości należało także spożywanie mleka, jaj kurzych czy sera). Monotonność kartoflanej diety mogły łagodzić dary natury: owoce; lecz świadomość ich wartości rodziła się wśród chłopów dopiero w połowie XIX w.

I znów, jak to bywa z upowszechnianiem kultur, przykład szedł z krajów o wyższej cywilizacji, trafiał do szlacheckich dworów, stawał się wzorcem dla wiejskiej zagrody. Sadownictwo rodziło się w XVII w. we Francji. Po wojnach napoleońskich upowszechniano je w Niemczech; z pewnym zdziwieniem i podziwem obserwowano osiedlających się w Polsce niemieckich kolonistów, którzy przy wybudowanych chałupach sadzili drzewa owocowe i tworzyli ogródki warzywne. Upowszechnienie w naszym Królestwie nowych odmian drzew i krzewów owocowych było wielką zasługą mazowieckiego przyrodnika ks. Jana Krzysztofa Kluka z Ciechanowca. W drugiej połowie XIX w. Towarzystwo Ogrodnicze promowało ideę zakładania „sadów dochodowych", a więc nowoczesnej produkcji owoców, w miejsce zbierania ulęgałek z grusz na miedzy czy zdziczałych śliwek w zagajnikach. Owe zmiany przeniosły się na rozkwit produkcji rodzimych win owocowych. Rozwój znów ograniczony do dworów, bo prócz braku tradycji upraw owocowych, chłopów wiązano z wódką łańcuchem propinacji (szlacheckiego lokalnego monopolu na pędzenie i sprzedaż wódki).

> „Cała zgraja pasożytów obsiadła wódkę – ten nasz trunek ludowy, napój robotnika, chłopa, ubogiego mieszczanina, i pasożyty te wołają: niech żyje wódka! Dawniej głównie obszarnik, właściciel gorzelni, pan propinacji, ciągnął z wódki zyski, dzisiaj odkupiliśmy propinację za grosz podatkowy, płacąc za nią sowicie i w miejsce „świętej karczmy" (jak ją nazwał jeden z obszarników w sejmie) mamy całą zgrajęę, która rzuciła się na wódkę i ciągnie z niej niepomierne zyski. W innych krajach lud tyle wódki nie pije. Ma on wino tanie, wcale nie opodatkowane albo bardzo mało, lub dobre piwo smacznie podawane"[4] –

– narzekał galicyjski socjalista. Dodawał z goryczą:

> „W Austrji Wyższej i Niższej, w Salzburgu, na Morawach, w Styrji, w Karyntji, w Krainie wolno chłopom dla własnego użytku wyrabiać rocznie po 56 litrów spirytusu zupełnie nieopodatkowanego. W Tyrolu, Voralbergu i Dalmacji wolno chłopom wyrabiać po 112 litrów rocznie" (s. 10).

Niewiele się zmienia w ciągu ponad 100 lat; te same zakazy domowej produkcji wprowadzone w Królestwie przez cara Mikołaja I, a w Galicji za Franciszka I, obowiązują do dziś. Domowy trunek bez problemu kupimy na Słowacji, Węgrzech, Chorwacji, nie mówiąc o Austrii czy Włoszech. A przecież trudno nie zgodzić się z innym galicyjskim publicystą, piszącym na początku XX w.:

> „(...) każdy inteligentniejszy włościanin, swój własny sad posiadający, może przy małych zachodach, tanim kosztem przysposobić sobie balon win jagodowych lub beczkę jabłecznika, wybornego, a przede wszystkiem zdrowego i taniego napoju. Dr Barth, omawiając znaczną konsumcyę win owocowych w Wirtembergu, tak o nim pisze: »Kraj ten wykazuje jasno, że koszta wzrastającej konsumcyi win owocowych ponoszą wyłącznie gorzelnie i browary. Gdyby z jednej strony rolnik zechciał się nauczyć z owoców swego sadu lub z tanich jagód leśnych wytwarzać winne napoje dla swej domowej potrzeby, a z drugiej strony inteligentny przemysł wziął

> w rękę produkcyę podobnych win i wytwarzał je na wielką skalę w dobrym gatunku po cenach tanich, to w miastach, w których klasy średnie konsumują przeważnie piwo, niższe zaś wódkę, powstałby potężny konkurent dla tych dwóch napojów w winie owocowem, którego szerokie zapotrzebowanie jak o najwłaściwszego napoju ludowego z pewnością tylko na dobro tegoż ludu wpłynąć by musiało. Produkcya owoców wzrosłaby niepomiernie wskutek nowego zapotrzebowania, a wszelkie dotąd niewyzyskane przestrzenie pokryłyby się wkrótce drzewami owocowemi lub tak mało wymagającymi pod względem gruntu krzewami jagodowymi«"[5] (s. 5).

Słowa o inteligentnym przemyśle nie przewidziały sytuacji, gdy przemysł stał się socjalistyczny. W Polsce międzywojennej, choć formalnie nie było to legalne, tolerowano produkcję win owocowych dla domowego użytku. Wolność ta powodowała przepływ tradycji i przepisów z dworów do chat wiejskich, zdrowy i smaczny jabłecznik wzbogacał ubogą w witaminę dietę uboższych. Po II wojnie światowej wprowadzono „społeczny monopol" na produkcję win owocowych, zmieniając tym sam smak jabłecznika w „womitotwórczą" ciecz „jaboli". Tradycja robienia win owocowych na szczęście się odradza, oby tylko państwo znów nie zaczęło temu przeszkadzać:

> „Wina owocowe, bez dodania miodu lub cukru, można wprawdzie wyrabiać ze wszystkich owoców i jagód, najsmaczniejsze jednak są z jabłek i gruszek. (...) Jabłecznik można wyrabiać czy to z samych jabłek, czy też z samych gruszek (gruszniak), lub wreszcie z pomieszanych jabłek z gruszkami. Im szlachetniejszy jest gatunek owocu, tem też lepszem jest wino z niego wyrobione. Najlepsze wina są z renet, które w stanie zupełnie dojrzałym odznaczają się smakiem słodko-winnym. Najodpowiedniejszymi do wyrobu win są owoce drobne, gdyż te zawierają stosunkowo najwięcej soku i dają najlepszy aromat. Ciała bowiem aromatyczne i barwnikowe znajdują się głównie w skórce owoców, a przy drobniejszych owocach jest stosunek skórki do miąższu owocowego znaczniejszy, niż w owocach większych. Kto ma rozmaite owoce do dyspozycji, powinien wyrabiać wino z każdego gatunku osobno, chociaż znowu w tych wypadkach, gdzie jedne owoce są bardzo słodkie, a inne kwaśne, lepiej jest, jeśli słodkie z kwaśnymi zmieszamy. Wina, z samych gruszek wyrabiane, są zazwyczaj mdłe, a nadto trudno się sczyszczają. Dlatego odpowiedniej przerabiać gruszki na wino, dodając do nich jabłek. (...) Wina można wyrabiać tak z owoców letnich, jak jesiennych i zimowych; najlepsze są z owoców jesiennych (…). Najlepsze wina owocowe wyrabiają we Francji, w prowincji Normandji, gdzie napój ten słynie pod nazwą: cidre de Normandie. Tam używają do najlepszych win jedynie jabłek, biorąc razem: jabłka słodkie, kwaskowate i cierpkie, w stosunku następującym: 4 części kwaskowatych jabłek, 2 części cierpkich i 2 części słodkich"[6] (s. 93).

Kraina miodem, piwem i owocem płynąca

Historia krótka jest skazana na uproszczenie. Ogniskuje się na szlacheckiej tradycji dworu jako miejsca upowszechniającego w lokalnej kulturze wzorce kultury europejskiej. Życie jest jednak zbyt różnorodne, zwłaszcza w kraju tak wielobarwnym jak Rzeczpospolita. Przyjmij-

my, że krupnik litewski, ze swoją tajemną recepturą, był dziedzictwem dworów na Żmudzi, bo ingrediencje dodawane do miodowej wódki były wytworem miejscowej przyrody. Ale już goldwasser, ten mercedes wśród rarytasów, nie powstał w wiejskim dworze, lecz w domach bogatych mieszczan Gdańska; nie wiemy, czy niemieckich, czy holenderskich, czy może żydowskich. Żydzi zwłaszcza wnieśli swój ogromny wkład w produkcję dobrych alkoholi. Pijaństwo było w religii judaistycznej potępiane, Żydzi pili mniej niż ludność katolicka, mniejszą ilość wynagradzając wyższą jakością. Ale od *bronfn* (wódki) dzień wypadało zacząć; a gdy przychodziło Purimowe Święto, piło się aż do chwili, gdy imię Hamana nie zacznie się mylić. Pito zwykle mocne, słodkie wódki; najpopularniejszym zaś wkładem w różnorodność trunków była pejsachówka, żółtawa, mocna (50-70%) wódka ze śliwek, leżakowana w dębowych beczkach nie krócej niż 2-3 lata. Tu możemy toczyć niekończący się spór, czy śliwowica jest tworem karpackich górali, czy tamtejszych Żydów... Czy śliwowica łącka jest oparta na recepturze Samuela Grosbarda, produkującego w łąckiej gorzelni owocowej śliwowicę szabasową, czy też Grosbard przejął ową recepturę od miejscowych górali (Lachów czy Łemków), kto to wie?

Polska w zamierzchłych czasach była krainą miodem płynącą. Miód sycony był podstawowym trunkiem słowiańskich wojów, jeden z książąt piastowskich wyłgał się od wyprawy krzyżowej, dowodząc Papieżowi, że w Ziemi Świętej brak jest miodu, a on do wina nie nawykły. Równie długie tradycje ma polskie piwowarstwo. Pisał o tym XI-wieczny historyk:

> „Niezawodnie, że piwo przyszło do Polski przez Niemcy i z kolei posuwało się dalej. Według opowieści najstarszego, bo z wieku XII. kronikarza polskiego Marcina Gallusa, za Piastów piwo było już w powszechnem używaniu, o czem mówi i uczony Czacki. Dytmar [Thietmar – J.K.], bezstronny historyk, współczesny Bolesławowi Chrobremu, przypisuje mu zbytnie amatorstwo piwa, a nasz Kromer Marcin doczytał się, iż Leszek II, panujący w wieku VIII, nienawidząc pijaństwa, karcił je srogo w narodzie (s. 3). W wieku XIII Lukierda albo Ludgarda, pamiętna tragiczną śmiercią żona Przemysława II, założyła dużo browarów w Kaliszu, gdzie wyrabiano piwa konkurujące skutecznie z brandenburskiemi, konsumowanemi obficie w Polsce (…). W tym czasie wzniesiono browary i w Podolińcu. W wieku XIV, XV i na początku XVI zasłynęły piwa: pułtuskie, świdnickie, halickie (ostatnie za przywilejem Władysława Jagiełły z r. 1408), lwowskie, krakowskie, częstochowskie, gdańskie, bydgoskie, a cudzoziemcy, zachęceni tym przemysłem, przybywali do Polski robić karjery. Wzrost ten piwowarstwo nasze zawdzięcza błogim czasom piastowskim, kiedy wolno było wszystkim bez wyjątku robić piwo swobodnie, bo czopowego podatku wcale wtedy nie znano, a historycy nawet nie wiedzą akuratnie, kiedy się zjawił (s. 6). Wiemy z tradycji i ze świadectw pamiętnikarzy, że po winie i miodzie, piwa konsumowano bardzo wiele. Lubiony był ten trunek namiętnie nie tylko przez lud wiejski, ale i przez szlachtę świecką i duchowną, to też piwa tak zwane »szlacheckie« i »klasztorne«, »Marzec« i inne, były wyborne i stały się podaniowemi. Każdy dworek warzył sobie w kociołku nektar z jęczmienia, a nawet i lud długo zachowywał ten zwyczaj, zanim nie nastąpiły ograniczenia, z wyjątkiem chyba Inflant polskich, kędy zdaje się, iż zakaz warzenia po wsiach nie sięgał i włościanie tradycyjnie praktykują je do dziś dnia, jak się o tem sam przekonałem na miejscu”[7] (s. 10-11).

Dodam tu o wspomnianej z dobrego piwa Częstochowie. W XVI w. pod ratuszem na rynku był taki ówczesny pub, gdzie podawano 16 gatunków piwa, w tym jedno zagraniczne: wrocławskie.

Piwo polskie nie zdobyło jednak takiej renomy na rynkach europejskich, jak wspominane mocniejsze trunki. Było napojem lokalnym. Inna rzecz z miodem, zwłaszcza że kraj nasz słusznie chlubił się wielkością i jakością słodkiego produktu. Trudno nie zgodzić się z uwagą Ciesielskiego z 1925 r.:

> „Toteż należy nam się wcześnie oglądnąć za takiem zużytkowaniem miodu, gdzieby go inna słodycz niełatwo mogła zastąpić: najkorzystniejszem zaś jest niewątpliwie zużytkowanie miodu na wyrób napoji, których zbycie jest bez porównania łatwiejsze, jak surowego produktu. Zwłaszcza dla nas jest ten sposób przerabiania miodu wskazany, bo kraj nasz ma od dawien dawna sławę obfitującego w najlepsze miody tak, że po dziś dzień jeszcze zakupują u nas stare miody do Anglji, Francji i Niemiec. Handel miodami pitnemi byłby u nas niezawodnie daleko więcej ożywiony, gdyby mu nie stała na przeszkodzie ta okoliczność, że kupcowi trudno jest zaopatrzyć się w taką ilość miodów, aby mógł przedsiębiorstwo na większą skalę rozwinąć, a to jedynie z tej przyczyny, że dziś rzadko kto miody pitne wyrabia, i to tylko w tak małej ilości, iż mało bardzo zostaje mu na odsprzedaż. Nie jesteśmy tego zdania, ażeby do rozbudzenia handlu miodem pitnym potrzeba było zakładać wielkie fabryki, miodosytnie, chociaż i te opłaciłyby się sowicie, ale sądzimy, że najłatwiej cel ten dałby się osiągnąć w ten sposób, żeby prawie każdy pszczelarz, jeśli nie wszystek, to przynajmniej część swego miodu przerabiał, czy to na miody sycone, czy też na wina owocowo-miodowe i w tej drodze przygotował sobie drogę do korzystnego zbytu tego produktu, mającego dziś mały pokup w stanie surowym”[8].

Za tym znawcą powtórzmy katalog naszych podstawowych produktów. Miody dzielono na rodzaje w zależności od proporcji patoki do wody; był więc półtorak (dwie części patoki i jedna wody), najczęściej jednak występował dwójniak (1 do 1) i trzeciak lub trójniak (1 do 2). Do tradycyjnych napitków zaliczano miody: kasztelański – 2 części patoki i 1 wody (półtorak), z dodatkiem chmielu, wanilii, liści selera, bardzo słodki, dojrzały po 10 latach; kapucyński – 1:1, z dodatkiem chmielu, imbiru; bernardyński – 1:2, z kwiatem i olejkiem róży, korzeniem fiołka, długo dojrzewający (tzw. dębniak); obozowy – klasyczny dębniak, 1:3, z cynamonem, jałowcowymi jagodami, korzeniem kozłka; kopiec – z barwicy, z cytryną, pomarańczami; kowieński – z patoki lipowej z okolic Kowna, dwójniak i trzeciak, bez dodatków; litewski – dwójniak, półtorak, trzeciak, bez chmielu, z bzem, jagodami jałowca; polski – dwójniak, trzeciak, z czarną porzeczką, korzeniem kozłka; czysty – z dodatkiem malin; korzenny – z imbirem, cynamonem, goździkami i odrobiną pieprzu.

W XIX w. wraz z rozwojem upraw owoców rozkwitła produkcja miodów owocowych. Pisał o nich Ciesielski:

> „Miody sycone są same przez się bardzo przyjemnym i zdrowym napojem, zyskują atoli niezmiernie na swych zaletach, jeżeli zaprawiamy je owocami; z jednej bowiem strony nadają owoce słodkiemu miodowi przyjemnego kwasu i czynią go przez to więcej orzeźwiającym, z drugiej podnoszą

> i uszlachetniają jego właściwy aromat. Miody sycone, owocami zaprawne, które dla krótkości zwać będziemy miodami owocowemi, wyrównują drogim, szlachetnym winom, jak malaga, madera itp. tak pod względem smaku, jako też co do korzystnego działania na organizm nasz; słusznem przeto jest, ażebyśmy się wyrobem ich gorliwiej jak dotąd zajęli. (s. 18) Jako ogólną regułę można przyjąć, że do brzeczki dwójniaka jest najlepiej dodawać jedną piątą część soku, to jest na 100 litrów dwójniaka 20 litrów soku, można atoli ilość soku przy słodkich i mało aromatycznych owocach znacznie podwyższyć, a przy owocach kwaśnych i silnie aromatycznych zmniejszyć. (…) Do wyrobu miodów owocowych nadają się wszelkie owoce, tak szlachetne, jako też i dzikie, byle tylko nie miały jakiego odrażającego smaku lub niemiłej woni. Najstosowniejszemi są winogrona, jabłka, gruszki, agrest – dalej maliny, poziomki, derenie, wisznie, berberys, wszelkie śliwki – przydatnemi są nie mniej czernice, ożyny, borówki, porzeczki czerwone, białe i czarne czereśnie, jarzębina, tarki, a nawet dzikie jabłka i gruszki" (s. 19-20).

Tak nasze stoły uszlachetniono trunkami, zwanymi od rodzaju dodanego soku owocowego: dereniak, maliniak, gruszkowiak itp. Teofil Ciesielski:

> „Tak miody sycone, jako też miody owocowe są napojami ciężkimi, słodkimi, nie nadają się przeto do zwykłego użycia, jako napoje orzeźwiające i rozweselające; temu celowi odpowiadają w zupełności wina owocowo-miodowe, które, podobnie jak wina z winogron samych przyrządzane, działają z jednej strony przez większą zawartość wody, tudzież małą ilość kwasów owocowych, z drugiej umiarkowaną ilością alkoholu (po 11 do 12%), podniecają czynność trawienia i działają rozweselająco (s. 26). Wyrób win przeciętnych jest następujący: z owoców dojrzałych, czy to z każdego gatunku osobno, czy też kilku gatunków z sobą zmięszanych, wyciska się sok sposobem wyżej już pod ustępem miody owocowe – opisanym. Wyciśnięty najpierw sok czysty zbiera się osobno, a sok popłuczynowy również osobno. Następnie daje się przeciętnie na każdą miarę np. litr czystego soku, trzy (skąpe) litry czystej wody (do picia) lub soku popłuczynowego i jeden litr patoki, to wszystko razem się wymięsza i tak przyrządzony moszcz poddaje się fermentowaniu. Sok popłuczynowy liczy się więc jako czysta woda, czyli o tyle mniej dolewa się czystej wody, ile było soku popłuczynowego. Na smak i dobroć wina wpływa nie tylko gatunek użytego owocu, ale także i gatunek miodu, tak więc przez różną kombinację soków i różnych gatunków miodu, można nieprzeliczone odmiany win wyrabiać; należy jednak ograniczyć się na kilku lepszych i dla odnośnej okolicy najodpowiedniejszych (s 28). Z miodu można także wyrabiać napój lekki, orzeźwiający, bardzo zdrowy, na wzór piwa wyrabianego ze słodu jęczmiennego. To piwo miodowe jest bardzo tanie, a gdy go kto raz skosztuje, będzie je cenił wyżej, niż różne drogie piwa sprowadzane. Wyrób zaś jest nader prosty. Przygotowuje się na ten cel brzeczkę 11 lub 12%, to jest na 88 lub 89 litrów wody czystej, daje się 12 lub 11 litrów czystej patoki (...). Po zeszumowaniu brzeczki bierze się na każde 100 litrów płynu 200 gramów szyszek chmielowych, które powinny być w najlepszym gatunku. Chmiel ten wkłada się lekko do obszernego woreczka z rzadkiego

płótna, np. muślinu, lub też wsypuje się wprost do brzeczki; następnie podkłada się znowu wolny ogień, aby chmiel z brzeczką jednostajnie się zagotował (s. 40). Piwo jałowcowe tak samo się wyrabia, dodaje się tylko po ugotowaniu brzeczki, prócz 200 gramów chmielu, na 100 litrów płynu jeszcze 100 gramów świeżych jagód jałowcowych, które razem z chmielem się gotują. Można także chmielu wcale nie dawać, a tylko same jagody jałowcowe, lecz takie piwo nie dla każdego będzie przyjemne, gdy natomiast piwo zaprawione chmielem i jałowcem jest w smaku bardzo miłe, zdrowe i ma wielkie podobieństwo do piwa grodziskiego, które w Grodzisku, w Wielkopolsce, wyrabiają" (s. 42).

Uff... Kto z nas wie jeszcze, jaki smak miało piwo grodziskie ze słodu pszenicznego podwędzonego w dymie z drzewa dębowego lub bukowego, o wysokim nasyceniu dwutlenkiem węgla? Na szczęście nasze rzemieślnicze piwowarstwo w udany sposób odtwarzać zaczęło ten napój wyrabiany według średniowiecznej receptury. I tak też może być z innymi tradycyjnymi napitkami wyskokowymi, które służyły niegdyś nie opilstwu, lecz zdrowiu i przyjemności. Wystarczy zrobić ten pierwszy najważniejszy krok: zerwać z hipokryzją zwalczania i zarabiania przez państwo na grzechach ludzi, dać każdemu prawo produkowania na własny użytek 100 litrów wina lub piwa oraz 25 litrów mocniejszych trunków, dać gospodarstwom agroturystycznym i grupom wiejskich producentów prawo lokalnego wyszynku i sprzedaży alkoholowych produktów regionalnych. Skarb Państwa nie straci, gdy na najlepsze europejskie stoły powrócą nasze ratafie, nasze wódki korzenne i ziołowe, nasze wina owocowe, nasze miody i piwa. Nie wzrośnie też społeczne niebezpieczeństwo alkoholizmu, gdy zamiast na ilość sprzedawanej wódki i piwa, postawimy na jakość produktów wyskokowych. Mamy bogactwo tradycji, mamy sady, ogrody zielarskie i pasieki, mamy tysiące smakoszy, amatorów eksperymentujących z wytwarzaniem możliwie najlepszych trunków. Oby tylko państwo nie przeszkadzało, skorzystamy na tym wszyscy.

1. Elżbieta Kiewnarska, *Nalewki i likiery*, Wyd. Bluszcz, Warszawa 1928, s. 3.
2. Konrad Niklewicz, *Domowa fabrykacja wódek, likierów, kremów, rumów i araków. Przewodnik dla wszystkich*, Warszawa 1899, s. 13-14.
3. Józef Bełza, *O wypalaniu wódki*, Warszawa 1840.
4. Herman Diamand, *Niech żyje wódka. Rzecz o podatkach, kontyngentach, bonifikacjach i innych rodzajach wyzysku ludu pracującego*, Kraków 1912.
5. Zygmunt Jałbrzykowski, *Wyrób win z jagód i owoców*, Lwów 1901.
6. Teofil Ciesielski, *Miodosytnictwo. Sztuka przerabiania miodu i owoców na napoje*, wyd. 5, Lwów 1925.
7. Aleksander Jelski, *Piwo i piwowarstwo w przeszłości naszej*, Warszawa 1883.
8. Powtarzam za prof. Marcelim Antoniewiczem.
9. Teofil Ciesielski, dz. cyt., *Uwagi ogólne*, s. 3.

Tomasz „Aztzenty” Barański

KAZIMIERZ PUŁASKI – CZĘSTOCHOWSKI BOHATER

(część II artykułu *250 LAT KONFEDERACJI BARSKIEJ*)

Kazimierz Pułaski – marszałek łomżyński – wywołał pierwsze polskie powstanie narodowe pod hasłami walki o wiarę i niepodległość, czyli Konfederację barską. Inna rzecz, że historycy wielokrotnie spierali się, czy Konfederację barską można uznać za powstanie w pełnym znaczeniu tego słowa. Kazimierz Pułaski urodził się w 1747 roku w Winiarach pod Warką. Rodzicami jego byli Józef Pułaski – starosta warecki oraz Marianna Zielińska – podczaszanka łomżyńska. Od najmłodszych lat Kazimierz przygotowywał się do czekających go w życiu zadań. Już jako chłopiec był paziem na dworze królewicza Karola, syna Augusta III. Tam też przeżył oblężenie przez wojska rosyjskie stolicy Księstwa Kurlandzkiego – Mitawy. Wziął także udział w elekcji króla Stanisława Augusta Poniatowskiego (1764). Po zawiązaniu się konfederacji w Barze 29 lutego 1768 roku brał w niej aktywny udział. Po nieudanej próbie wzniecenia wojny na Podolu, gromadził środki wojenne i żywność dla wojska konfederackiego na Wołoszczyźnie.

W drugiej połowie 1770 roku rozpoczął działalność w Częstochowie, zajmując twierdzę jasnogórską, gdy wojsko rozłożyło się pod murami twierdzy, a oficer zapukał do bramy, pytając, czy ojcowie pozwoliliby żołnierzom Najświętszej Marii Panny wejść do kościoła na nabożeństwo. Przybyłemu dokładnie 9 września 1770 roku wojsku konfederackiemu, na czele którego stał Kazimierz Pułaski, dopiero nazajutrz i podstępem udało się opanować klasztor. Po krótkiej walce żołnierze marszałka łomżyńskiego obsadzili wały i bramę. Na początku swej bytności na Jasnej Górze Pułaski zażądał od przeora oddania kluczy do twierdzy. Przeor płakał i nie chciał mu ich dać, ale nie miał innego wyjścia. Pułaski oświadczył, że zajął twierdzę z polecenia Generalności – najwyższej władzy konfederackiej – i że będzie jej bro-

nić przed atakami wojsk rosyjskiego generała Drewicza. W taki sposób doszło do zajęcia twierdzy na okres 21 miesięcy.

Jak wyglądała forteca z chwilą jej zajęcia? Była to całkiem zgrabna, znakomicie wyposażona „placówka". Mnóstwo dział stało na bastionach (prawdopodobnie ok. 40, w tym niektóre odlane z brązu). Załoga w liczbie około 200 ludzi, z sześcioma oficerami, musiała od razu przysięgać na wierność konfederacji, a następnie została wcielona do wojska konfederackiego. Oddział, który zajął Częstochowę, składał się głównie z kawalerii liczącej około tysiąca osób. Mało było piechoty (400 osób), w dodatku słabo wyćwiczonej i dowodzonej przez ludzi, nieposiadających do tego predyspozycji. Kawaleria była niejednolicie umundurowana i posiadała różnorodną broń. Składali się na nią dragoni, Bośniacy i husarze.

Pułaski umacnia twierdzę i przygotowuje ją do obrony. Niewysoki, prędki w mowie i chodzeniu – pojawiał się w każdym miejscu, badał stan obwarowań, kontrolował ruch zmierzający do klasztoru. Na koniec polecił, by jego żołnierze sprowadzili większe ilości paszy dla koni wojskowych. Aby przygotować warownię do obrony, zlecił francuskiemu inżynierowi Dumouriezowi prace nad jej fortyfikacją. Z początkiem listopada 1770 roku Drewicz próbował podstępnie opanować twierdzę. Zdrajcy, otrzymawszy pieniądze od niego, posłali mu projekt jej zdobycia. Jak dokonała się ta zdrada? Zdrajcy wzięli od Drewicza po kilkaset złotych, było ich czterech albo sześciu. Polecili Drewiczowi, aby podzielił swe wojska na dwie części – większą i mniejszą. Mniejsza miała Pułaskiego wielkim hałasem wywabić z Jasnej Góry, druga nacierać w miejscu, gdzie sprawują komendę spiskowi oficerowie. Plan ten nie został zrealizowany, ponieważ jeden z uczestników spisku ujawnił go Pułaskiemu, podając nazwiska zdrajców. Rada wojenna skazała ich na karę śmierci.

Tymczasem nastaje mroźny i śnieżny listopad. Drewicz, nie wiedząc nic o wykryciu spisku, 4 listopada zbliżył się do Częstochowy. Pułaski postanawia teraz wykorzystać plan wysłany z twierdzy przez zdrajców do Drewicza, który będzie myślał, że w Częstochowie działa jego dywersja od wewnątrz. Drewicz podchodzi więc śmielej, nie wiedząc o tym, że jego plany zostały odkryte. Dopiero gdy był już blisko, armaty wystrzeliły w masy kozackie. Przygotowany na atak Drewicza Pułaski zmusił go do ucieczki. Bitwa, jak podaje relacja, trwała 6 godzin. Dane o poległych sołdatach są przesadzone – wymienia się od 100 do 1000 ludzi. Bez strat dla konfederatów, chociaż inne źródła mówią o stracie nawet 82 obrońców. Wzięto też do niewoli jeńców rosyjskich i zdobyto 8 armat. Drewicz uciekł z Częstochowy do Krakowa – skąd ponownie wyruszył do Częstochowy, idąc od strony Koziegłów.

Dnia 31 grudnia 1770 roku o godzinie 9 rano pokazał się Drewicz na wzgórzach otaczających klasztor od strony Kłobucka. Konnica konfederacka zaatakowała Rosjan, których były 4 tysiące. Dnia 1 stycznia 1771 roku o godzinie 7 rano Drewicz ponownie ruszył do ataku. Obrona Jasnej Góry z roku 1771 nie jest tak sławna jak ta z roku 1655; nie postawiono Pułaskiemu pomnika na bastionie jak Kordeckiemu (chociaż Pułaski stał się „prawdziwym", a nie wymyślonym Kmicicem i to on, a nie przeor, dowodził obroną). Notabene przeora trzymał Pułaski w zamknięciu razem z paulinami! Prawdopodobnie obrona roku 1771 była bardziej efektowna i dramatyczna niż ta z 1655 roku. Obie też miały miejsce w zimowej scenerii w okresie świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

Szwedzki generał Miller w dzień po Bożym Narodzeniu przerwał oblężenie. Drewicz w Sylwestra je zaczął. W toku walk konfederaci ponieśli tylko niewielkie straty. Drewicz następował z całą siłą. Załoga lała wodę na wały, która zamarzając, tworzyła śliską, lodowatą powłokę. Pułaski ponownie wyprowadził konnicę z twierdzy na spotkanie z Drewiczem. Na czele wojska dotarł do wsi Kamień. Tutaj wywiązała się utarczka z Rosjanami. Tym razem obmyślił Pułaski chytry podstęp – cofając się pod kościół św. Jakuba, gdzie czekała jego

piechota i wycelowane armaty. Gdy Rosjanie zostali podprowadzeni na odległość strzału – jego konnica rozstąpiła się na dwie strony, armaty zaczęły walić ogniem wprost na nieprzyjaciela, piechota zaś gęsto strzelała z karabinów.

Pomimo szczęśliwie zakończonego przez konfederatów starcia, Rosjanie zdołali jednak opanować Starą Częstochowę, zabudowania koło kościoła św. Barbary oraz cmentarz św. Rocha. Bojąc się, aby nieprzyjaciel nie zajął Częstochówki leżącej niedaleko warowni, Pułaski nakazał, aby konfederaci podpalili drewniane domy w osadzie przyklasztornej, gdyż te mogłyby osłonić nieprzyjacielską pozycję. W wyniku tych posunięć konfederatów Drewicz rozkazał zbombardować twierdzę spod kościoła św. Barbary. Jednak to i następne bombardowanie nie przyniosły żadnych strat klasztorowi.

Prawdziwa kanonada zaczęła się dopiero 2 stycznia i trwała z małą przerwą do wieczora. W następnym dniu do fortecy przybył posłaniec od Drewicza z żądaniem poddania twierdzy. Pułaski odpowiedział odmownie. Nawiązała się też korespondencja między Drewiczem a Pułaskim. Drewicz tak pisał do Pułaskiego: jeżeli się dobrowolnie podda, obiecywał mu generalstwo w wojsku rosyjskim i pierwsze u imperatorowej względy, jeżeli zaś szturmem dostanie się w ręce rosyjskie, ma się spodziewać najokropniejszej surowości, jako wiarołomca, niedotrzymujący słowa na piśmie, danego pod Barem… W końcu Pułaski obwieszcza, że: „Jeżeli raz jeszcze bądź z takim, bądź z innem jakimkolwiek pisaniem do niego przyśle, ten kto je przyniesie, natychmiast zostanie na bramie powieszony". Reagując na to Drewicz: „odpowiedzią rozgniewany, bombardowaniem do fortecy kazał przypuszczać ataki, lecz ani kule burzące, ani bomby palące pod ten czas rzucone, najmniejszej w ludziach nie czyniły szkody" – jak informuje relacja z epoki – upatrując tu interwencji Sił Wyższych. Straty Rosjan były duże. Po spokojnej nocy i części dnia kolejne bombardowanie spowodowane zostało przez przyłapanie szpiega – kobiety nasłanej przez Drewicza. Pułaski kazał zorganizować sąd, który wydał na nią karę śmierci – wobec tego, że powiedziało się, że następnego wysłannika się powiesi… – za dwa dni ją powieszono. I następne ataki nie wprowadziły większych zniszczeń w obwarowaniach klasztornych i w ogóle.

Tymczasem ostre mrozy dały się dotkliwie odczuć żołnierzom konfederackim. W samej twierdzy brak było opału i ciepłej odzieży. Dni 8 i 9 stycznia minęły na koncentracji sił wroga. Atak wojsk rosyjskich nastąpił z 9 na 10 stycznia z trzech stron: na dwa bastiony im. Potockich i Szaniawskich oraz na bramę klasztorną. I ten także nie przyniósł Rosjanom spodziewanych rezultatów. Obrona Polaków przypominała trochę obronę średniowiecznych zamków, ale była skuteczna. Rosjanie zostali odparci i utracili znaczną ilość żołnierzy w rannych i zabitych. Jeszcze raz wieczorem nieprzyjaciel próbował bombardowania twierdzy i to z trzech stron, ale do bezpośredniego ataku jednak nie doszło, ponieważ Drewicz musiał w nocy z 11 na 12 stycznia 1771 roku wysłać znaczny oddział żołnierzy na pomoc pułkownikowi Oebschewitzowi, sprawującemu władzę w Krakowie.

Zaczęli Rosjanie przygotowywać się do odwrotu. Dnia 14 stycznia przystąpili do likwidowania obozu. Z rana 15 stycznia ustępujący spod Częstochowy Drewicz znalazł się w Krakowie. Zostało mu zbyt mało wojska do generalnego szturmu. Dokonana w taki sposób przez Pułaskiego obrona Częstochowy spotkała się z uznaniem Generalności i stała się prawdziwym „skarbem" propagandowym konfederatów. Od końca stycznia do połowy lutego 1771 roku w Częstochowie znajdowała się znaczna ilość oddziałów konfederackich, co zabezpieczało ją od ataków wojsk rosyjskich. Sam Kazimierz Pułaski nie ograniczał zresztą swojej działalności tylko do obrony Jasnej Góry, ale też wyprawiał się w głąb kraju, udzielając pomocy walczącym oddziałom konfederackim. Marszałek łomżyński wysyłał też całe oddziały, które zdobywały pokarm oraz proch i żywność.

W kwietniu 1771 roku udał się Pułaski do Krakowa, gdzie podczas narady Generalności zaplanowano też zajęcie Krakowa, lecz plan ten się nie powiódł. Umocniono tylko m.in. Tyniec i Lanckoronę. 18 maja 1771 r. zwyciężył Rosjan pod Majdanem. Ruszył też pod Zamość, pragnąc go bezskutecznie odbić. W rezultacie powrócił znów do Częstochowy. W końcu pod twierdzę znów przybyli Rosjanie pod wodzą Drewicza i Dueringa oraz posłuszni Branickiemu ułanie. 20 czerwca 1771 doszło do rozmów między Pułaskim a Ksawerym Branickim (łowczym wielkim koronnym, który zhańbił się zdradą). Próby namówienia Pułaskiego do kapitulacji spełzły na niczym.

W dniu 15 lipca 1771 roku Generalność nominowała K. Pułaskiego na stanowisko komendanta fortecy jasnogórskiej. Doszło też do klęski oddziałów Pułaskiego pod Radomiem, gdzie ranny w rękę uniknął śmierci. Po powrocie do Częstochowy dowiedział się o porwaniu króla. Generalność nalegała na niego, aby wyparł się (rzekomego) udziału w tym napadzie i potępił jego sprawców, co też uczynił. Niemniej jednak, Pułaski nie myślał już o kontynuowaniu obrony. Rychły upadek konfederacji był już przeczuwalny. Widząc nieuchronny koniec rebelii – Kazimierz Pułaski oddał dowództwo fortecy Filipowi Radzymińskiemu, a sam potajemnie w towarzystwie wiernych sobie ludzi 31 maja 1772 roku opuścił twierdzę, by już nigdy do niej nie powrócić. Częstochowa broniła się jeszcze do 18 sierpnia 1772 roku.

Działalność Kazimierza Pułaskiego w Częstochowie trwała od 10 września 1770 do 31 maja 1772 roku. Klęska, która nastąpiła, miała wiele przyczyn (choćby prozaiczny brak współdziałania różnych sił). Bez wątpienia obrona jasnogórskiego *fortalicium* należy do najświetniejszych wydarzeń w życiu tego dzielnego wodza, a także w całej historii Polski. Patriotyzm, brawura, odwaga, ofiarność, poświęcenie, a do tego umiejętności taktyczne i organizatorskie – stawiają tę postać w gronie tych najwspanialszych.

Na podstawie:
Andrzej Wasiak, *Działalność Kazimierza Pułaskiego w Częstochowie*, XII Wydawnictwo Towarzystwa Przyjaciół Częstochowy, Częstochowa 1993.
Janusz Roszko, *Ostatni rycerz Europy*, Wydawnictwo „Śląsk", Katowice 1983.

SUBIEKTYWNA KRONIKA WYPADKÓW KULTURALNYCH

WSPOMINAMY

4 lipca, nieco ponad rok od śmierci Władysława Edwarda Piekarskiego, poety, prozaika, animatora kultury i publicysty, zmarłego 1 lipca 2018 roku, członkowie Towarzystwa Galeria Literacka oraz wszyscy, którzy chcieli uczcić pamięć Zmarłego, spotkali się w ogrodzie Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej. Spotkanie zainicjował prezes Towarzystwa Bogdan Knop. Na spotkaniu obecni byli liczni goście, znajomi W.E. Piekarskiego, w tym dyrektor Muzeum Częstochowskiego Tadeusz Piersiak. Wypowiedzi dotyczyły wspomnień, nierzadko anegdotycznych, z których wyłaniała się sylwetka twórczego i serdecznego człowieka o dość skomplikowanej osobowości. Ponieważ jednak miał on wielkie poczucie humoru, wspomnienia nie były szczególnie smutne. Wymienione zostały zasługi zmarłego Pisarza dla częstochowskiego życia literackiego, omówiona działalność edytorska i publicystyczna. Warto zaznaczyć, iż niepotrzebne było specjalne przygotowanie czy też poszukiwanie w dokumentach, bo wielu z nas ma je po prostu w pamięci. Część spotkania została poświęcona czytaniu wierszy W.E. Piekarskiego. Sylwetce zmarłego literata została poświęcona część „Galerii" 47 (lipiec-wrzesień 2018).

Barbara Strzelbicka

OLSZTYN JURAJSKI. BALONOWA JURA

W dniach 18-21 lipca 2019 r. w Janowie i w Olsztynie odbyły się Międzynarodowe Zawody o Puchar Polski w Lotach na Ogrzane Powietrze. W zawodach uczestniczyło około dwudziestu załóg balonowych. Najwięcej widzów zgromadziło piątkowe późne popołudnie. Na zamkowych olsztyńskich błoniach, przy zabytkowym Spichlerzu, rozsiadły się olbrzymie, kolorowe balony i choć tylko nieliczne poszybowały wówczas w górę, to i tak dostarczyły niezapomnianych wrażeń. Barwne, ciekawe widowisko oglądali mieszkańcy Olsztyna, jak również goście spoza gminy. Zarówno dorośli, jak i przybyłe z nimi dzieci, fotografowali i filmowali interesujące wydarzenie. Mimo że w tym roku pogoda lotom nie sprzyjała, to i tak udało się wytypować trzy zwycięskie ekipy balonowe. Pierwsze miejsce – podobnie jak w roku ubiegłym – zajął Tomasz Filus z załogą. Następne miejsca zajęli: Mateusz Rękas z załogą i Vytas Kerdokas ze swoją załogą. Dyrektorem zawodów był Ihor

Lobashov, a organizatorami Aeroklub Śląski, Gmina Janów i Gmina Olsztyn.

Równocześnie z lotami balonowymi w Olsztynie odbywał się już po raz czwarty Jurajski Festiwal Sztuki i Wina, w którym brało udział ponad sześćdziesięciu wystawców. Festiwal rozpoczęła kolorowa parada, która spod ruin zamku wyruszyła na olsztyński rynek. Tam nastąpiło otwarcie festiwalu, którego prowadzenie powierzono Bartłomiejowi Osumkowi. Klucze do bram Olsztyna z rąk wójta odebrał Bachus wraz z Bachantkami. Degustacje i sprzedaż win, dobra muzyka, występy różnych zespołów, pokazy sztuki kulinarnej oraz animacje dla dzieci sprawiły, że w sobotę i w niedzielę olsztyński rynek witał tłumy gości. Organizatorami tego wydarzenia byli: Gmina Olsztyn i Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie. W niedzielny wieczór gospodarze, Małgorzata Majer i Tomasz Kucharski, dokonali symbolicznego zamknięcia festiwalu i zaprosili na rok następny.

W dniach 25 i 26 lipca w jurajskim Olsztynie kręcono sceny do dwóch odcinków filmu „Barwy szczęścia", które zostaną wyemitowane w telewizji w styczniu przyszłego roku. Do filmowej scenerii posłużyły Góra Biakło, Grota Towarna, wzgórza zamkowe i olsztyński rynek.

Anna Jędryka

FEERIA BARW

Wystawa artystki plastyka Marii Teresy Stąpel „Intelektualnie – *collage*" miała miejsce w miesiącach letnich w kawiarni „Dwa koty" przy Alei NMP 43. Prace to intrygująco zestawione różne rodzaje kolorowego, ciętego i tłuczonego szkła (krótsze, dłuższe – oby sobie nie pokaleczyć palców… ani duszy), a także tkanin, niektóre okraszone są napisami. Trudno tu mówić o obrazach, a raczej o tablicach. Czasem jest to deszcz szklanych „brylantów" – to mniejsze odłamki, innym razem jakieś tyczki zdecydowanie czerwone (może kawałki serca?). Szkło przezroczyste, szkło matowe. Nasycone błękity jakby czymś zgaszone albo niepokojące niczym płomienie, a nawet same iskry. Wydobywające się z wnętrza błyski tworzą perspektywę, dającą wrażenie głębi (chociaż w przypadku kompozycji z samego szkła o klasycznej perspektywie mowy być nie może). Odczucie fragmentaryzmu, czasami nawet nieco brutalne, raniące poczucie ładu, biologiczne wręcz, a nawet ocierające się o kicz i jakby nieporadne… Są to tajemnicze struktury – ale dające efekt, wzmacniany przez ostre krawędzie. Mimo pozornej banalności – wszystkie prace zdają się być dokładnie przemyślane i obrazujące trud, w jakim były zbierane i gromadzone. Warto spróbować tak *ad hoc* złapać w ręce tyle różnych kawałków i kształtów. Niektóre z nich mają naprawdę egzotyczne, rzadko w rzeczywistości spotykane proweniencje. Czasem ten swoisty obraz utworzony jest z jednego gatunku i koloru, czasem to kompozycja wielu kolorów, form i nieregularnych kształtów.

Te obrazy/tablice są na pewno ilustracją do zamieszczonych cytatów takich autorów jak m.in. Daniel Defoe, Lucy Maud Montgomery, John Eugen Smith, a także Jan Kochanowski. Jeden z nich brzmi: „Miłość może wszystko, rzeczy zupełnie niemożliwe nie wydają się jej zbyt trudne" autorstwa św. Teresy od Dzieciątka Jezus, inny zaś to wypowiedź Irvinga Stone'a: „Sztuka jest dla tych, którzy bez niej byliby nieszczęśliwi". Emocjonalność tych wytworów jest chyba najważniejszą i pożądaną ich cechą. Tematyka oraz ogólne wrażenie polega na oryginalności i „niespodziewalności" tego przejawu sztuki, która może być (jeszcze) niezrozumiała (mam wrażenie, że także dla samej autorki). Wrażenie może też robić duża ilość wykonanych „dziełek" – widać poprzez to konsekwencję, zdecydowanie, a nawet upór autorki, która porusza się w niezbadanym terenie. Trudno też odnieść się do nich w szerszym kontekście, gdyż wykonanie dzieła sztuki, w którym najważniejszy jest napis, bywa bardzo trudne. Jak spowodować, żeby linijka – choćby najwspanialszego tekstu (na obrazie) nie była nudna? Wreszcie jak z samego napisu zrobić coś atrakcyjnego? Przyznam, że samo podjęcie takiego wyzwania jest ryzykowne, a Autorce w dużej mierze to się udaje. Ale jeszcze o szkle – jest to feeria barw – oliwkowe odcienie, odcienie kobaltowe tudzież wyblakłe żółcie i przyznam szczerze, że jest to przykład sztuki… męskiej, konkretnej, jednoznacznej, a co za tym idzie – twardej jak tłuczone szkło właśnie. Niekiedy odłamki te przyjmują formę anioła, innym razem są to postrzępione tkaniny – oczywiście nie są to ordynarne krempliny, tylko połyskujące srebrem strzępy, układające się w przemyślany wzór. Ta wystawa to coś rzadkiego i należało ją zobaczyć.

Tomasz „Aztzenty" Barański

KSIĄŻKA OSOBISTA

Tuż po wakacjach, bo już 4 września b.r., do rąk czytelników trafiła książka Arkadiusza Frani *Osobowości i osobliwości. Z życia literackiego współczesnej Częstochowy*, której premiera odbyła się w reprezentacyjnej sali ratuszowej Muzeum Częstochowskiego podczas Wieczoru z Galerią. Bohater spotkania (rocznik 1973) to poeta, prozaik i krytyk literacki, autor sześciu tomów poetyckich, dwóch książek prozatorskich i pięciu (łącznie z promowaną) krytycznoliterackich, z których większość dotyczy życia literackiego Częstochowy, opisywanego także w licznych artykułach. Książka została wydana nakładem Towarzystwa Galeria Literacka, autorką posłowia jest Ewelina Dziewońska-Chudy, prowadząca badania życia literackiego naszego miasta.

Arkadiusz Frania udzielił wyczerpujących odpowiedzi na pytania zadane przez prowadzącą spotkanie Barbarę Strzelbicką. Pierwsze z nich dotyczyło zaangażowania, wręcz pasji, z jaką książka została napisana, wynikającego zarówno z cech osobowości i charakteru jej autora, jak również z faktu, iż pozostaje on ciągle – od czasu swojego poetyckiego debiutu – uczestnikiem życia literackiego miasta, z którym pozostaje w związkach formalnych i emocjonalnych. Wymowny jest pod tym względem ostatni fragment wstępnego rozdziału książki:

„O tych osobach i zjawiskach opowiada niniejsza książka. Zapisałem czy raczej wpisałem w nią siebie, swoje historie i histerie, odczucia i pewności, wreszcie kompleksy, bez których trudno mi sobie wyobrazić jakąkolwiek twórczość. Człowiek syty i szczęśliwy nie ma motywacji, dopiero dotknięty niepokojem oraz pełen słabości (dar Boży) idzie przed siebie, idzie w siebie, idzie po siebie" (s.4.).

Osobisty rys książki jest zatem bardzo wyraźny. Można w niej wyodrębnić, co za-

uważa E. Dziewońska-Chudy, dwa główne wątki: poetycki i polonistyczny, które najdoskonalej łączy działalność Częstochowskiego Oddziału Towarzystwa im. Adama Mickiewicza. Jego członkom, a w szczególności Elżbiecie Cichli-Czarniawskiej, Barbarze i Edmundowi Łągiewkom, a także pośrednio Józefowi Mikołajtisowi, Arkadiusz Frania poświęcił wiele uwagi. Bardzo nam miło, że Barbara Łągiewka była gościem wieczoru.

Książka zawiera wiele dowodów na istnienie w Częstochowie środowiska literackiego, o czym jej autor jest głęboko przekonany i nie podziela stanowiska tych, którzy temu przeczą. Liczne uwagi, wskazówki o charakterze przyczynkarskim, zachęty do podjęcia pogłębionej analizy wskazanych zjawisk, świadczą o wielkim potencjale publikacji. Ten swoisty dialog z czytelnikami jest ogromnie inspirujący, zachęca do wspomnień, do poszukiwań materiałów oraz podkreśla wagę stosunkowo niedawnych, ale już przeszłych wydarzeń.

Autor zdradził też tajemnice swojego warsztatu pisarskiego, opowiadając o rytmie dnia, o domowym archiwum oraz o pracy w Dziale Zbiorów Regionalnych Biblioteki Publicznej. Opowieści świadczyły o jego wielkim zaangażowaniu w utrwalaniu pamięci o postaciach, zjawiskach i wydarzeniach częstochowskiego życia literackiego, którego jest nie tylko świadkiem, ale także uczestnikiem. Uczestnikiem, odczuwającym pewien rodzaj powinności dokumentowania tego, co uważa za cenne. Książka jest bardzo bogata w informacje, wiele spraw zostało jedynie zasygnalizowanych, wiele wątków zasługuje na rozwinięcie – o czym wielokrotnie wspomina autor.

Jednym z ciekawszych tematów, podjętych w książce, jest poczta literacka, którą na łamach lokalnej prasy zajmowali się dwaj poeci: Tadeusz Gierymski i Waldemar M. Gaiński. Za jej pośrednictwem debiutowało wielu poetów, w tym także Arkadiusz Frania.

Artystyczną ilustracją wieczoru były teksty bohaterów książki *Osobowości i osobliwości…* w znakomitej interpretacji Olgi Wiewióry. Usłyszeliśmy wiersze Elżbiety Cichli-Czarniawskiej, Barbary Łągiewki, Władysława E. Piekarskiego, Waldemara M. Gaińskiego, Tadeusza Gierymskiego, Wiesława Wyszyńskiego, Agaty Polak, Jacka Gierasińskiego, Krzysztofa S. Wrońskiego, Ryszarda „Sidora" Sidorkiewicza, Elżbiety Jeziorowskiej-Wróbel i Janusza Strojca oraz fragment tekstu krytycznego Edmunda Łągiewki. Łatwo zauważyć, iż wśród wymienionych jest wielu twórców związanych z „Galerią".

Po pytaniach od licznie przybyłej publiczności wieczór się nie zakończył, rozmowy stały się jedynie bardziej kameralne, także przy okazji składania autografów na egzemplarzach książki oraz przy kieliszku wina zagryzanego ciasteczkiem.

Na zakończenie wypada zaznaczyć, że Arkadiusz Frania z pewnością nie jest zoilem, którego postać (zjadliwy i niesprawiedliwy krytyk, żyjący w IV w. p.n.e.) przywołuje w książce. A ponieważ była to premiera książki, jak się rzekło, z potencjałem, oczekujemy na dalszy ciąg najnowszej historii życia literackiego Częstochowy.

Barbara Strzelbicka

POETYCKI KALEJDOSKOP

„Rolą poety jest odnawiać spojrzenie na świat" – takie jest główne przesłanie autorskiego spotkania z Ryszardem „Sidorem" Sidorkiewiczem. Spotkanie zostało zorganizowane w ramach cyklu Wieczorów z Galerią 18 września w Ratuszu, a pretekstem była promocja najnowszego zbioru wierszy *Ruchome obrazki (wiara, nadzieja, miłość)*. Wydawcą tomu jest Towarzystwo Galeria Literacka, w roli prowadzącego wieczór wystąpił Bogdan Knop. Usłyszeliśmy wiersze w aktorskiej interpretacji Antoniego Rota, zaś muzycznie opra-

wił spotkanie Janusz Ochocki, śpiewający przy akompaniamencie gitary, w tym także utwór do słów bohatera wieczoru.

Ryszard „Sidor" Sidorkiewicz (rocznik 1959) obecny jest w życiu literackim od 1978 roku, kiedy to debiutował wierszem na łamach miesięcznika „Nurt". Poeta, tłumacz, autor recenzji i szkiców oraz książek dla dzieci, laureat wielu konkursów poetyckich, członek krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich od 1993 r. Książkę wraz z wyborem wierszy i recenzją Ignacego S. Fiuta prezentowaliśmy w „Galerii" nr 50.

Wiersze zawarte w tomie są mocno osadzone w tradycji kulturowej, jednak Poeta pokazuje, że w czasie zmienia się postrzeganie fundamentalnych wartości, jakimi są na przykład wiara, nadzieja i miłość – podobnie jak w kalejdoskopie zmieniają się ruchome obrazki.

Barbara Strzelbicka

ŚWIĘTUJEMY „PIĘĆDZIESIĄTKĘ"

„Galeria" nr 50 światło dzienne ujrzała 19 września 2019 r. Było to światło słońca nad zachodem, albowiem świętowanie rozpoczęliśmy o godzinie siedemnastej czasu letniego, który być może niedługo stanie się czasem obowiązującym przez cały rok. Stroje wieczorowe nie obowiązywały, potrzebne były raczej ciepłe kurtki, bo dzień był wyjątkowo chłodny, co było zauważalne w ogrodzie Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej, gdzie spotkali się autorzy i czytelnicy Częstochowskiego Magazynu Literackiego. Honory domu czynił nieoceniony Zbigniew Myga, gospodarz nie tylko Domu Poezji, ale także ogrodowej altany. W opisanych okolicznościach funkcja ta łączyła się z przygotowaniem i serwowaniem grillowanych potraw oraz różnych napitków, zatem kustosz tego zacnego miejsca miał w sensie dosłownym pełne ręce roboty. Spotkanie zaszczycił swą obecnością dyrektor Muzeum Tadeusz Piersiak, złożył „Galerii" życzenia i pośpiesznie oddalił się do innych służbowych obowiązków, wyjawiwszy uprzednio, iż niebawem odchodzi na emeryturę. Zasmuciło to zebranych, bowiem w czasie kilkuletniej współpracy zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Wyraziliśmy jednak nadzieję, że nadal będziemy się spotykać, choć na nieco innej stopie. Redaktor naczelny „Galerii" i prezes Towarzystwa Galeria, a także świeży laure-

at Nagrody Miasta Częstochowa w Dziedzinie Kultury, Bogdan Knop, wygłosił przemówienie, swoim zwyczajem bardzo krótkie, a potem poprosił niżej podpisaną o przedstawienie zawartości numeru. Tego krótko nie dało się zrobić, gdyż numer – jak zwykle – jest bogaty i urozmaicony, a jego cechą charakterystyczną jest mocny związek z Częstochową. Tym mocniejszy, że wraz z „Galerią" świętowało kilkoro jubilatów, debiutantów, laureatów nagród i stypendium. Gromkie „Sto lat!", które odśpiewaliśmy w to późne jesienne popołudnie, niosło się echem po okolicy. Omawiania zawartości jubileuszowego numeru „Galerii" mało kto słuchał, za to wszyscy go z zainteresowaniem oglądali, co było widokiem nad wyraz przyjemnym! Bawiliśmy się bardzo dobrze i nikt nie miał głowy do fotografowania, zatem jedyną pamiątką, która pozostała nam z tego spotkania, są piękne wspomnienia.

Barbara Strzelbicka

ODCZYTYWANIE ŚLĄSKA

Z udziałem niewielkiego grona słuchaczy odbyło się w Regionalnym Ośrodku Kultury spotkanie z cyklu zorganizowanego w 100-lecie powstań śląskich: Odczytywanie Śląska. Nie tylko o literaturze międzywojennej rozmawiali poeta, krytyk literacki i badacz literatury polskiej XX wieku związany z Uniwersytetem Śląskim prof. dr hab. Marian Kisiel i dr Elżbieta Wróbel, literaturoznawczyni z Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego i prezes Częstochowskiego Oddziału Towarzystwa im. Adama Mickiewicza. Tematem rozmowy była rola literatury w scalaniu ziem II Rzeczpospolitej.

Po zakończeniu I wojny światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości sytuacja Śląska na tle trudnej sytuacji ziem polskich była specyficzna. Tworzenie państwa polskiego było jak zszywanie w jeden kawałek różnych kawałków sukna. Ziemie należące do różnych zaborów różniły się poziomem cywilizacji, kulturą, religią, wszak przez ponad 100 lat przynależały do różnych organizmów państwowych. Śląsk dodatkowo musiał przeżyć plebiscyt, co poskutkowało powstaniami, w wyniku których został przyłączony do Rzeczpospolitej.

Polskojęzyczna literatura funkcjonowała jako literatura „dla ludu", a zatem w drugim obiegu. Niewątpliwe były zasługi Karola Miarki jako publicysty i wydawcy, ale nazwiska wielu twórców śląskich są nieznane. Przykładem jest poeta ks. Norbert Bonczyk, autor wzorowanej na *Panu Tadeuszu* autobiograficznej sielanki *Stary Kościół Miechowski*. Istniała także śląska prasa: „Górnoślązak" założony przez Wojciecha Korfantego w 1902 r. oraz „Kocynder", w którym publikowała m.in. Maja Berezowska.

Lata międzywojenne były dla literatury Śląska bardzo istotne, wtedy bowiem dokonało się przejście od literatury lokalnej do ogólnonarodowej. Przełom ten odbył się przy udziale pisarzy w różnym stopniu

związanych ze Śląskiem: rodowitych Ślązaków, przybyszów, a także przebywających gościnnie. Swoje utwory Śląskowi poświęcili: Władysław Broniewski, Emil Zegadłowicz, Krystyna Krahelska, Julian Przyboś, Pola Gojawiczyńska i Zofia Kossak-Szczucka. Jako pisarzy śląskich zakwalifikować można dopiero pokolenie Gustawa Morcinka i Wilhelma Szewczyka.

Długą nieobecność problematyki śląskiej w literaturze polskiej uczestnicy rozmowy tłumaczyli kilkoma przyczynami. Tematy regionalne długo były tematami wstydliwymi, przestały nimi być, gdy pojawił się kulturowy wątek Małych Ojczyzn. Poza tym wielokulturowość jest zjawiskiem korzystnym w czasach spokojnych, natomiast gdy pojawia się konflikt, zawsze dochodzi do podporządkowania jednej kultury tej drugiej.

Problem jest bardzo złożony, podejmują go nie tylko badacze literatury – stał się także, za przyczyną Kazimierza Kutza, wątkiem filmowym. Miejmy nadzieję, że tytuł powieści Henryka Wańka *Finis Silesiae* nie będzie proroczy.

Barbara Strzelbicka

LITERACKI PIĄTEK W OPK „GAUDE MATER"

Aulę Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater" w Częstochowie 27 września wypełnili goście i przyjaciele Janusza Jano Mielczarka – literata, fotografika i dziennikarza. Spotkanie opatrzone tytułem „Słowo i obraz" sumuje życiowe dokonania bohatera literackiego piątku, tak jak i jego ostatnia książka: *Być pomiędzy słowem a obrazem*, bowiem Janusz Jano Mielczarek jest autorem sześciu zbiorów opowiadań, a także wielu znaczących, tematycznych wystaw. Jest pomysłodawcą i kuratorem Międzynarodowego Konkursu Fotograficznego „Martwa natura", a miniony rok zakończył jubileuszową wystawą, obejmującą dokonania fotograficzne z lat 1960-2018.

Zarówno w twórczości literackiej, jak i fotograficznej głównym punktem odniesienia jest dla Janusza człowiek i jego relacje z otoczeniem. W ostatnim czasie powrócił do pisania tekstów piosenek. Pięć z nich na najnowszej płycie Czerwonego Tulipana „Błędne koło" zyskuje coraz liczniejszą rzeszę słuchających, a pięć kolejnych stało się piosenkami za sprawą Michała Pilarskiego i dzięki brawurowej interpretacji Wojtka Kowalskiego w ostatnim spektaklu „Uwolnić słowa: MIŁOŚĆ".

Spotkanie poprowadził Michał Wilk, a fragmenty opowiadań czytały: Barbara Strzelbicka, sekretarz redakcji Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria" oraz niżej podpisana. Proza Janusza Jano Mielczarka za każdym razem wciąga i pochłania czytelnika. Można wciąż na nowo smakować poetykę i liryczność tekstów, a *Zmyślenia wieczorne* stają się naszą własną opowieścią.

Literacką gawędę uzupełniły historie związane z czterema eksponowanymi na scenie fotografiami Janusza. Pierwsza z 1960 roku, a ostatnia z 2015.

Wieczór w gościnnych progach OPK „Gaude Mater" pod dyrekcją Roberta Jasiaka uświetnił występ Teatru from Poland. Wojtek Kowalski z towarzyszącym mu Michałem Pilarskim zaprezentowali pięć piosenek do tekstów bohatera wieczoru, zbierając huczne brawa.

Przy lampce wina toczyły się rozmowy, Autor podpisywał książki, a jesienny wiatr łagodnie unosił nad placem Wł. Biegańskiego japońskie lampiony.

Elżbieta Jolanta Gola

PS Dwudziestego ósmego września, a więc dzień po spotkaniu w „Gaude Mater", Teatr Wojtka Kowalskiego z Częstochowy otrzymał Grand Prix im. Mariana Glinkowskiego na XXV SŁODKOBŁĘKITNYM Festiwalu Małych Form Teatralnych w Zgierzu za spektakl „MIŁOŚĆ – uwolnić słowa".

Tymoteusz Werner

CZENSTOCHOVIANA Z KSIĘGARSKIEJ PÓŁKI

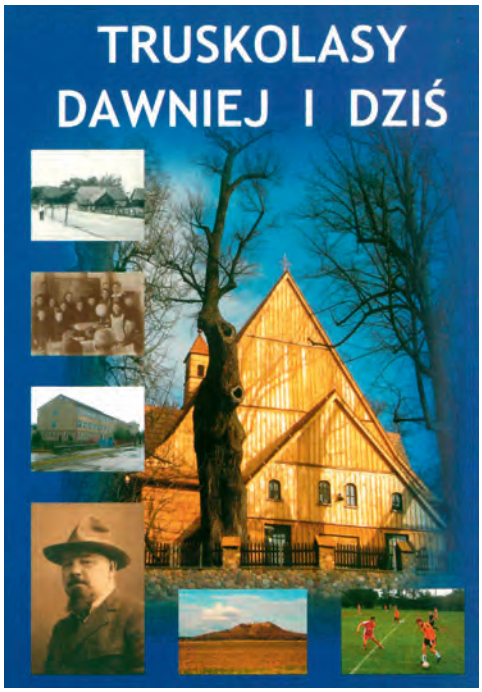

Ludmiła Pilecka, Beata Roszak, Stanisław Wrzesiński, *Truskolasy dawniej i dziś*, Zespół Szkół im. S. Ligonia, Truskolasy 2008, s. 155, 23,5 cm., opr. brosz. kol.

Przy okazji omówienia książki, wydanej w 2008 roku, pragnę wrócić do faktu, że tej ciekawej pozycji nie ma w Bibliotece Wojewódzkiej – no, już nie wojewódzkiej, ale powiatowej, a może Książnicy Regionu Częstochowskiego. Po wielu staraniach i telefonach otrzymałem informację, że mogę jeden egzemplarz książki odebrać w Truskolasach. Po umówieniu się co do dnia, godziny i miejsca, spotkałem na szczęście miłą Panią, przy okazji otrzymałem też inną książkę pt. *Tradycje ligoniowskie w stulecie pobytu Stanisława Ligonia w Truskolasach*, wydaną w 2015 roku – za obie zapłaciłem. Monografia miejscowości zaczyna się typowym opisem położenia i środowiska przyrodniczego, inna autorka, L. Pilecka, opisuje historię miejscowości, najstarsze ślady osadnictwa, dzieje polityczne, społeczne i gospodarcze wsi oraz sąsiednich miejscowości wraz z folklorem tych okolic. W przypisach spotkałem odwołania do książki Jana Pietrzykowskiego, do *Przewodnika po Częstochowie i okolicy* PTK, Warszawa 1909 oraz do opracowania Przemysława Burcharda (redaktora „Poznaj Świat") *Pamiątki i zabytki kultury żydowskiej w Polsce*, Warszawa 1990, s.135. A mnie dźwięk słowa Truskolasy przypomina książkę Janusza Mielczarka *Zanim wyrzucą cię z samolotu*, gdzie na s. 81 zaczyna się opis jadących w weselnym kuligu sań, rewia dzwonków z różnych zaprzęgów, zapach śniegu, spoconych koni pędzących z tego drewnianego kościoła w Truskolasach do wsi, gdzie było przyjęcie weselne, a dziadek Janusza powoził i był pierwszy w bramie weselnej. Tekst związany z historią kościoła w Truskolasach jest 20-stronicowym opisem tego zabytku, którym warto się pochwalić, a przy okazji przejazdu przez tę miejscowość, zajrzeć choćby celem jego obejrzenia i – jak to mówią na wsi – zmówić dwa pacierze w miejscu, gdzie modlili się Stanisław Ligoń, organista Jerzy Marchwiński i Adrian Głębocki, który opisał kościół, a także śp. już dr Aleksander Jaśkiewicz – który opisywał kościół i ilustracje Głębockiego. Książka ma 155 stron, 7 stron bibliografii i jest bardzo potrzebna w naszej bibliotece – choćby jako wzorzec, jak można opracować monografię każdej miejscowości, których w kolejce do takich opracowań jest wiele. Monografia zawiera też legendy związane z Truskolasami, parę stron zostało poświęconych Kubie Błaszczykowskiemu i innym sportowcom (z Truskolas pochodzi też Jerzy Brzęczek), dzięki którym, jak podała ostatnio prasa, Truskolasy mają prawdziwe piłkarskie boisko. Dobrze dobrane ilustracje i wiele czarno-białych utrzymuje tę pozycję w manierze książek, które z przyjemnością się czyta czy choćby zatrzymuje się na stronach, które można przeczytać.

127 aukcja antykwaryczna „Książki – druki ulotne z księgozbioru J. Dolińskiego", Antykwariat „Rara Avis", oprac. Z. Migo-Rożek, I. Błaszczyk, J. Tenerowicz, J. Pawlak, Kraków, 19 października 2019 r., nr 127/2019, s.352 , tabl. 32, 23 cm. opr. brosz kol.

Na stronie zaokładkowej katalog eksponuje okładki wybranych książek. Za stroną tytułową znajduje się regulamin aukcji (2 strony, 26 punktów). Kolejne dwie strony to spis treści, po których znajdują się terminy następnych aukcji: 128. – 15 lutego, 129. – 6 czerwca, a 130. – 17 października 2020 r. Strony 7-334 zawierają opisy 1400 książek do licytacji, czyli bite 3 godziny czytania, analizowania i zastanawiania się, którą i za ile licytować. Dziś dla odmiany chciałbym omówić książki o Częstochowie i okolicy, zawarte w katalogu, który otrzymuję z Krakowa. I tak np. katalog nr 125 oferował broszurę *Poezja* dwóch poetów z Kwadrygi, Maliszewskiego i Sebyły, w cenie 120 zł, która została sprzedana, co wynika z listy wynikowej zamieszczonej w katalogu nr 126, za 260 zł. W tym samym katalogu pod poz. 964 jest *Koncert egotyczny* Władysława Sebyły, wydany u Mortkowicza w 1934 r., cena wywoławcza 64 zł – i został sprzedany za tę cenę. Pozycje 444-447 zawierają cztery etykiety zapałczane z lat 1911-1918 z Fabryki Zapałek Łapszyna w Częstochowie w cenie po 150 zł każda. Niestety, nie znalazły te walory filumenistyczne nabywców. Natomiast w katalogu 126 na s. 258 jest notka bibliograficzna i opis stanu książki *Pielgrzymka do Jasnej Góry w Częstochowie odbyta przez pątnika XIX wieku i wyd. z rękopisu przez...*, Warszawa 1846 – w cenie 240 zł i została sprzedana za 2 400 zł. Natomiast na s. 278 jest opis broszury Z. Wróbla *Zbójnictwo na Podhalu*, wydanej w 1929 r. w Częstochowie w Drukarni Udziałowa w cenie 120 zł i została sprzedana za 240 zł, co wynika z listy wynikowej w katalogu nr 127. W ten sposób przechodzimy do aktualnego katalogu aukcji 127, która odbyła się 19.10.2019 r. W dziale Regionalia, podróże, przewodniki pod nr. 1261 jest zamieszczony *Przewodnik po Częstochowie i okolicy. Z 40-ma ilustracyami, planem m. Częstochowa i mapą okolic*, Warszawa 1909, Pol. Tow. Krajoznawcze, 8 s.145 [2] XVII plan rozkł. 1, mapa rozkł. 1, opr. oryginalna zdobiona krajką, cena100 zł. O sprzedaniu tego kultowego dla częstochowskich bibliofili przewodnika dowiemy się z listy wynikowej w katalogu następnej aukcji (luty 2020 r.) – chyba że ktoś był na aukcji. Można też sprawdzić w Internecie (www.raraavis.krakow.pl). Czytającym recenzje i poszukującym książek polecam antykwariaty w Częstochowie oraz w innych miastach, jak Kraków czy Warszawa, organizujące aukcje książek starych, rzadkich i ciekawych – rarytasów bibliofilskich, ale to już inna bajka, w której losy „kopciuszka" możemy śledzić za pomocą katalogów.

Jerzy Zygmunt, Cezary Gębicki, Stanisław Cabała, *Wśród miejskiej zieleni. Przyroda Częstochowy*, zeszyt 1, Urząd Miasta Częstochowy i Częstochowskie Towarzystwo Naukowe, Kraków 2018, s.88 (w tym zdjęcia kol., całostronicowe), 23,5 cm, opr. brosz.

Wydaną przez Urząd Miejski i Częstochowskie Towarzystwo Naukowe książkę *Wśród miejskiej zieleni* starałem się kupić, otrzymać, „załatwić", niestety, nie miałem szans – jak się okazało, książki nie ma w sprzedaży, jest rozdawana: gdzie, komu i kiedy... – tu cała udręka czytelników *Czenstochovianów* z szeregiem pytań. Podtytuł na okładce, zamieszczony pod herbem, mówi, że jest to zeszyt 1. Jeśli określamy coś numeracją, wypadałoby zapowiedzieć, jaka będzie treść kolejnych zeszytów. Strona za okładką podaje spis redakcji, w którym powtarza się jedno nazwisko i to bynajmniej nie jest zaleta. Tematyka książki jest zbyt szeroka, by ograniczać się do wiedzy przyrodnika, przygotowanie edycji bywa staranniejsze, gdy tworzy ją także artysta-grafik. Profesjonalne przygotowanie pozwoliłoby uniknąć zauważalnych niekonsekwencji. Na przykład zamieszczono cztery zdjęcia bez podpisu (s. 23) i choć w tekście jest podane nazwisko ich autora, to pod zdjęciami także powinno się ono pojawić, skoro inne zdjęcia są podpisane. Przy opisie starych fotografii i rycin nie są podane źródła ich pochodzenia. Irytują też pomyłki w opisach. Na s. 28. jest zamieszczone piękne całostronicowe zdjęcie, błędnie podpisane: nie jest to droga krzyżowa, lecz XII Stacja Drogi Krzyżowej. Tego typu irytujące uproszczenia pojawiają się także w tekście. Na s. 72. opisana jest na Skwerze Solidarności płyta ku czci „rozstrzelanych mieszkańców przez hitlerowców". Po pierwsze: płyty nie ma od trzech lat; po drugie: nie było to upamiętnienie miejsca rozstrzeliwania mieszkańców; po trzecie: w czasie okupacji Polacy byli mordowani nie przez abstrakcyjnych „hitlerowców", ale przez okupantów niemieckich. Na s. 80. są ujęte w Alei Pokoju banery reklamowe z kandydatami na radnych czy posłów; nie wiadomo, czy to panegiryk na ich cześć, czy też przykład niszczenia estetycznego krajobrazu miasta.

Wątpliwości budzi zawężenie tematu. Spis literatury zalecanej, umieszczony dyskretnie (s. 9) po minisłowniku pojęć, ogranicza się do 12 pozycji dotyczących głównie przyrody. Brak fundamentalnych pozycji o Częstochowie, w tym monografii *Częstochowa. Dzieje miasta i Klasztoru Jasnogórskiego*, prac S. Krakowskiego, popularyzatorskiej książki Juliusza Brauna i innych ważnych publikacji. Sam minisłownik jest dość ubogi: nie dowiemy się, czym się różni aleja od promenady ani czym jest, opisywana w książce, zieleń cmentarna. Nie wiemy także, dlaczego w opisie zieleni cmentarnej wyróżniono tylko trzy zabytkowe nekropolie: św. Rocha, Kule i cmentarz żydowski, choć właśnie układ projektowanej zieleni stanowi walor nowego cmentarza komunalnego przy ul. Bialskiej.

Walorem książki są piękne zdjęcia. Innym mogły być mapki, przybliżające czytelnikowi lokalizację cennych obiektów przyrodniczych. Niestety, takich szans nie daje zminiaturyzowany planik Parku Lisinieckiego czy podobnie „mikroskopijne" planiki śródmiejskich skwerów. Razi umieszczenie tzw. „wizualizacji" przyszłego Parku Lisinieckiego, jest to zabieg bardziej propagandowy niż informacyjny. Największy niedosyt budzi zlekceważenie informacji historycznej. Opis planowania i regulacji terenów zielonych w mieście odzwierciedla różne formy myślenia o urbanistycznym rozwoju. Na przełomie XIX i XX w. dynamika przyrostu mieszkańców przekładała się na chaos zabudowy ograniczający dostęp do czystego powietrza. Wraz z uzyskaniem prawa samorządności przyjęto ambitne plany regulowania miasta w sposób poprawiający walory zdrowotne życia mieszkańców. Z tej idei zdrowego miasta powstały tereny zielone „napowietrzające" gęsto zabudowane Stare Miasto (Park Narutowicza) i Śródmieście. Świadome planowanie zieleni widoczne też było w projektowaniu osiedli po II wojnie światowej. Warto to sobie uświadomić, by wiedzieć, dlaczego projektanci „nowego centrum" świadomie, wbrew logice ekonomicznej, pozostawili wolny od zabudowy teren zielony, zwany dziś Skwerem Solidarności. Podobnie, sięgając w przeszłość, można odnaleźć dodatkowe walory zachowanych form alei jako rodzaju zieleni przyulicznej; z jakiegoś bowiem uzasadnionego historycznie powodu powstały aleje: Brzozowa (ul. Bialska), w ul. św. Barbary, Wolności, w ul. Wieluńskiej, w ul. św. Rocha i in. Pisząc o zieleni przydomowej, także wypada sięgnąć po przykłady projektowania „osiedli-ogrodów", tak w formie przedwojennej (domy „mottowskie" na Zawodziu, osiedle urzędnicze na Grabówce), jak i powojennych zespołów bloków (Tysiąclecie, Parkitka).

Opisując Park Lisiniecki, nie uwypuklono tego miejsca jako przykładu rekultywacji terenów poprzemysłowych. Były tam kopalnie gliny, służącej przemysłowi ceramicznemu. Podobnie w obszary zielone i stawy zmieniły się inne wyrobiska na Stradomiu i w Gnaszynie. Zieleń przy ul. Oleńki to przykład rewitalizacji dawnego kamieniołomu; realizowany przez prywatnego inwestora jest inny projekt zamiany kamieniołomu (na Złotej Górze) w teren rekreacyjny. Interesujące przykłady zmian terenów poprzemysłowych w zagospodarowane tereny zielone znajdziemy także na dawnych nieruchomościach kolejowych i wojskowych. Wskazanie takich przykładów ma swoją wartość jako wzór myślenia o rozwoju miasta. Dziś bowiem słowa „rozwój miasta" kojarzą się, niestety, z wycinaniem starych drzew i betonowaniem trawników; warto więc pokazać szkoły, fabryki, kościoły, obiekty publiczne otoczone zielenią, a nie tylko wybrukowanymi parkingami. Szkoda także, że unikając informacji historycznych, nie podano np. że: Jerzy Kędziora to częstochowianin (str. 17); kto wykonał i fundował pomniki Staszica, Pułaskiego czy Moniuszki; kto był właścicielem dworów w Rząsawach i Dźbowie; kto projektował Promenadę Czesława Niemena; kto był twórcą pomnika H. Sienkiewicza (przedstawionego na zdjęciu) itd. Przeciwnicy mojej recenzji powiedzą, że przecież to przyroda, a nie historia. Ale warto wiedzieć, że w Czarnolesie nie tylko rośnie lipa określonego gatunku, ale także, że siadał pod nią Jan Kochanowski.

Książka jest bardzo potrzebna i ciekawa; choć wymieniłem wiele minusów, ma ona więcej plusów. Warto tę serię kontynuować; mam tylko nadzieję, że następne pozycje będą konsultowane z historykami czy regionalistami. To nie zaszkodzi, lecz znacząco wzbogaci materiał. Na zakończenie: proszę decydentów, aby te lub inne książki, wydawane za pieniądze podatników czy unijne, trafiały do szkół; i aby nie było tak, że awaria kaloryfera w piwnicy czy rury na dachu mogła spowodować zalanie wodą książek, które trafią na makulaturę. Bo cenić należy każdą książkę, nawet – a może zwłaszcza – tę za darmo otrzymaną.

Wacław Jagielski, „Podwórko na Syros” – ołówek, 2015

Arkadiusz Frania, *Osobowości i osobliwości. Z życia literackiego współczesnej Częstochowy*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2019, s. 176.

Zbiór esejów o postaciach (Elżbieta Cichla-Czarniawska, Edmund Łągiewka, Tadeusz Gierymski, Waldemar M. Gaiński, Władysław E. Piekarski) i zjawiskach życia literackiego współczesnej Częstochowy („Okienku z wierszem", Grupa Poetycka „Lit-Ars", „Częstochowskie Czwartki Literackie" i „Notatnik Literacki"), opatrzony posłowiem Eweliny Dziewońskiej-Chudy. Część tekstów ukazała się na łamach „Galerii". [BS]

Ida Jadwiga Łubińska, *Z tęczowego kuferka Klary*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2019, s. 128.

Marek Perek: „Ida i jej książka są pięknym ucieleśnieniem tych arcyludzkich zdolności wsłuchiwania się w przekazy innych, postrzegania ich przez pryzmat własnej osoby i zgromadzonych doświadczeń, by po nasączeniu ich własnym odbiorem, w klimacie nowego miejsca i nowych czasów wprowadzić je w kolejny cykl dzielenia się z innymi". Andrzej Kalinin: „Autorka ma bowiem rzadką już dziś w naszej literaturze umiejętność mądrego i ładnego opowiadania, gdzie dba się o sens, o styl i piękno słowa".

Anna Jędryka, *Ogrody*, Częstochowskie Wydawnictwo Archidiecezjalne „Regina Poloniae", Częstochowa 2019, s. 198.

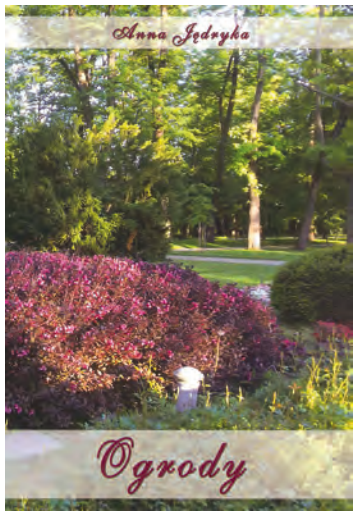

Trzeci, obszerny tom poetycki autorki, ilustrowany fotografiami ze zbiorów prywatnych. Wiersze podzielone na tematyczne rozdziały, poprzedzone wstępem Barbary Strzelbickiej. Tytuł tomu nawiązuje do nazwy zbiorków poetyckich o urozmaiconej zawartości (ogród, *hortus*, wirydarz), obejmującej różne aspekty życia, do których odnosi się treść utworów. Z punktu widzenia warsztatu poetyckiego są to wiersze regularne, silnie zrytmizowane, melodyjne. Kunsztowna jest kompozycja tomu. [BS]

Jan Ciesielski

JA SIĘ ZMIENIĘ

Obiecuję, że się zmienię –
– włosy, stroje, miny,
skrócę spodnie, schudnę nieco,
porzucę meliny.

Zmienię sobie towarzystwo:
kumpli i kolegów,
pracę znajdę, starym wiosłem
odbiję od brzegu.

Mogę przysiąc uroczyście
– każdemu z osobna,
że potrafię – niby piłka
odbijać się od dna.

Już niedługo to nastąpi!
Wkrótce! – powiem szczerze,
jak nam puszczą sprzed lat kilku
znów radość w eterze.

Gdy powrócą przed kamery:
śliczny pan i pani,
którzy tylko dobre wieści
między lud rzucali.

Obiecuję, że się zmienię,
bo pragnę radości!
Jak się zmienią na antenie
smutne wiadomości!

Wacław Jagielski, „Przebudzenie” – rysunek ołówkiem do wiersza Niebo bez Ciebie
z tomu Na styku szeptów, 2017

galeria
częstochowski magazyn literacki

Copyright © **TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA**

Redakcja:
Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny), Ida Jadwiga Łubińska, Olga Wiewióra, Arkadiusz Frania, Jakub Bartecki (administrator strony internetowej).

Stali współpracownicy:
Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak, Elżbieta Gola, Janusz Mielczarek, Jacek Gierasiński, Marian Panek, Agnieszka Złota, Andrzej Kalinin, Tomasz „Aztzenty" Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa, Anna Jędryka, Zbisław Janikowski.

Projekt graficzny okładki:
Marta Konieczny

Skład:
J.M.K, Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

Druk:

GRYF DRUKARNIA

Drukarnia Usługowa „Gryf"
ul. Garibaldiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czest.pl

Printed in Poland.

Wydawca:

TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

Towarzystwo Galeria Literacka
ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:
galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168
Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328

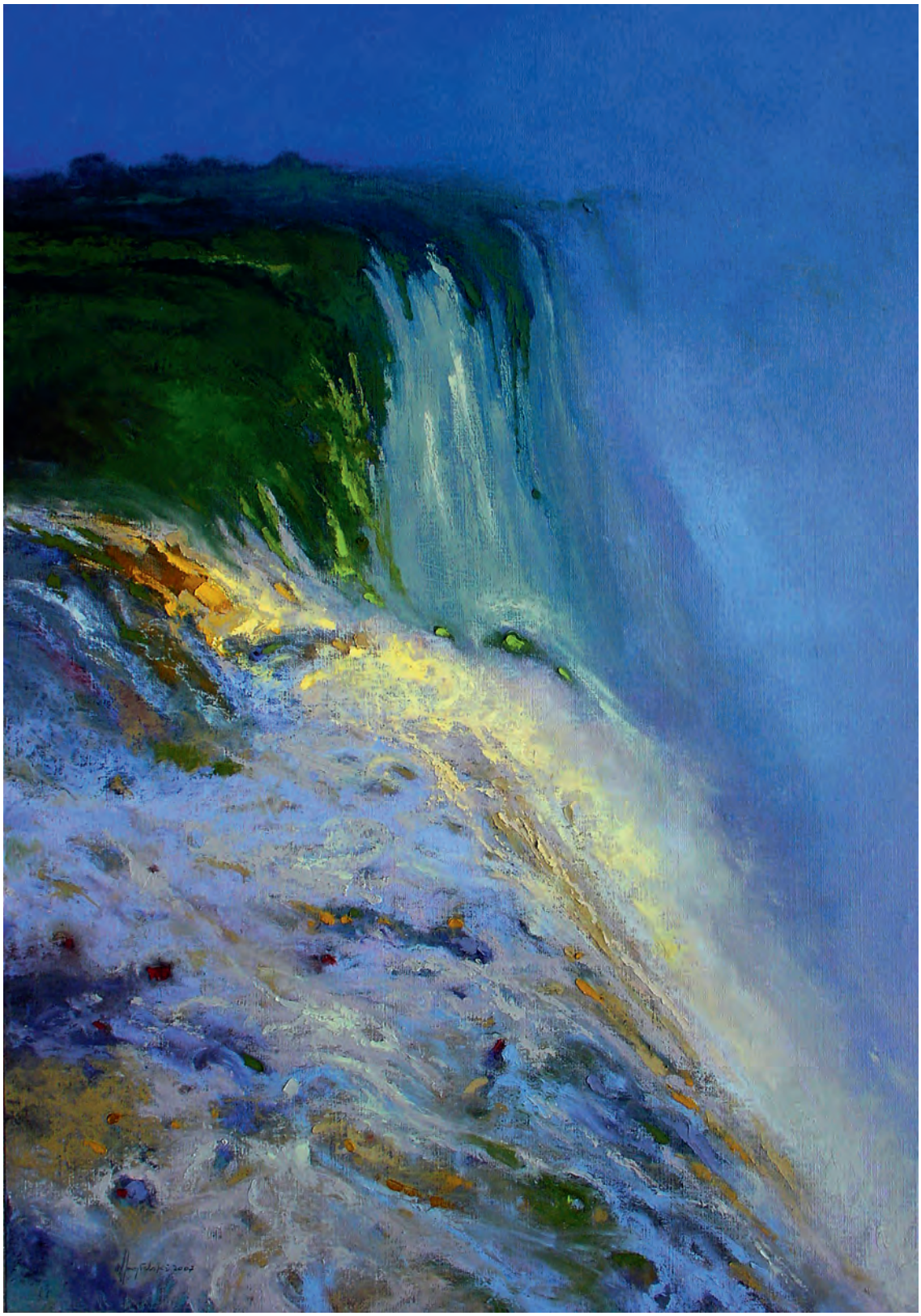

Wacław Jagielski, ,,Kadr z dalekiej wyprawy II'', 100 cm x 70 cm, olej, tech. własna, 2007

FOTOgaleria

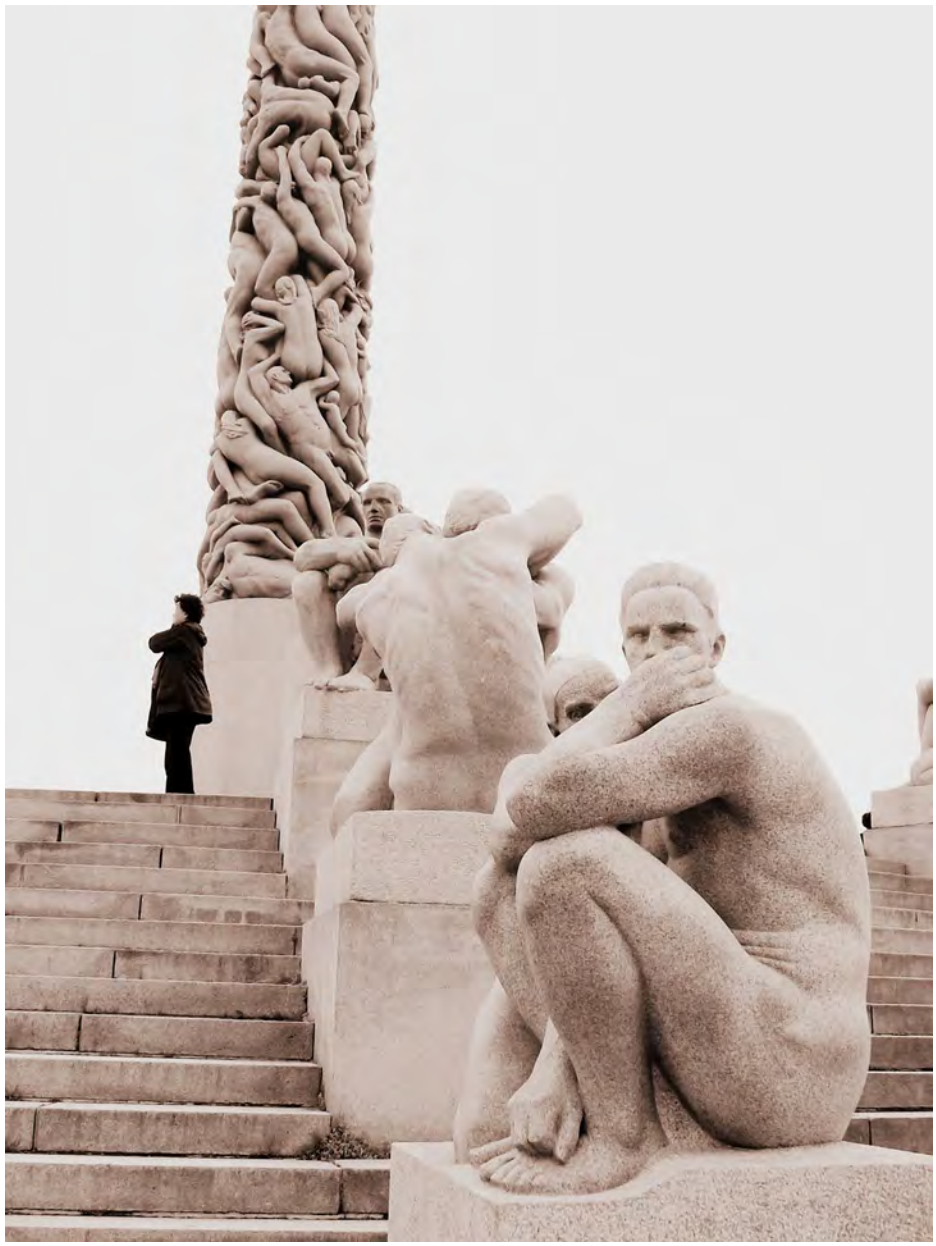

Maciej Skalik, *Bez tytułu*, Oslo, park Vigelanda, czerwiec 2012

ISSN 2449-5328